

Marek Nowakowski

POWIDOKI 2

WSPOMNIJ TEN DOMEK NA GĘSIÓWCE...

1. PIERWSZE LEKCJE

To był czas. Szkoła znów była szkołą. Przez całą okupację kwaterowało w niej wojsko niemieckie. Teraz pozostały tylko w piwnicach jakieś blaszane beczki, skrzynie, które z zachowaniem wielkiej ostrożności wynosili polscy żołnierze w rogatywkach. W kilku klasach były umocowane do ścian drewniane stojaki na broń i po korytarzach wałały się łuski karabinowe, a nawet można było znaleźć całe naboje z błyszczącymi, metalowymi czubkami. Zaczęły się pierwsze lekcje. Niektórzy chłopcy wyjmowali czubki z pocisków i proch zsypywali do woreczków. Czubki służyły zamiast kamieni do proc i pewnego razu na dużej przerwie jeden chłopak trafił drugiego. Czubek wbił się w łydkę. Ból, wrzask, buchnęła krew. Żona woźnego Żalimesa opatrzyła ranę liściem babki i chlebem. Mówiło się, że to najlepszy sposób. Jeszcze dobra jest pajęczyna. Ale pajęczyny akurat nie było pod ręką.

Naszym wychowawcą został pan Starzyk, który podobno w obcasach butów nosił ukryte złote ruble, a choć miał żelazną rękę, to jednak czasem trudno mu było okiełznać niesforną gromadę. Byliśmy zbieraniną z wojennym stażem. Chłopaki z Budek Szczęśliwickich zaznali już „Kity”, czyli kradzieży węgla z kolejowych transportów na kaliskim torze i byli nieźle oswojeni z bronią. Często kropili do nich banszuce i mały Kwilak

z dumą pokazywał bliźnię po postrzale na ramieniu. Inny z nich w ceratowej teczce między podręcznikami i zeszytami trzymał siódmkę z popsutym zamkiem i ciągle rozmyślał, jakby tę broń naprawić. A syn Garbolety — Rysiek — jeździł z ojcem na ryzykowny szmugiel i nieraz bywali w groźnych opałach. Same szpryncy, jak nazywała takich łobuziaków moja matka, wychowawczyni klasy „b”. My byliśmy Ilia. Nie byliśmy żadnymi lalusiami i maminsynkami. Na przykład Czarny Kazik, przybrany syn rymarza, był to chłopak z getta, przerzucony za mur i adoptowany przez bezdzietne małżeństwo. To, co przeżył, było widoczne w jego twarzy i czujnych oczach. Z Bawarii, amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech, przybył do nas Maciek, najwyższy w klasie chłopak w tyrolskich, skórzanych spodenkach na szelkach, ze sztylcikiem Hitler- -Jugend w czarnej pochewce u pasa. Jego rodzice zginęli w obozie koncentracyjnym i z dumą pokazywał nam obozowy pasiak. Czasem przebierał jednego z nas w ten strój i udawał groźnego kapo.

— Links, recht! — wrzeszczał, a my odgrywaliśmy apel obozowy.

Znajomością dalekiego świata imponował nam Bambo, przewzany tak z powodu, że był aż w Afryce. Jego ojciec służył u Andersa, a Bambo został umieszczony w dziecięcym ośrodku w Kenii. Nosił bawełnianą koszulę z pagonami i krótkie spodenki koloru jasnej kawy i nazywał ten strój „khaki”. W domu miał skórę wielkiego węża i rytualne murzyńskie maski. Często bez powodu używał angielskich słów. Najbardziej rywalizował z nim Witek, czyli Witalij (my do niego „Witek”, on zaś zaciągając poprawiał — „Witalij”). Od razu został nazwany Synem Pułku, w szkole bowiem pojawił się w stroju polskiego żołnierza, w rogatywce (z orłem bez korony), która opadała mu na uszy. Przyszedł

8 Marek Nowakowski

z kościuszkowcami, a przedtem jako „bezprizorny” przebywał w domu dziecka za Uralem. Znał mnóstwo rosyjskich przekleństw, głowę miał ostrzyżoną zerówką i w ubikacji palił grube skręty z gazety, strzykając śliną. Bambo, który zwiedził Persję, Palestynę i inne egzotyczne krainy, opowiadał nam o Beduinach, wielbłądach, polowaniach na drapieźniki i magicznych obrzędach murzyńskich plemion.

Syn Pułku w rewanżu snuł opowieści o urkach, strasznych wilkach bandyckiego błatu z łagrów. Bambo nie ustępował i przechwalał się wyprawą pod wygasły wulkan Kilimandżaro. Syn Pułku natychmiast o bezkresnych stepach w Kazachstanie, jakieś jurty, pasterze na kosmatych konikach.

Trwała między nimi nieustająca rywalizacja. Pewnego dnia, kiedy byliśmy na wagarach i siedzieliśmy nad glinianką, Bambo (rzeczywiście jakiś murzynowaty, 0 spłaszczonym nosie, ciemnej cerze; czyżby ta Kenia tak go odmieniła?) jak zwykle czarował nas swą egzotyczną wiedzą, sawanną, Masajami, którzy piją byczą krew i chodzą z dzidą oraz sztyletem na tygrysy.

Ale Syn Pułku nie ustąpił w tej walce o rząd dusz

1 zapytał:

— A widziałeś kiedyś, jak pięciu chłopca hebluje jedną kobietę?

Bambo stracił rezon i wybałuszył oczy. Nas też zatkało.

No! — wykrzyknął Syn Pułku.

System edukacji był jeszcze dawny. Chodziliśmy do pierwszej licealnej. Druga, i już matura. Czuliśmy się po trosze dorośli. Papierosy, wino, nawet wódkę pili niektórzy w kolejowym bufecie i kelner wcale im nie odmawiał. Było wśród nas kilku przeroślaków. Chodzili do innych szkół, siedzieli w jednej klasie po kilka lat, z różnych powodów mieli przerwy w nauce. Jeden już się golił, drugi miał stałą dziewczynę w fabryce Polo. Najwyższy z nich wzrostem był Janek K. Siedzieliśmy razem w ławce. Miał szopę czarnych włosów i rozległe rumieńce na policzkach. Podobno z gorączki. Janek K. chorował na gruźlicę i długi czas spędził w sanatorium na Dolnym Śląsku. Nie był typowym uczniem, na przykład nie nosił teczek, tylko plecak, i nauczyciele traktowali go inaczej, bardziej po partnersku. W czasie pauz trzymał się na uboczu, nie interesowała go gra w piłkę czy podszczypywanie dziewczyn. Podczas wakacji pracował na budowie ze swoim ojcem, który był murarzem, i pokazywał odciski na dłoniach.

— Nazywają się modzele — mówił. Miał kilku braci, z których najstarszy trudnił się złodziejskim procederem, był w więzieniu i kiedy opalał się nad glinianką, widzieliśmy liczne tatuaże na jego ciele.

Nasze wspólne siedzenie w ławce spowodowało pewne zbliżenie i często razem wychodziliśmy ze szkoły.

2. DEKADENT

Po drodze zatrzymywaliśmy się na targu lub przesiadywali w parku. Odkryliśmy wspólne zainteresowania. Obaj byliśmy namiętnymi czytelnikami książek i zaczęliśmy się licytować, kto przeczytał więcej lektur. Toczyliśmy zażarte boje, recytując tytuły powieści Anatola France'a, Maupassanta, Zoli, Balzaca i innych. Janek K. najbardziej lubił książki zakazane, obrazoburcze i rzeczywiście był nieprzeciętnym znawcą tej nie polecanej literatury.

— Nie każdy może być dekadentem — powiedział pewnego razu. — Dekadencja to schyłek, końcówka i po niej nie ma już nic. Jestem wyznawcą tego poglądu.

Dekadenci, jak zrozumiałem, lubili kolorowe życie do zatracenia, dokonywali desperackich czynów i zdobywali mnóstwo kobiet. Pili alkohol i zażywali narkotyki. Często popełniali samobójstwa.

— „W którejś z bram zażyję trucizny białej gram...” — cytował Janek K. słowa piosenki.

Opowiadał przygody Franka Harrisa z „W pogoni za pełnią życia”, nowele pisarza nazwiskiem Pittigrilli. Bardzo ciekawie mówił o wyczynach młodopolskiego skandalisty i pisarza, Stanisława Przybyszewskiego. Znał losy dwóch poetów przeklętych, Verlaine'a i Rimbauda. Kiedyś przyniósł starą, rozsypującą się książeczkę pt. Sztuczne raje. Były to wiersze i rozprawy Baudelaire'a o winie i haszyszu. Czytał na głos, czasem przerywał, patrzył na mnie i pytał:

— Rozumiesz?

Kiwałem skwapliwie głową.

Był kilka razy u mnie w domu. Jednak do siebie nigdy mnie nie zaprosił. Mówił, że ma złe warunki do swobodnej rozmowy. Podobno jego ojciec był pijakiem i bił matkę. Tak mówili ci z naszej klasy, którzy mieszkali w jego sąsiedztwie.

Najchętniej rozmawialiśmy po lekcjach, przystanąwszy gdzie bądź lub zasiadłszy na ustronnej ławce w parku.

Raz w parku Janek K. powiedział, że dekadentem można zostać z powodu ciężkiej, nieuleczalnej choroby.

— Jak wiesz, jestem gruźlikiem — rzekł. — Ale na razie nie prątkuję.

Pół roku trwała nasza znajomość i któregoś dnia Janek K. do szkoły już nie przyszedł. Wychowawca klasy poinformował nas, że pogorszył się stan jego zdrowia i wyjechał do sanatorium na Dolny Śląsk. Tam po kuracji miał podjąć przerwana naukę.

3. PÓŻNA WIGILIA

Władek P. był nie tylko dla mnie potęgą. Mężczyźni z Pekinu traktowali go z niezmiernym szacunkiem. Nawet Kozik czy Stasiak Kińdzior uznawali jego moc. Postury też potężnej, o twarzy gąbczastej, głosie niskim, ochrypłym, od lat był konwojentem w Monopolu na Kawęczyńskiej. Ciężarówką rozwoził wódkę i spirytus do sklepów sieci sprzedaży detalicznej. Mówił niewiele, ale celnie i jego opowiadanie o początku pracy w rozlewni na Kawęczyńskiej było fascynujące. Nowicjusz przy wejściu do hali był częstowany blaszaną kwartą gorzały pod papierosa. Obserwowano sposób jego picia i zachowanie po wypiciu. Władek P. zdał egzamin z wynikiem celującym i odtąd co rano rozpoczynając pracę wypijał kwartę dla kurażu. Potem ładował do ciężarówki odpowiednią liczbę skrzynek z alkoholem i zaczynali objazd monopolowych sklepów. Przysługiwało im prawo stłuczki iluś tam butelek (wypadek przy pracy). Jedna zostawała przeznaczona na użytek własny, pozostałe sprzedawali (prawo stłuczki prawem, ale można nic nie stłuc) i pieniądze szły do podziału między Władkiem i kierowcą. Tak Władek trwał latami na monopolowym posterunku, wlewając w swój brzuch pojemności beczki niebywałe ilości alkoholu. Równocześnie był dbałym mężem i ojcem dwojga dzieci. Wracając po robocie kolejką EKD do domu, niezmiennie mocno na

pity, dzierzył w dłoni wypchaną teczkę z zaopatrzeniem dla rodziny. W pracy konwojenta bowiem boki były znaczne. Tym się cechował socjalizm, pensja marna, ale możliwości pokątne znaczne. Bywało przecież i tak, iż można było pewną liczbę flaszek alkoholu wywieźć z rozlewni bez faktury, kooperując prywatnie z pracownikami, strażnikiem na bramie itp. A przecież wszystkiego nawet taki Gargantua jak on nie przepijał i część zarobku przeznaczal na zakupy dla domu.

W ten mroźny, piękny wieczór Wigilii wyszedłem po wieczery na samotny spacer. Biało i zimowo. Wtedy jeszcze zdarzały się prawdziwe zimy — lata siedemdziesiąte. Śnieg skrzypiał pod stopami. Było pusto. Ludzie siedzieli jeszcze przy wigilijnych stołach i dochodził nawet śpiew kolęd.

Nagle pod płotem w pobliżu przystanku EKD dostrzegłem jakiś ciemny, okazały kształt. Wielki worek, toból, coś takiego. Podszedłem. To Władek P. Leżał zupełnie nieruchomy. Zmogła go wreszcie gorzała. Szarpałem nim, kopałem. Ani drgnął. Ważyć mógł przeszło 100 kilogramów. Dosyć bezradnie zastanawiałem się, jak mu pomóc. Zostawić go nie mogłem. W taką noc zamarzyłby na śmierć. Rozejrzałem się i wpadłem na najbardziej prosty pomysł. Zapukałem w okno najbliższego parterowego domku. Po chwili z panem Wasiakiem, stolarzem, dźwigaliśmy to cholernie ciężkie cielsko Władka. Jeszcze musieliśmy nieść dwie wypchane torby. W jednej miały się karpie. Jakie żywotne! W drugiej znajdowało się coś miękkiego, martwego. No i choinka na dodatek. Niemała. To wszystko łącznie z Władkiem taszczyliśmy do Pekinu. Odpoczywaliśmy kilka razy i znów zabieraliśmy się do owej akcji miłosierdzia. Dotarliśmy wreszcie do Pekinu, wielkiej kamienicy z dwoma oficynami i rzędem bud na króliki i gołębie. Pod drzwiami swego mieszkania Władek obudził się i zaśpiewał słabym, łamiącym się głosem:

— „Cicha noc, święta noc...”

Zapukaliśmy i kiedy tylko drzwi otworzyła jego żona, malutka, chuda kobiecina, wycofaliśmy się szybko. Zdążyliśmy jeszcze usłyszeć jej wściekły wrzask i kwilenie Władka, w którym powtarzały się uporczywie słowa kolędy.

— Ciężki skurwiel! — wysapał pan Wasiak, stolarz.

Przytaknąłem z całą odpowiedzialnością.

4. SYLWESTER W „WYGODNEJ”

Ostatni dzień roku 1953 był biały. Śnieg i mróz. Zaczęliśmy od bilardu. Jeszcze wtedy tu i ówdzie pozostały stoły bilardowe. Choćby w knajpce u Dziadka do późnego wieczora słyszało się stukot kija uderzającego w kulę, która toczyła się po suknie i miękko wpadała w otwór z siatką, albo nie wpadała. Maciej J., drukarz z drukarzy: ojciec, wujek, brat w tej branży, wszyscy oni złapali bakcyła Gutenberga — był znakomitym bilardzistą. Utrzymywał się więcej z gry niż z roboty. W ten dzień imienin Sylwestra toczyła się ostra gra w piramidkę. Maciej wygrał. Uczciliśmy to jednym głębszym, drugim. Zapadła ciemność i nastrój panował świąteczny. Na rogach ulic pojawili się sprzedawcy balonów. W damskich zakładach fryzjerskich wznagała się gorączka ondulacji przed balem.

Wybraliśmy się do CDT-u. Na ostatnim piętrze tego socjalistycznego uniwersamu znajdował się nocny lokal z dancinżem, przygotowany uroczysto na noworoczny bal. Nasz znajomy, stary kelner K. (też lubił bilard, wyścigi, wszelki hazard) zdążył być jeszcze pikolakiem w „Adrii”, kelnerem u „Simona i Steckiego”, znał dosyć dobrze trzy języki, nie licząc w tym okupacyjnego, a prezentację miał dyplomaty. Przygotował od razu rezerwowany stół i uczciliśmy przełom roku szampanem. Życzenia, pocałunki z dubeltówki, fraternizacja z innymi kelnerami. Jak spod ziemi wynurzył się Antoni Kolczyński, ulubiony niegdyś bokser Warszawy, zwany Kolką. Jego najlepiej zapamiętałem z tamtej nocy, przywalonej lawiną kilkudziesięciu lat. Rosły, po-kancerowanej, chmurnej twarzy, ze złamanym nosem, w grubym białym golfie pod szyją.

Później poniosło nas nocnym, zimowym miastem. Powędrowaliśmy do NOT-u na Czackiego, gdzie odbywał się Bal Elektryków. O tej godzinie wkradało się już rozprężenie i mimo braku zaproszeń łatwo tam weszliśmy. Czas pędził galopem, obficie przecież podlewany i wkrótce uroczysta podniosłość Nowego Roku przysła gdzieś, a sala przeistoczyła się w pobożowisko. Mężczyźni w pomiętych i poplamionych garniturach, obsypani konfetti, spali nurzając czupryny w talerzach z zakąskami. Podobnie zdewastowane kobiety, niedawno jeszcze tak pojętne i eleganckie. Wyszliśmy w noc rozjaśniającą się już bladostalowym świtem i zatrzymaliśmy dorożkę.

— Wio, sałata! — zawołał Maciej J., nasz fundator z bilardowej wygranej.

Dorożkarz postawił budę pojazdu — akurat zaczął padać śnieg — zaciął batem szkapę i pognął ją dawnym placem Napoleona. Zajechaliśmy do „Wygodnej”, szynku na rogu ulic Chmielnej (wtedy Rutkowskiego) i Zgoda (wtedy Hibnera).

Rozochoczone kelnerki (kobieca załoga) uprzątnęły nam jakiś opuszczony stół i dalej balowaliśmy. Już raczej nie tanecznie, a trunkowo. Przygrywali Cyganie i ogarnęła nas atawistyczna, szlachecko-hulaszcza skłonność do zamawiania rozmaitych melodii, z których „W taką cichą noc i chmurną słyszę tango nocturno, a za oknami gra wiatr...” cieszyła się szczególnym wzięciem. Przysiadł się do nas pewien starszy człowiek, przezywany krótko i bez życzliwości „Prykiem”. Był

lichwiarzem, pożyczającym forszę na wysoki, bezlitosny procent. Z nim też pożyczaliśmy sobie dobrego, nowego roku. Jeszcze z Heniem Giecowem, który po wódce przedstawiał się wyłącznie jako podchorąży Grom z powstania. Także z kilkoma innymi bliskimi i mniej bliskimi znajomymi. Zapanowała typowa końcówka nocy, atmosfera anarchii i prywaty. Kelnerki popijały ze swymi mężami, kochankami. Pani Inka, ta najbardziej życzliwa z nich, wpuściła do wnętrza restauracji żebraka Adolfa, który zazwyczaj handlował fiołkami pod „Kameralną” lub udawał beznogiego kalekę, podwijając umiejętnie swoje krzepkie nogi niestrudzonego piechura. A Cyganie grali i grali. Już tylko za napitek.

Był blady ranek, kiedy opuściliśmy „Wygodną”. Siarczystą zimą roku 1953 zamieniła się w pluchę 1954. Z dachów i rynien sphywała woda. Może to było z 1952 na 1953 rok? Nie pamiętam.

5. KOŚCIÓŁ ŚWIĘTEJ BARBARY

W Alejach kłębił się tłum. Drewniany dworzec naprzeciw „Polonii” roił się od ludzi. Pod zegarem i „pod pedałem” zbierali się pikieciarze. Dziewczyny i birbanci szykowali się na „Dołek”. Pijaczkowie dzienni oblegali „Setkę”, „Przekąskę”, „Metro”, „Klubową” i „Dzika”. Pod Telekomem tłukli się słynni kozacy. Bimber z Lwem. Lub Szatan z Diabłem. Poeta S. wychodził ze swego domu na Nowogrodzkiej do przyjaciół poetów w „Stylowej”. Gliniarze z XI Komisariatu gonili doliniarza. Paser Pchelka naradzał się z szemranym osobnikiem w oprychówce. Szeptali w bramie przechodniej kamienicy, gdzie znacznie później wyrósł hotel Forum. Nobliwe panie i panowie spieszyli na pół czarnej do „Kopciuszka” i „Bunkra” Gajewskiego.

Tu znajdował się pępek miasta — do późnych godzin nocnych wrzało w tym ulu.

Natomiast z tyłu śródmiejskiego kwartału, na Wspólnej za kościołem Świętej Barbary, było cicho i spokojnie. Zadyszany gwar pełnego witalności i trujących miazmatów miasta nie dochodził tutaj wcale. Z jednej strony za ogrodzeniem na podmurówce rozpościerał się dziedziniec kościelny z masywem parafialnego kościoła i małą kaplicą, której mur był ozdobiony u góry napisem: „Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami”. A po drugiej stronie ulicy pozostało

wśród gruzów kilka ocalałych kamienic. W porze zmierzchu przechadzali się trotuarem nieliczni przechodnie. Przeważnie byli to właściciele psów. Przysiadali na murku i przemawiali czule do swoich czworonożnych przyjaciół. W wymaganych w liturgii rzymskokatolickiej dniach i godzinach rozlegał się dźwięk kościelnych dzwonów i dostojna czystość ich tonu zmuszała do zadumy nad życiem doczesnym i wiecznością. Dzwony rozdzwaniały się także podczas żałobnej mszy i wtedy na dziedzińcu kościelnym pośród wysokich, starych drzew gromadzili się żałobnicy w odświętnych strojach.

Kościół Świętej Barbary od Nowogrodzkiej graniczył z wielkim gmachem, w którym po wojnie znalazła swą siedzibę opera i balet. Ten przybytek sztuki zwał się „Roma” i tutaj gościnnie odbywał się zjazd rządzącej partii: PPR. W niewielkiej części budynku pozostały nie wyługowane jeszcze instytucje kościelne, sąd kurialny, kancelaria parafii itp. Gmach ten bowiem przed wojną był własnością Kościoła. Idąc zaułkiem między „Roma” a kościołem, dochodziło się do bocznej furty w ogrodzeniu cmentarza i tędy prowadziła droga w zacisze ulicy Wspólnej.

Za Telemekem od Poznańskiej wcisnęła się szczeliną uliczka Barbary, kilka domów zamieszkałych przez pocztowców i było to drugie przejście skrótem do Wspólnej.

Nietrudno więc było nasyciwszy się wielkomięskim czarem w „pępku miasta” przejść kilkadziesiąt metrów dalej, by zażyć spokoju i oddać się kontemplacji na tym odcinku ulicy Wspólnej, gdzie dominował kościół Świętej Barbary. Lecz idylliczny charakter tej strony ulicy uległ zmianie. Czasy nastały trudne i czujność wobec wroga obowiązywała jako zasada nadrzędna. Pewnego jesienno-go dnia zaroiło się tutaj od mundurowych i tajniaków. Podjeżdżały cytryny, willisy. Odbyła się wielka akcja osaczania wroga klasowego, reakcyjnego podziemia, dywersantów, szpiegów. Sfora ogarów penetrowała cały obszar. Kabewiaci z pepeszami gotowymi do strzału wbiegali na przykościelny cmentarz. Tajniacy myszkowali po pobliskich domach, dokonywali rewizji, przesłuchiwali lokatorów. Ludzi podejrzanych wepchnięto do willysów i powieszono na Koszykowej.

Dla nas, chłopaków dopiero rozpoczynających dorosłe życie, było to wielkie wydarzenie. Szybko nabrało wymiaru legendy, mitu. Długo o tym mówiono w Śródmieściu. Rzecz dotyczyła Burmajstra i innych, którym zarzucono działalność spiskową i zdradę ojczyzny. Nazwano ich sługusami imperializmu. Byli to chłopcy starsi od nas o ledwie kilka lat, bikiniarze, którzy kochali jazz, pasjonowała ich Ameryka i ukradkiem chadzali na pokazy filmów do ambasady amerykańskiej. Oglądali z zapartym tchem legendarne westerny, dreszczowce i wojenne dramaty o Azji i Pacyfiku. Wypożyczali kolorowe pisma w języku angielskim i zbierali się wieczorami na dziedzińcu kościoła Świętej Barbary. Stworzyli tajemne bractwo i ich celem był skok za ocean do baśniowej Ameryki. Dopadła ich bezpieka i odbył się głośny proces zdrajców i szpiegów.

Toteż jeszcze po wielu latach idąc Wspólną, patrzę zawsze na wieżę kościoła Świętej Barbary i myślę o chłopcach z tamtych lat. Ulica Wspólna nadal pozostała oazą i jej zaiste prowincjonalny spokój jest zakłócany przez nieco wielkoświatowy „Marriott”. Uliczne dziewczyny spacerują tędy w poszukiwaniu klientów, którzy już od południa wolno przejeżdżają samochodami, taksując urodę wystawioną na sprzedaż.

6. BURMAJSTER I INNI

Pisząc o kościele Świętej Barbary przy ulicy Wspólnej, nie mogłem nie wspomnieć o historii młodych ludzi w latach stalinizmu. Byli wśród nich tacy, którzy nie należeli do ZMP, nie chcieli się wzorować na książce Jak hartowała się stal i nie chodzili na masówki i pochody. Niektórzy wynieśli ten sprzeciw z domu, doświadczeń rodzinnych. Inni po prostu szukali prawdy, autentyzmu czy chociażby odmienności w monotonnym, wymagającym jedności systemie. Wielu było wtedy takich. Bikiniarze, kochali jazz i Amerykę. Małolaty, skłócenii z życiem i wykołajeni chłopcy. Marzyli o wielkich skokach i przestępczej sławie. Indywidualiści zamykali się we własnym świecie. Sławek J. był z zamiłowania modelarzem i sporządzał z tektury wspaniałe statki i wojenne okręty, znane z historii. Przez rok bez mała pracował nad modelem Titanica. Szczelnie odseparował się od rzeczywistości i zapytany o historię WKP(b), odpowiedział:

— Nic nie chcę o tym wiedzieć.

Andrzej Biały i jego koledzy pragnęli kontynuować działalność swoich starszych braci z AK, WiN., NSZ i założyli organizację młodzieżową. Redagowali sekretny biuletyn, pisali o Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, Honorze, Prawdzie, Historii. Bawili się w konspiratorów, zbierali się na leśne zbiórki w Puszczy Kampi

POWIDOKI 2 23

noskiej i tam przysięgali służyć ojczyźnie. Wpadli w sidła bezpieki i młodzieżową dojrzałość zdobyli w Jaworznie, Rawiczu, Sztumie.

Podobną paczkę chłopaków zebrał Burmajster. Chcieli żyć inaczej. Byli gimnazjalistami, z młodzieńczą odwagą pogwałcili kanony obowiązujące w PRL i stworzyli suwerenny, własny świat. Chodzili do ambasady amerykańskiej oglądać filmy o kowbojach i Indianach, uczyli się angielskiego i czytali o bohaterskim Geronimo, wodzu Apaczów, słynnych westernach i szeryfach. Fascynowały ich tabory osadników podążające na Daleki Zachód. Zapragnęli wolnego życia na wielkich przestrzeniach, gdzie wszystko osiąga się własnym, twardym wysiłkiem, a księgą, która oświeca to życie pełne przeciwieństw, jest Biblia. Proces Burmajstra i jego kolegów był szeroko nagłośniony przez propagandę tamtego czasu. Grzmiało radio, pokazywano migawki z sali sądu w Kronice filmowej. Agenci wywiadu amerykańskiego, sługusy imperializmu, sprzedawczyki. Nie były to tylko słowa. Padły w procesie wyroki śmierci. Stracony został Burmajster i jego przyjaciel Wysocki.

Wspomniałem o tym w powidoku „Kościół Świętej Barbary”, ponieważ jak powiadała legenda tamtych lat, oni, ci chłopcy zbierali się wieczorami na dziedzińcu kościoła i na wieży kościelnej mieli swoją radiostację.

Do redakcji Expressu przyszedł list od Czytelnika „Powidoków”, Pana Jerzego Parfiniewicza, który pozwalał sobie podać w obszernych fragmentach:

„Znałem Burmajstra. Ale znałem również jego nieodłącznego przyjaciela, Wysockiego, straconego wraz z Burmajstrem. Burmajster i Wysocki, niestety, zapomniałem imion, byli uczniami Liceum Telekomunikacyjnego przy ul. Jedwabniczej, mieszczącego się w budynku dawnej fabryki żarówek. Dziś tego budynku nie ma. Wchłonęła go Wytwórnia Filmów Dokumentalnych

I Marek Nowakowski

z ul. Chełmskiej... Z Burmajstrem i Wysockim chodziłem do jednej klasy. Wyróżniali się oni spośród nas swym sposobem ubierania, zwanym wtedy »bikiniar- skim«. Choć byli tylko bikiniarzami we fragmentach ubioru. Trzymali się zawsze razem. Ale nie stronili od reszty kolegów. Byli koleżeńscy, dowcipni — złośliwi, zawsze uśmiechnięci. Komentowali rzeczywistość kpiar- skim akcentem. W szkole byli zdyscyplinowani. Nie pozwalali sobie na żadne wysoki. Jednak chodzili własnymi drogami. Ta droga to Biblioteki Ambasady Amerykańskiej, gdzie wyświetlano filmy, gdzie korzystali z periodyków, nawet niektóre przynosząc do szkoły. Wielokrotnie przestrzegaliśmy ich przed takim postępowaniem. Oni jednak bagatelizowali nasze przestrogi. Mieli jeszcze drugą drogę: nawiązali kontakty z dziewczętami z internatu zakonnicy, mieszczącego się na rogu ul. Czerniakowskiej i Podchorążych. Chodzili tam na spotkania towarzyskie i wieczorki taneczne. I za te sprawy zostali oskarżeni: za współpracę z wywiadem amerykańskim i za konszachty z Kościołem. Nam, ich kolegom, podano tylko krótką informację o tym fakcie, zawierającą również słowa potępienia ich postępowania... Na marginesie: nasza klasa, a były to lata 1949—1951, była bardzo dziwna. Obok uczniów osiemnastoletnich zasiadali w szkolnych ławach ojcowie dzieciom. Obok akowców — członkowie partii. Było też dwóch, którzy wrócili z wyrebu lasów na Syberii..."

Tyle Pan Jerzy Parfiniewicz o owej zapomnianej, krwawej historii młodzieńców z tamtych czasów. Teraz w naszej wolnej Polsce ciągną się latami procesy zbrodniarzy, oprawców z czasu komunistycznego terroru. Odbywają się w pełnym majestacie prawa, przy drobiazgowym przestrzeganiu formalnej procedury, z zachowaniem wszystkich praw przysługujących oskarżonym. Z nadmiernym nawet zastosowaniem słynnej ma-
POWIDOKI 2 25

ksymy prawa rzymskiego: *in dubio pro reo*, co oznacza zakaz tłumaczenia wątpliwości na niekorzyść oskarżonego, i drugiej fundamentalnej zasady — *praesumptio boni viri*, co oznacza „domniemanie niewinności”. A ponieważ obrońcy oskarżonych są fachowcami w swojej dziedzinie i świadków oskarżenia często za-
wodzi pamięć oraz ponoszą nerwy, to procesy owe mają szansę trwać w nieskończoność. Dlatego należy czasem wrócić do przeszłości i przypomnieć sobie skuteczne i szybkie działanie prawa w tamtych latach.

7. PRZYJACIEL ARTYSTÓW

Będzie to epitafium. Kochał sztukę i ludzi sztuki. Była to miłość czysta, i nic w zamian nie żądał. Z jakim rozrzewnieniem wspominał swą dawną zażyłość ze Stefanem Jaraczem, którego nazywał Majstrem. Chodzili po zakazanych szynkach na Powiślu i pili wódkę. Może sam chciał być adwokatem? Warunki zewnętrzne miał wspaniałe, tylko jego głos brzmiał mocno mamrotliwie. Pewnego razu podczas jazdy samochodem, prowadzonym przez podpitego przyjaciela, zatrzymali ich milicjanci. Wiew alkoholu buchnął potężnie z pojazdu w mroźną noc. Wtedy jego szybki i bełkotliwy sposób mówienia okazał się bronią nader skuteczną. Wygramolił się z auta majestatyczny pan ze srebrną czupryną i zaczął mówić. Mówił i mówił. Swą swadą tak zmęczył milicjantów, że dali spokój podpitemu kierowcy, pragnąc już tylko uwolnić się od obezwładniającego głosu starszego pana.

Dawni bywalcy Klubu Aktora w Alejach Ujazdowskich domyślają się już pewnie, że piszę o Władysławie Sidorowskim, kierowniku tegoż klubu. Wspaniały był to facet! Za czasów jego panowania w SPATiF-ie kwitła tam niepowtarzalna atmosfera. Lokal stał się przytuliskiem ludzi teatru i ciągnęli doń pokoleniami. Od starych twórców przedwojennej sceny do młodych adeptów sztuki teatralnej w PRL. Także malarze, pisarze i nawiedzali klub tłumnie. Władysław Sidorowski, zwany Sidorem, dbał o wszystko od zakąsek, wódki poczynając po estetykę wnętrza. Ściany zdobiły stare obrazy mi- i strzów XIX wieku w pięknych ramach, stanowiące jego i prywatną własność.

— Po co mają się kisić — powiedział kiedyś. — Niech ludzie patrzą na te płótna.

Jego więź ze sztuką datowała się od czasów przedwojennych. Wtedy już był właścicielem restauracji, gdzie zbierali się artyści, aktorzy, tancerze. W latach okupacji również prowadził cukiernię z preferencją dla wegetujących wtedy ludzi pióra, pędzla i sceny. Po wojnie na ziemiach zachodnich, w Wałbrzychu, założył knajpkę, którą nazwał „Zieloną Gęsią” na cześć ulubionego poety i kompana. A jak tylko stało się to możliwe, od razu powrócił do Warszawy. Prowadząc Klub Aktora był oryginałem wśród gastronomików PRL, wcale mu bowiem nie zależało na osobistych korzyściach i nieraz wspomagał bohemę z pustą kieszenią, stawiając jej hojnie napitek i jadło.

Drugą jego pasję poza ludźmi sztuki stanowiło kolekcjonerstwo obrazów dawnych mistrzów, rzeźb, zegarów i mebli. Jego mieszkanie na Mokotowie wyglądało jak małe muzeum, gdzie siadywało się w renesansowych fotelach przy starożytnym, stylowym stole i jedząc, pijąc słuchało melodyjek z rokokowych zegarów i patrzyło się na miniatury holenderskie z XVII wieku. Finansowo był niezależny i kiedy brakowało mu pieniędzy, sprzedawał jakiś drobiazg ze swojej kolekcji.

Dla przyjaciół wydawał czwartkowe wieczery i nie tylko trunki, ale także potrawy były znakomite.

Swoje losy na zawsze powiązał ze sztuką i kiedy w wyniku jakichś nieporozumień, konfliktów rozstał się z Klubem Aktora, wtedy wyraźnie stracił swój animusz i humor. Ale i ów sławetny lokal wraz z jego

odejściem stracił swój czar i magnetyczną moc przyciągania. Coraz mniej ludzi z kręgu sztuk pięknych w nim przebywało; zaczęli tam dominować dygnitarze, prywaciarze.

Może przyczyna tkwiła także w ostatecznym pożegnaniu dawnej, przedwojennej epoki. Wówczas już kolejno odchodzili do wieczności jej ostatni, znamienici przedstawiciele.

Władysław Sidorowski odprowadzał ich w kondukcje pogrzebowym na cmentarz i podczas wieczerzy Czwartkowych, których wydawania nie zaprzestał, tematem rozmów były przeważnie wspomnienia o zmarłych. O znanym warszawskim adwokacie Stopnickim, z którym był w przyjaźni od bardzo dawna. O znakomitej aktorce Horeckiej, którą opiekował się w chorobie.

Pił tego, lecz wywodził się z żelaznej szkoły i nigdy się nie upijał, jedynie jego głos brzmiał coraz bardziej niewyraźnie. Alkohol zresztą był tylko inspirującym dodatkiem do rozmów z przyjaciółmi, gawęd, tych dawnych biesiad, kiedy dobra opowieść, żart, anegdota nie opuszczały wesołej kompanii ani na chwilę.

Krótką i ciężką choroba zwała Go tak, jak huragan łamie stare, mocne drzewo. Niewielu już Jego dawnych przyjaciół szło w kondukcje pogrzebowym za trumną. Warto o Nim pamiętać.

8. MAMUŃCIA

I Należy się hold tym babom, omotanym w chusty, szale, I serdaki i salopy, posiniałym od mrozu, które zgrabia- I łymi palcami odwazały renety i oberlandzkie malinowe, I gruszki klapsy i konferencje lub po prostu warzywa; I pory, selery, kalafiory, pietruczę i marchew. Stały tak I od rana po zmrok na rogach ulic, przy wózkach i stra- I ganach. Zależnie od sezonu i mody zachwalały pumeks I do pięt, bagno na mole lub czeską biżuterię, która przez I wiele lat PRL miała znaczne wzięcie, świetnie przecież I imitowała złoto, ładna i różnorodna wabiła stare i mło- I de kobiety. Te handlarki nie miały łatwego życia, prze- I ganiane przez milicjantów, nękanie przez skarbowych I kontrolerów. Nieraz z pokorą zwijały swoje kramy I i przenosiły się gdzie indziej, bywało, że traciły cały I swój towar, zarekwirowany przez bezwzględnych i nie- | przekupnych dręczycieli. Latami ze zmiennym szczęś- | ciem staczały potyczki z władzą i trwały uparcie na I swych handlowych posterunkach. Przeważnie na ich barkach spoczywał ciężar utrzymania rodziny, chłopca, opoja i próżniaka, dzieciaków. Zachowywały przy tym niezmaconą pogodę ducha, a ich dowcip był przysłowiowy, często rubaszny, zaczepny; nie dawały sobie w kaszę dmuchać. Często brały się między sobą za kudły i okładały pięściami. Czyniły to z powodów konkurencyjnych i miłosnych. Bo te „mamuńcie", bezkształt-

ne, omotane w grube warstwy odzieży, ogorzałe od słońca, wiatru, mrozu i nie tylko — nie zatraciły jednak cech płci pięknej, potrzeby uczuć i chłop był dla każdej z nich skarbem największym. Koniecznym podmiotem lub przedmiotem. Nie bez powodu używamy tych dwóch przeciwstawnych pojęć, niejedna bowiem z tych niewiast traktowała mężczyznę jako przedmiot nabyty za wikt, napitek i opierunek. Wielu takich utrzyman- ków przytulało się do tych żywotnych i zaradnych handlarek ulicznych. Jedna z nich, zapamiętana od wczesnych lat pięćdziesiątych i rejestrowana nieprzerwanie do czasów najnowszych, zmieniła tych chłopów niemało. Chyba siedmiu ptaszków gościło w jej ciepłym gniazdku. Zaczynała handel jeszcze podczas okupacji i pierwszy jej chłop był starym, wysłużonym złodzieja- chą, który towarzyszył jej przy straganie, wspierając się o laskę, dotknięty paralizem lewej strony ciała.

Wkrótce odszedł do wieczności. Potem pojawił się następca, nieco podobny do zmarłego, równie jak poprzednik życiem sterany. Unicestwiła go nadmierna skłonność do alkoholu. Najwięcej mówiło się w mieście o trzecim wybrańcu owej handlarki, znacznie od niej młodszym, uśmiechniętym, dowcipnym francie. Długo nie utrzymał się przy jej boku, specjalizował się w zabieraniu jej dziennego utargu i znikaniu na noc z młodymi panienkami. Rozstanie było nader gwałtowne; w walce na pięści odniosła nad nim przewagę.

Najbardziej harmonijnie układały jej się stosunki z ostatnim kochankiem, statecznym mężczyzną w wieku więcej niż średnim. Był to osobnik solidny, pomagał jej w handlu. Sam też w sezonie karnawału zajmował się sprzedażą balonów. Ta otyła Mamuńcia, o twarzy wielkiej i mięsistej, słynąca z męskiego uderzenia „baranem”, przetrwała w różnych miejscach Śródmieścia aż do późnego Gierka. Twarz miała już pomarszczoną jak I pieczone jabłko i często siedząc na rozkładanym krze- I sełku, zapadała w krótką drzemkę, unosiła gwałtownie I głowę i wyciągała głosem zdartym, ale przenikliwym: — Pumeks! Pumeks! Wkładki do butów! Na koniec dnia podjeżdżał po nią samochód marki I Polonez i młody człowiek, rozglądając się jakby wsty- I liwie, pomagał jej załadować do bagażnika przenośny kramik, potem troskliwie ujmował ją pod ramię i sadowił w samochodzie.

Podobno był to jej wnuk, który dorobił się warsztatu naprawy samochodów. Ona mimo sprzeciwu całej rodziny, choć mogła spokojnie dożywać swych dni, uparcie nie chciała zrezygnować z wieloletniego nawyku i tkwiła na ulicznym posterunku. Tak mówiono w mieście i nie wiadomo czy to prawda. W każdym razie ten obrazek ma wymowę symboliczną.

9. RZEŹNICY PIJĄ BYCZĄ KREW

Długi czas pracował u Wojgolda, właściciela sklepu mięsnego i małej rzeźni w podwórzu. U nas, we Włochach, było trochę takich interesów, prowadzonych przez rodziny, od kilku pokoleń zajmujące się tym fachem. Miał opinię znakomitego masarza, specjalisty od kielbas, salcesonów i pasztetowej. Dorywczo okoliczni badylarze zatrudniali go jako świniobójcę. Chętnie pokazywał nóż z długim, owalnym ostrzem, służący do uśmiercania zwierząt. Demonstrował jeden nieomylny cios.

— Zwierzę nie ma prawa się męczyć — powiedział pokazując w uśmiechu śnieżnobiałe, zdrowe jak nie wiem co zęby.

Wajgold jako Niemiec uciekł z Włoch w ostatnich dniach okupacji, i rzeźnik, pan Młotecki, zatrudnił się u Buciarskiego, właściciela masarni po drugiej stronie ulicy.

Podczas okupacji w chlewiku u Buciarskiego hodowaliśmy prosiaka Ferdynanda; miała to być nasza rezerwa żywnościowa. Polubiliśmy z siostrą tego nad wyraz sympatycznego prosiaczka. Nosił na szyi niebieską wstążeczkę. Podbiegał do nas, chrząkał przyjaźnie i łasił się jak pies. Później był z nim dramatyczny problem i kluczową w tym rolę odegrał rzeźnik, pan Młotecki.

Fuchy u badylarzy były dla niego najprzyjemniejsze. Swiniobicie bowiem wieńczyło się popijawą pod świeżą, smażoną wątróbkę z cebulką. Z tych zajęć wracał mocno opity i śpiewał. Szedł zygakiem, trzymając się kierownicy roweru, a jego głos rozchodził się daleko pośród pól. Był to mężczyzna słusznego wzrostu, tęgi, o rumianej twarzy pokrytej zazwyczaj kilkudniowym, czarnym zarostem, i o czarnych, bardzo wesołych oczach. Miał troje ładnych dzieci, dwie dziewczynki i chłopca, oraz także wesołą, choć nietrunkową żonę. W niedzielę chodził z nimi przykładnie do kościoła i na spacer.

Z czasem, kiedy stałem się bardziej dorosły i doświadczony, zorientowałem się, że pan Młotecki bywał podpity permanentnie. Już wczesnym rankiem, spiesząc do pracy, musiał być po kielichu. Oczy mu błyszczały i z bliższej odległości można było poczuć świeżą woń alkoholu. Lubił recytować poezję. Znał mnóstwo sprośnych wierszy Aleksandra Fredry i chętnie się nimi popisywał przed damską publicznością. Na przykład w wędliniarni u Buciarskiego wynurzał się często z zaplecza w białym, pokrwawionym fartuchu, z siekierą czy tasakiem w dłoni i rozpoczynał recytację, powodując piski i chichoty kobiet.

Rzeźnie i wędliniarnie w naszym miasteczku urzędowo odwiedzał pan Cześnin (ojciec głośnego później spikera i komentatora w telewizji), który sprawdzał, czy mięso było badane przez weterynarza i stemplowane niebieskim znakiem na tuszach i połciach wiszących na hakach. Pan Cześnin też był trunkowy i nieraz tego popijał z panem Młoteckim. Szli o zmroku, objęci serdecznie, i głośno śpiewali. Mógł pan Cześnin opowiadać mi o swoim jedyńaku, który wtedy występował jako aktor i recytator w amatorskim zespole przy naszym kościele parafialnym.

Marek Nowakowski

lastępował upadek prywatnej inicjatywy i rzeźnicy [Jeden po drugim zamykali swoje sklepy. Pan Młotecki hako świetny fachowiec nie miał kłopotów z zatrudnieniem; zaczął pracować w miejskiej rzeźni na Pradze. Zwyczajów swoich nie zmienił i podpity jak zawsze, podążał rankiem do przystanku EKD, i bardzo mocno opity wracał wieczorem do domu. Nadal służył swą fachową pomocą badylarzom i wtedy głęboką nocą było słyhać jego wesoly śpiew — wracał z prywatnej fuchy.

— Alkoholik — ubolewał ojciec. — Ale bardzo zacny człowiek.

Pan Młotecki stał się dla mnie kuszącym przykładem pozytywnego działania alkoholu. Patrzyłem na niego z podziwem. Nigdy się nie awanturował i nigdy nie opuszczała go pogoda ducha. Był okazem zdrowia. Choć przecież nieraz przespał się zimą na zlodziałej ziemi czy jesienią gdzieś w błocie przydrożnego rowu, jednak nic mu nie zaszkodziło. Pokątnie mówiono u nas, że rzeźnicy piją byczą krew i stąd ich niewyczerpana witalność.

Pewnego razu, późną, nocną godziną wracał pan Młotecki ze świniobicia u badylarzy. Jego droga prowadziła torem kolejki, a nie miał latarki. Na pewno śpiewał. Ale jego śpiewu nie usłyszał motorniczy.

10. POCHWAŁA KONIA

Gdzie się podziały te stajnie w mieście? Szopy, budy w ciemnych podwórzach, przylepione do parterowych domków ocalałych na Ochocie, Woli czy gdzieś po drugiej stronie Wisły na Bródnie, Pelcowiźnie. Były przypnięte jeszcze przez jakiś czas przy Towarowej, Żelaznej i na Pradze, schowane za plecami starych czynszówek z czerwonej cegły i dochodził stamtąd brzęk łańcucha, chrzęst przeżuwanego obroku, siana i nagle rzenie konia, który wyrażał jakąś końską tęsknotę lub rozpoznawał krok swego pana.

W drugim podwórzu kamienicy na Szmulkach przez wiele lat rozlegał się stukot końskich kopyt i wyjeżdżała z bramy platforma ciągnięta przez potężnego perszero- na. Właściciel konnego pojazdu zajmował się przewozem materiałów budowlanych, węgla. Przez ile to lat stukot kopyt po bruku i ochrypły głos: „Wio, maluśki!” budziły mieszkańców kamienicy. Dzieci miały frajdę. Próbował pogłaskać rumaka po aksamitnych chrapach. Koń szczyrzył wielkie, żółte zęby. Dzieci uciekały z piskiem.

A ta szopka z dachem pokrytym dziurawą papą, którą przybudowano do starożytnego drewnianego „pekimT na Bródnie obok sklepu spożywczego pana Szczepana Padmiewskiego. Była to stajenka Siwka, dorozkarskiej chabety. Chuda szkapina. Sałaciarz też koś-

kiej, sumiaste wąsiska i siny nochał; odziany w długą granatową kapotę, w okrągłej sztywnej czapce z lakierowanym daszkiem na głowie. Codziennie ruszał na swój miejski szlak. Postój dorożek był na Brzeskiej, blisko styku tej ulicy z Żąbkowską. Dorożkami przewożono głównie szkło, meble. Handlarze z bazaru ładowali na nie swoje toboły. Nocą zaś rozbawieni goście wychodzili z „Oazy”, często wsiadali do dryndy i ponaglali konia do galopu. Sałaciarz z Bródna kursował przeważnie po praskiej stronie Wisły. Z rzadka trafiały mu się kursy mostem na drugą stronę rzeki lub do Miedzeszyna i Błot. W schowku pod kozłem ten stary dorożkarz miał zawsze gorzałkę, a ćwiartkę po dawnemu nazywał „czterdziestką”. Natomiast po lewej stronie rzeki popularną postacią w miejskim pejzażu był pan N., posiadacz dorożki z numerem 10 i bułanego konia, wypasionego i zadbanego wałacha. Jego ulubionym miejscem postoju była Lwowska w pobliżu Koszykowej. Pod wieczór udawał się do stajni, którą dzierżawił na Woli przy cmentarzu. Zachowało się tam wiejskie obejście z oborą, kurnikiem i polem dokoła. Właściciel gospodarstwa miał krowę i obok niej przy żłobie nocował bułany wałach pana N.

Można jeszcze wymienić innych furmanów, woźniców, posiadaczy kilku koni i wozów, całych przedsiębiorstw przewozowych. Takim tuzem w konnym transporcie był ojciec mojego kolegi Władka. Cztery konie trzymał w obszernej stajni wśród gruzów na Wroniej. Stąd często jako chłopcy jeździliśmy wozem, dopuszczani łaskawie do trzymania lejca i bata, do składu paszy, który mieścił się w parterowym domku przy placu Zawiszy. Jeszcze wyprawy do kowala! Obrzęd w kuźni. Palenisko, rozżarzone do czerwoności żelazo. Kowal podnosi nogę koniowi, ogląda jego kopyto, nożem wykrawa rogowaciznę. Czynność zakładania podkowy, wbija hufnale. Nieraz zastanawialiśmy się, czy zwierzę czuje ból.

Lata, zimy... konie okryte derkami, żują obrok z zarzuconego na łeb worka. Stoją sobie w letnim słońcu te kasztany, kare i gniadosze i ogonami zamasyżycie oganiają się od much. Tyle obserwacji, które nam, miejskim dzieciakom, dawały wiedzę o przyrodzie i innych niż ludzie stworzeniach. Humory koni, tajemnicze ich zachowania. Bo oto potulne zazwyczaj zwierzę zrywa się nagle do galopu, parska wściekle, pędzi coraz szybciej, nie chce się zatrzymać.

Nie ma śladu dawnych stajni, zniknęły składy paszy. Tam gdzie znajdował się parterowy domek na placu Zawiszy, wyrósł teraz hotel Sobieski.

Tak rozmyślałem nostalgicznie, patrząc na trzy dorożki i konie z ozdobną uprzężą na Rynku Starego Miasta. Na kozłach drzemali wiekowi dorożkarze. Zapytałem jednego z nich o pana N.

— Panie! — odparł. ⁻¹⁻ Dawno już w ziemi leży.

11. WSPOMNIJ TEN DOMEK NA GĘSIÓWCE!...

Był to swoisty Kombinat. Więzienie i obóz pracy przymusowej. Gęsiówka i Monopol. Rozległy obszar na cmentarzu żydowskiej dzielnicy przy ulicy Anielewicza,; dawnej Gęsiej. Starzy więźniowie pamiętają pomnik obrońców getta widoczny z okien cel od strony północ-nej. Pomnik pozostał, więzienia już nie ma. Siedziało tu się lepiej niż na Mokotowie. Większa szansa na wolność. Mokotów przyjmował politycznych. Na Gęsiówce ■ siedzieli kryminaliści, chłopcy za „ziarnka”, handlarze, złotem, tak zwani szkodnicy gospodarczy i za drobne przestępstwa polityczne, jak na przykład „szeptanka” czy słuchanie wrażeń rozgłośni radiowych. Mokotów miał swoją kaźnię, gdzie uśmiercano K-sy. Gęsiówka nie miała takiego miejsca. Życie więźniów na Gęsiówce kształtowała arystokracja. Arystokracją byli kryminaliści, którzy wtedy jeszcze respektowali kodeks etyki przestępczej. Delikwent z wolności przekroczywszy ponurą bramę więzienną, dostawał się na kwarantannę, t gdzie od razu podlegał swoistej edukacji. Często rzucano mu pod nogi ręcznik i jeżeli wytarł buty, był uznawany za swojaka. Jeżeli zaś ominął starannie czysty I ręcznik, zostawał rozpoznany jako frajer. Swojaka B przyjmowano gościnnie do chlewry; siadywał przy stole | innymi złodziejami, sypiał na wyrku i mógł korzystać j z papierosów trzymanyh w szafce wiszącej na ścianie.

Na Gęsiówce obowiązywał trzyszczeblowy system nierówności społecznej. Złodzieje najwyższej specjalizacji, wielokrotni wyrokowcy, nazywali się Londynem i mieli największe przywileje. Gmin złodziejski był nazywany Paryżem. A frajerzy, cała ta przypadkowa gawiedź, rolnicy, szkodnicy gospodarczy i wrogowie ustroju stanowili „getto” i podlegali różnym szykanom oraz upokorzeniom. Zależało to zresztą od kaprysów celowego, pana i władcy społeczności więźniów. Bardzo wymagającym celowym, który stosował surowe represje, był Edek Szatan, znany sutener ze Śródmieścia. Władze więzienne, oddziałowi, inspekcyjni, wychowawcy tolerowali rządy kryminalistów i życie pod celą niewiele ich obchodziło. Ci klawisze i spece o przezwiskach: Chiński Ptak, Mordochłap, Pijaczek używali nawet w rozmowach z więźniami przestępczej „kminy”, która bardziej im odpowiadała niż normalny język. Podobno stary oddziałowy przezwiskiem Alfons przed wojną sam był złodziejem i nadal szanował wysoko wykwalifikowanych przestępców. Więzienie było bardzo stare, pamiętało jeszcze carskie czasy. Zimą palono w piecach na korytarzach; w ten sposób ogrzewano cele. W zimie czy w lecie panował tutaj nieopisany tłok i w ciasnych pomieszczeniach przeznaczonych na dwie, trzy osoby przebywało po kilkunastu więźniów. Najbardziej złą sławą cieszył się VI oddział, gdzie trzymano bandytów, recydywistów, świrusów i III oddział przeznaczony dla małolatów. Stamtąd często było słychać śpiewy, dzikie wrzaski i odgłosy bijatyk. Krnąbrnych pensjonariuszy pacyfikowały tak zwane „nabojki”, złożone z uzbrojonych w pałki i knuty strażników. Wpadali do celi i wywelekali upatrzonych osobników; bili ich i wiązali pasami. Pakowali ich do karcerów, małych klitek, gdzie brodziło się po kostki w wodzie, a zimą przez okno pozbawione szyby dostawał się dokuczliwy ziąb. Gę-

40 Marek Nowakowski

siówka przez kilkanaście lat była miejscem edukacji ludzi słusznie i niesłusznie więzionych. Powstał wtedy hymn tej ciupy na melodię „Wspomnij ten domek w Toledo” i śpiewało się: „Wspomnij ten domek na Gęsiówce, kryty w kraty, automaty, rzędem stoją wartownicy, naczelnika sroga twarz”. W tamtych latach wśród więźniów niezwykle popularny był anonimowy szlagier „Jam złodziej czarodziej, syn życia ulicy”.

Korzystając z tej romantycznej pieśni można sobie wyobrazić więźnia złodziejskiej profesji opuszczającego gościnne mury Gęsiówki. „Zgrzytnęła więzienna brama i kumple krzyknęli: »Niech żyje złodziej czarodziej, dla niego na wolności roboty jest dość!« I wyszedł na wol-; ność, wódzia się skrzyła jak kropla rosy, rój dziewcząt dokoła...” Tą pieśnią okraszali swe ciężkie i marne życie złodzieje, a mit wolności, pełnej pięknych kochanek, śmiałych skoków i dużego szmalu przydawał im siły ducha. Pod koniec lat pięćdziesiątych nastąpiła rozbiórka Gęsiówki i Monopolu. Po tym sławetnym więzieniu nie pozostało ani śladu.

W felietonie „Pamięć” zostało zniekształcone nazwisko autora listu. Powinno być: Mieczysław Musiałkiewicz. Ponadto na Babice, przed wojną jak i w czasie okupacji, jeździł tramwaj Ba, zwany „Betką”, a nie 6a.

12. HALA NA KOSZYKACH

Tutaj duchy przeszłości mają swoje oparcie w murach. Nie błąkają się bezdomnie po obcych placach, pośród słupów wieżowców i pudłowatych bloków. Bo w naszym mieście przeważnie wypędzono czas przeszły z teraźniejszości. Ale na Koszykach tak nie jest. Stara hala targowa, płaskorzeźby na frontonie, te ozdoby wykute w kamieniu. Jej kształt i wygląd. Wszystko pozostało, choć bolesną starość widać wyraźnie. Szare, odrapane tynki, rysy w murach i wnętrze brudne, zaniedbane, ciemne plamy zacieków. Ręka gospodarzy miasta nie zadbała o historię zaklętą w tych murach i jak dotąd obchodzi się z budynkiem po macoszemu. Ale po dawnemu kipi tu handel, ludzie sprzedają i kupują, a ulica w mrocznych fragmentach wygląda po dawnemu. Kamienice, ciemne bramy, oficyny i choć nie ma starej knajpy (salka na piętrze i parę stolików wyżej na antresoli), to powstało kilka nowych barów, gdzie można wypić piwo i coś zjeść. Pobliskie ulice: Lwowska, Nowakowskiego, Poznańska, Emilii Plater zachowały swój warszawski wygląd i stanowią naturalne otoczenie hali na Koszykach. A co starsi warszawiacy przymkną na chwilę oczy i już widzą dawną atmosferę tej enklawy. Handlowy ruch o świcie, dostawcy przywożą towary, przed knajpą (tradycyjne trzy schodki do drzwi!) stoją cierpliwie hulacy po pijackiej nocy w „Polonii”, „Ka

skadzie" i „Stolicy". Bar był bardzo wcześnie otwierany, 6 lub 7 rano cieszył się wielkim wzięciem. A jeszcze starsi przypomną sobie Koszyki podczas okupacji. Baby ze szmugłem. Ta rąbanka, słonina, kaszanka... Harmonista w żołnierskiej rogatywce gra i wyśpiewuje pieśni klęski o Wrześniu 1939 roku. Nagle ucieczki do bram zwiastują pojawienie się żandarmów i granatowych policjantów.

Moja siostra, która uczęszczała na okupacyjne komplety gimnazjum Królowej Jadwigi przy ulicy Koszykowej, tak właśnie zapamiętała ten rewir wokół hali targowej.

Natomiast piszący owe słowa, który we wczesnych latach pięćdziesiątych snuł się niezmordowanie ulicami miasta, pamięta doskonale Waldka Szramkę, faceta z blizną na policzku. Szramka królował wśród pokątnych handlarzy, paserów i złodziejasków na warzywnym placu na Polnej przy Politechnice, sięgając swymi wpływami pod halę na Koszykach. Chodził po cwa- niacku, rozkołysanym krokiem, z pochylonym do przodu korpusem i głową wsuniętą w ramiona, pilnując rozmaitych, przeważnie ciemnych interesów. Ach, te Koszyki!!!...

13. REBE

W owych zamierzchłych czasach odwiedzałem często Ceśka Kulasa. Stał wtedy ze swoim wózkiem na Żelaznej przy Chmielnej w pobliżu restauracji „Orłówka". Gruby, niekształtny, z jedną nogą drewnianą, o ogromnej twarzy koloru żółtawego, bez zarostu i o żółtych oczach jadowitego węża. Głos miał ochryply, z piskliwymi dysonansami. Otaczał go rój bab starych i młodych, handlujących własnym ciałem, drobnicą, wódką na stakany z torby i czym tam jeszcze można było pokątnie obracać. Były to jego ciotki, szwagierki, kochanki i przychodziły nawet jego babki, bezzębne, pomarszczone staruchy. Jedna z tych weteranek wyśpiewywała zdartym głosem ballady o Murce, Felisiu Zdankiewiczzu i Wiktorze Zielińskim, który nastrzelał tylu hintów, a zdradziła go wiarołomna kochanka.

— Baba to istota niezbadana — powiadał Kulas i podszczypywał w pośladki którąś z najmłodszych przedstawicielek płci pięknej. Pod koniec handlowego dnia lubił popijać i wtedy stawał się gadatliwy. Był to czas, kiedy kobiety odchodziły, a na ich miejsce przychodzili mężczyźni. Schwagroszczaki, bracia, bratankowie, wujkowie, wspólnicy. Kulas bardzo był szanowany. Jego rady miały charakter bezcennych wskazówek i słuchano ich pilnie.

Marek Nowakowski

— Żydów zabrakło — śmiał się bezgłośnie. -H teraz za rebeego jestem.

Pomagałem mu zwijać majdan. Ładowaliśmy puste skrzynki po owocach na wózek, przykrywaliśmy brezentową plandeką. Zazwyczaj z przepaścistych kieszeni swej burej katany wyciągał jeszcze ćwiartkę i raczył się tęgimi łykami. Zapalał papierosa, opierał się własną nogą o burtę wózka, wicherzył kudłaty grzbiet swego pokracznego pieska, który nigdy nie szczekał, i mówił tak:

— Ta Stefa to ździra. Chłop jej trochę po schabach dołożył i ona, bladź, meldunek na niego złożyła do mentowni. Ciągają go na przesłuchania i ona teraz płacze. Sprawy należy załatwiać między sobą. Wszystkie!; Żydowi wytlukli zęby i paluchy u prawej ręki mu połamali. I tak ulgowo się z nim obeszli. Przed wojną taki Żyd nie miałby prawa chodzić między żywymi po tym padole.

Urwał nagle swoją nieśpieszną gadkę i patrzył przed siebie. Jego żółte oczy wydawały się uśpione, martwe. Ożywił się znów:

— Wujek mnie odwiedził. Aż z Ząbek przyjechał. Kaju, znaczy syn, go oskubał. Miał wujek trochę blitu pod podłogą i Kaju mu zajmował. Sknera z tego wujka. Tak zbierał, zbierał. Ma teraz za swoje. Jego żona nieboszczka też taki charakter miała. Razu pewnego prosiła mnie o parę złotych pod zastaw. Miał to być blint. A to był tombak! — Przełknął łyk gorzałki. — Chłopaki z Gibalaka narzekają, że paser Pchelka marnie im płaci. Dawałem im Kiciuchę, a oni nie chcieli. Niektórzy całe życie się uczą i nic się nie nauczą. A Staškowi Trąbali kobita się z frajerem puściła i on chła na umór, płacze. Wyrzuć tę ździrę, baranie! Wez sobie inną, charakterną. Bo mało to tego towaru. »Ni^e mogę«, powiada, »pasuje mi ona«. Są tacy, co jak się

POWIDOKI 2 45

dorwą do babskiego miodu, rozum odstawiają na bocznice.

Opowiadał o niejakiem Esym, którego oszabił najbliższy wspólnik.

—Należy wyczuć przewalistego wspólnika — mówił. — Jak nie możesz wyczuć, to pracuj tylko w pojedynkę. Nawet brat bratu może zrobić przewal.

Był nieprzejednany wobec kapusiów i z lubością opowiadał, jak za jego młodych lat obchodzili się z tą marnotą, najmarniejszą, jaką jest taki pomiot Judasza. Jednocześnie szydził z innych wózkarzy, którzy miewali kłopoty z milicją:

— Czy oni dziś się urodzili? Glinom należy odpalać parę złotych. A jeszcze... — ściszał głos do świstu, a jego oczy żółkły jeszcze bardziej; istny grzechotnik -r- ...trzeba trochę podkapować. Sprzedać tego czy tamtego i już dobry jesteś.

— Jak to? — zdumiałem się naiwnie.

Popatrzył na mnie pobłażliwie.

— Mało to frajerów krząta się w naszej branży. Chamów nazjeżdżało się do miasta od groma. Takim chleba dać na lewo to żaden grzech.

Cesiek Kulas urodził się w okolicach placu Grzybowskiego, na Grzybowie, jak mówił, i miał w młodości wielu przyjaciół wśród Żydów. Jakiegoś Abramka Cebule, Miękkiego Joska, Wowkę Litwaka. Zawdzięczał im cenne doświadczenia i umiejętności. Jednego z nich nazywał swoim mistrzem. Zapytany o ich dalsze losy, odpowiadał krótko:

— Zabrali ich do gazu.

Sam Kulas nazwisko miał o brzmieniu rosyjskim. Jego dziadek był wysiedlonym z Moskwy do Kongresówki kryminalistą. Kulas szczyił się swoim przodkiem i znał wymyślne ruskie przekleństwa.

— Jeszcze z carskich czasów — mówił. — Urki na katordze tak bluzgali.

Mieszkał na Krochmalnej w zrujnowanej kamienicy, której wielkopokojowe, mieszczańskie mieszkanie zamieniono na klitki przedzielone ściankami z dykty, ze wspólną kuchnią. W jego pokoju drzwi wychodziły w przepaść. Balkon bowiem został utracony artyleryjskim pociskiem w czasie powstania i często w trakcie libacji Kulas proponował żartobliwie biesiadnikom przewietrzenie się na nie istniejącym balkonie. Pierwsza żona umarła mu na galopujące suchoty. Z drugą się rozstał. Bładź! — tak ją nazywał.

Z tych związków miał dwoje dzieci. Syna i córkę. Mówił o nich niewiele. Wyjechali gdzieś w Polskę. Żył z kochanką. Była to młoda dziewczyna, którą poznał na dworcu.

— Giganciara, wziąłem ją na chawirę. — Czasem bił ją za rozmaite wykroczenia i kiedy przynosiła mu z domu gorące jedzenie w garnkach, można to było łatwo poznać; przeważnie podbijał jej oczy.

— Żeluję patrzalki — powiadał z satysfakcją.; Podobno ona chodziła do miasta. Puszczala się za forszę.

Żył Kulas długo, zmieniali się dzielnicowi w komisariacie, po ulicach krzatali się młodzi złodzieje. Znał wszystkich i niezmiennie cieszył się poważaniem. •

Jesienią 1963 roku znaleziono go martwego w kartoflisku na praskich krańcach Warszawy, gdzie zabudowa miejska kończyła się już i zaczynały pola. Nie wyjaśnione pozostały przyczyny jego śmierci. Mógł się udać w odwiedzinach do kumpli i popiwszy ponad miarę, kiedy wracał do domu, zwałił się w brudę i udusił we własnych wymiocinach. A mogły to być porachunki i padł ofiarą zemsty współników. Jeżeli tak się stało, to

POWIDOKI 2 47

według jego dekalogu tamci byli lepsi od niego. Mocniejszy, bardziej bezwzględny jest zawsze górą. Taką wyznawał dewizę.

Miasto od tamtych lat bardzo się zmieniło i mało pozostało ludzi, którzy jeszcze pamiętają Kulasa. Dlatego warto tę sugestywną postać przypomnieć.

14. PAN DUNIN BORKOWSKI

Szedłem kiedyś z panem Jerzym ulicą Emilii Plater. 3

— Dziewicy bohater! — jak powiedzieliśmy prawie jednocześnie, śmiejąc się trochę niestosownie z narodowej świętości.

Spacery z nim dostarczały mi ciągle nowych wrażeń. Dom i ulice zawsze kojarzyły mu się z nieoczekiwanym] zdarzeniem, ciekawym człowiekiem. Tu był sklep anty- kwariusza. Dom nie istnieje. Antykwariusz też nie. Ale pan Jerzy z łatwością wskrzesza przeszłość. Stare dokumenty, które posiadał antykwariusz. Pergaminy ze szlacheckich procesów sądowych w XVI wieku. Tam znów! Wskazał puste miejsce między domami. Na drugim piętrze mieszkał ognisty Gruzin, oficer kontraktowy. Miał piękną żonę, gruzińską księżniczkę, i parę starożytnych drobiazgów.

— Polowałem na nie cierpliwie. — Pan Jerzy uśmiecha się przebiegle.

Jerzy Dunin Borkowski był znanym kolekcjonerem. Właścicielem historycznej apteki w Krośniewicach pod Kutnem. Twarz miał pulchną, o regularnych rysach, usta smakosza, oczy błękitne, łagodne. Marian Brandys z sentymentem wspomina wizyty w Krośniewicach. Wertował bogate zbiory i stamtąd zaczerpnął wiele materiałów o rotmistrzu Kozietulskim, pani Walewskiej. Marian Brandys spostrzegł, że Jerzy jest ludzako podobny do króla Stanisława Augusta. A że król Staś był znany z licznych romansów... Hipoteza kusząca.

Innym znów razem doszliśmy do Wilczej i pan Jerzy zatrzymał się nagle. Weszliśmy w bramę jakiejś kamienicy, podwórzem do oficyny. Tu mieszkał pewien numizmatyk. Jego zbiory uchodziły w kręgach znawców za niezwykle bogate. Jeździł po Europie i wystawiał rozmaite unikatowe okazy. Kompletował, wymieniał, sprzedawał. Po wojnie, już w PRL, dalej oddawał się swojej pasji. Lata płynęły i był bardzo stary. Stary i samotny. Do nikogo nie miał zaufania, a wszystkich swoich krewnych traktował jako żarłoczne hieny czyhające na spadek. Zwierzył się panu Jerzemu, że najcenniejsze swoje monety ukrył we framudze drzwi w mieszkaniu. Dalsza opowieść dotyczyła żmudnych i bezowocnych poszukiwań czynionych przez spadkobierców po jego śmierci.

— Przeorali od podłogi po sufit — mówił pan Jerzy — obstukiwali ściany, zrywali klepki z podłogi, kafle z pieca... i nie odnaleźli skarbu!

Pan Jerzy Dunin Borkowski też już był wiekowy. Zbliżała się okrągła osiemdziesiątka. Zbiory w Krośniewicach przekazał Muzeum Narodowemu i stał się ich kustoszem. Nadal zapraszał do siebie na tęgie nalewki i smakowite potrawy, które sam przyrządzał. Nie bardzo był zadowolony z owocu swego żywota. Syn sprawiał mu wiele kłopotów, a kolejne jego żony były źródłem rozmaitych zmartwień. Ponadto syn nie odziedziczył po nim pięknej pasji zbieractwa i dla niego były to tylko pieniądze, duże pieniądze. Tak mówił ze smutną rezygnacją Jerzy Dunin Borkowski, zawołany koneser sztuki, znawca historii, miłośnik pięknych kobiet, dobrych trunków, smacznych potraw.

Przypominam go sobie z rozmaitych przyjemnych spotkań. „Gastronomia”, dosyć podła knajpa naprzeciw

Marek Nowakowski

Muzeum Narodowego. Rok 1961. Dostojnie wkracza pan Jerzy, wspierając się na lasce.

— Dziecinko... — zwraca się do potężnej jak Kariatyda, opryskliwej kelnerki. Coś wywodzi łągodnie. Jej twarz też łągodnieje. Kobieta zaczyna gorliwie potaki-j wać.

Jaka to była uczta! Pitrasili, smażyli w kuchni na specjalne zamówienie. Stolik obsiadło grono bliższych] i dalszych znajomych. Coś sprzedał do muzeum. Zacie-j rali dłonie pieczeniarze. Jakiś drobiazg z jego kolekcji.] Zaczynała się biesiada, zwana przez pana Jerzego] „śniadankiem”, która przeciągała się zazwyczaj do wieczora. Jerzy Dunin Borkowski: owalna, miękka twarz, nieco kobieca ta miękkość, białe, aż jedwabiste włosy, i nos orli starej rasy, oczy tak łągodne, aż maślane, wzrostu niedużego, tęgawy; poruszał się bardzo powoMjj drobnym kroczeniem. Rzeczywiście! Nałożyć mu perukę^ obsypaną pudrem, ubrać w bogato zdobiony zaMsM obcisłe białe pończochy, przypasać szpadę do boku. Postać z dworu króla Stasia, może z obiadów czwartkowi wych. Bardzo lubił rozmowę przy biesiadnym stole; słuchał z uwagą nawet największych nudziarzy. Serdeczny staropolski gospodarz.

Oto „Kameralna” w późnych latach sześćdziesią] tych. Zawitał pan Jerzy samotnie i umościł się w zatoczce za barem. Od razu podbiegł kelner, rozpromie* niony, w lansadach. Zjawił się przecież tak dobry gość. Obok w tej samej zatoczce siedział w aktorskiej kompanii Henryk Bąk, świętej pamięci pijak zawołany. A

Stolik pana Jerzego wkrótce nabrał magnetycznej mocy. Przysiadł się do niego Julek Żebrowski, znany rysownik i karykaturzysta. Pan Sidorowski, kierownik Klubu Aktora. Inżynier Hozer ze znanej przed wojn4 ogrodniczej rodziny Hozerów. Krążył też w pobliżu tegi jegomość z gildii kolekcjonerów (pasy słuckie to jego specjalność), zwany hrabią Dzidkiem. Ale jego pan Jerzy do swojej kompanii nie zaprosił. To było śniadanie zaiste królewskie! Toczyło się wartko i przyjemnie kilka godzin. Żadnych animozji, śladu agresji, choć czas był ponury, marzec 1968 roku. Rozmowa o pięknych rzeczach i pięknych kobietach. Rzeczy, o których mówiono, były na ogół bardzo stare. Kobiety — bardzo młode i ładne. To dobry kontrast. Właściwie tylko z pozoru kontrast. Harmonia w istocie. Czasem oczywiście trącano w rozmowie sprawy ciemne, dramatyczne. Dochodziła do głosu współczesna historia. Lecz dramatyzm bywał łągodzony żartem, kpina. W tym celował pan Jerzy. Koil i łągodził atmosferę swoim aksamitnym głosem, zabarwionym lekkim dystansem. Nigdy nie widziałem go w złym humorze. Świetnie opowiadał. Na przykład o swoim znajomym numizmatyku, który był cenionym prawnikiem, sędzią Sądu Najwyższego. Pewnego razu ów numizmatyk nie mógł się oprzeć pokusie i ukradł do swojej kolekcji brakującą monetę, talar czy dukat sprzed setek lat. Napięcie i sceneria tego zajścia, które miało miejsce w czasie posiedzenia szanowanego grona zbieraczy, ludzi nieposzlakowanej uczciwości. Jak to zostało opowiedziane! Także o pewnym fanatyku starych zegarów, który za jeden z nich odstąpił swoją kochankę. Śmiał się Jerzy Dunin Borkowski, przechodząc od cieniutkiego perlistego chichotu do stento- rowego huczącego śmiechu.

Sam pan Jerzy również był zdolny do różnych poświęceń dla swojej kolekcji. Posuwał się nawet do jawnych pochlebstw wobec obcej mu przecież „ludowej władzy”. Zapraszał do Krośniewic możnych świata PRL, gościł ich wystawnie, czarował, pokazywał zbiory starych ksiąg, przedmiotów, obrazów, broni. Między innymi wódz marcowych partyzantów, generał Moczar, odwiedzał Krośniewice i pan Jerzy ze słodko-cyniczną

Marek Nowakowski

szczerością relacjonował wizytę generała i uroki przyjęcia, które mu zgotował. Było ognisko w ogrodzie, pieczone prosię, dla dekoracji ustawił nawet armatę z czasu szwedzkiego potopu. Wyglądał jak siwy paw, taki gatunek bez tęczyowych kolorów, widać zanikły z wiekiem. Ale zachował wewnętrzną krasę. Pamiętam, jak ożywił martwą, zatęchłą atmosferę „Dzika”, który po dawnej świetności stał się typową, socjalistyczny knajpą. Kelnerzy zaczęli się zważniej poruszać. Uśmiechy pojawiły się na ich dotychczas ponurych twarzach. A z kuchni wyjrzał mistrz patelni i rondla w wysokiej białej czapie i jego zubożniałe oczy zaczęły nabierać blasku. Wdał się z panem Jerzym w fachową dyskusję o przyrządzaniu jakiejś potrawy.

Ostatni raz wypiliśmy po koniaku Ararat w jakiejś kawiarni. Zapadła ciemność. Zastanawialiśmy się, gdzie by tu pójść dalej. Lecz warszawska noc stanu wojennego była martwa, jałowa.

— Zafundował nam uroki życia ten synalek herbowego dziedzica! — zaśmiał się pan Jerzy.

— Kto? — nie zrozumiałem.

— Jaruzelski — odparł.

Nie było gdzie iść. Rozstaliśmy się zrezygnowani. Nie spotkałem już pana Jerzego więcej. Kilka lat minęło od Jego śmierci.

15. POGULAJEM!

Na widok butelki zacierał dłonie. Lubił pochlać i zabawić się. Przyszedł do nas z berlingowcami. Zaczął urzędować w powiatowej bezpiece. Rogatywka na głowie, mundur obciśnięty pasem i koalicijką, błyszczące cholewy butów; prezentował się jak przedwojenny oficer. Wysoki, postawny, chodził na szeroko rozstawionych nogach, wyglansowane oficerki skrzyślały, przy boku kolebał mu się nagan w parcianej kaburze. Urząd bezpieczeństwa rozgościł się w willi piaskowego koloru przy ulicy Piłsudskiego i w piwnicach trzymano wroga klasowego. Czasem wróg klasowy krzyczał przenikliwie i te głosy dobiegały z piwnicznych okienek. Porucznik blisko miał ze swojej pracy do knajpy Dziadka i często tam zachodził. Pił przy bufecie dużymi szklankami. Jednym haustem, i już. Potem wąchał razowy chleb i przegryzał kwaszonym ogórkiem. To była ruska szkoła. Tak mówili znawcy obyczajów. Naturę miał towarzyską, zycliwie zerkał na biesiadujących. Wtedy hucznie się biesiadowało z powodu końca okupacji niemieckiej i nadziei, że Amerykanie nie zostawią nas samopas w sowieckich łapach. Ludzie raczej stronili od porucznika. Wiadomo było, do czego służy bezpieka. Porucznik owym chłodem wcale się nie zrażał i jeżeli tylko zderzył się z kimś spojrzeniem, od razu uśmiechał się szeroko i zapraszał.

54 Marek Nowakowski

— Proszu! Proszu! — powtarzał zaciągając śpiewj nie.

Tak zwabił na kielicha jednego węglarza przezwii skiem Konewka (który mógł wychlać jak smok) i młodego eleganta Jerzyka, który akurat zwiął z obozu w Rembertowie. Tam NKWD i bezpieka gromadziły! akowców przed wywózką na Sybir. Jerzyk był szczęściarzem i udało mu się zbiec. Czas był mroźny, zimowy, a Jerzyk przybiegł do naszego miasteczka o świcie w samej tylko koszuli i skarpetkach. Chyba pobił jakiś rekord na długim dystansie. Taką złapał kondycję, że jeszcze mógłby biec dalej. Ukrywał się po piwnicach i szopach. Dobrzy ludzie mu pomagali, jak mogli. A już u Dziadka opędzić się nie mógł od zyczliwości® i każdy poczytywał sobie za obowiązek postawić mu wódkę. Wpadł w oko porucznikowi bezpieki. Musiał się z nim napić. Zakrzusił się gorzałą i bardzo był spięty. Cały czas myślał, czy aby nie został rozpracowany. Węglarz Konewka wziął cały ciężar rozmowy na siebie i kopiać pod stołem Jerzyka, gorliwie potakiwał porucznikowi, który w miarę wypijanych szklaneczek zapalał się do tematów ogólnych. Przedstawiał wizję nowej Polski, ojczyzny robotników i chłopów. Niekiedy zgrzytał pięknymi, białymi zębami i gromił jaśniepanów, krwiopijców i wyzyskiwaczy, całą tę swolocz, która przeszkadza w budowie lepszego jutra.

— Pogulajem! — zawołał.

Wytoczyli się od Dziadka w poszukiwaniu pto pięknej. Po parku spacerowały jakieś dziewczyny i || rucznik obłapiwszy jedną, spróbował amorów i S garnął jej kieckę.

— Ach, ty knurze! — wrzasnęła dziewczyna i tygrysica przeorała mu pazurami twarz.

Porucznik zakwiczał i puścił dziewczynę. Uciekła-

POWIDOKI 2 55

— Krasawica — powiedział ocierając pokrwawioną twarz.

Spodobała mu się jej nieustępliwość.

Jeszcze napili się bimbrow w którejś z licznych sodo- wiarni na targu przy kościele, gdzie porucznik oznajmił, że religia to opium dla mas, i nic więcej.

Rozstali się głęboką nocą w braterskiej komitywie, a wcześniej obślinał ich pocałunkami, zapewniając o dozgonnej przyjaźni.

Po tym wydarzeniu Jerzyk, uciekinier z obozu w Rembertowie, unikał knajpy Dziadka. Porucznik jednak o nim nie zapomniał i co raz dopytywał się o niego.

Niektórzy przetrzymywani w piwnicach urzędu wychodzili na wolność po krótszym lub dłuższym śledztwie i zwierali się szeptem, że porucznik nie jest od tego, by nie przyłożyć pięścią czy dokopać nogą w wyglansowanym bucie podczas przesłuchania. Przebywał w naszym miasteczku około roku i przeniesiono go do innych zadań. Podobno objął placówkę w Łomży, gdzie leśny opór nadal był silny.

16. NIE PODSZYWAJ SIĘ, ZGREDZIE!

Ach, ten Kaczorek! Był z pierwszej ligi doliniarzy tamtych lat. Nieduży, chudy, łapki miał chwytny i wążutkie, oczy jak czarne gałki. Pochodził z zacnej rodziny — tatuś z mamusią zajmowali się „kieszonią”; mieszkał w barakach na Annopolu. Tam to od jego gadatliwej babki, która sięgała pamięcią do czasów zaboru rosyjskiego w Warszawie, dowiedziałem się o renomowanych szkołach złodziejskich, manekinach obwieszonych dzwoneczkami i niezwykle trudnej sztuce obrabiania tych manekinów bez potrącenia dzwoneczków. Sam Kaczorek, osoba pełna energii i inwencji, grasował w tramwajach, na dworcach, czasem puszczał się w trasy, czyli podróż pociągiem do Krakowa, Poznania czy Gdańska. Z owych łupieżczych wypraw przywoził „kusz”, jak mawiał. Były to kłęby pomiętych banknotów, zegarki, portfele, portmonetki. Dowody osobiste i inne dokumenty, jak na solidnego doliniarza przystało, wrzucał do skrzynek pocztowych, a forszę przeznaczał na hulanki. Prawdziwy złodziej bawi się do upadłego. Pamiętam, jak w praskiej „Oazie” rozochocony Kaczorek opłaciwszy hojnie orkiestrę, nakazał jej zagrać swoją ulubioną melodię i sam śpiewał rzewnie: „Jam złodziej czarodziej, syn życia ulicy, przede mną wielki, otwarty jest świat...”

On to wprowadził mnie w bogactwo języka „Kar-

mańszczyków”; poznałem tajemne słowa z Kminy, takie jak: skaza, sikor, styja, skóra, facjenta, zeks itp. Był doliniarzem fartownym i na brak gotówki nie narzekał, choć zdarzały mu się wpadki. Wtedy siłą rzeczy stawał się pensjonariuszem zakładów karnych. Poznał wiele tium od Gęsiówki, Toledo poczynając, po Siedlce, Hławę, Strzelce Opolskie, Wiśnicz, Goleniów. W więzieniu oddawał się sztuce. Był artystą od rysowania wzorów tatuaży i umiejętnego ich wykluwania na torsach, brzuchach i rękach współwięźniów. Mieć wzorek wydziargany przez Kaczorka, to był nie lada zaszczyt! Sam Kaczorek też poznał sobie ciało płataniną węży, sztyletów, kielichów, kart, wschodów i zachodów słońca, portretami pięknych dam. Wyglądał jak totem.

Bez wątpienia był Kaczorek niezwykle barwną postacią mego miasta i rozmowa z nim podnosiła na duchu ze względu na jego pogodę ducha i stoicki spokój, z jakim znosił rozmaite przeciwieństwa losu.

Lata mijały, ciężar wieku przygniatał i zgodnie z nieubłaganymi prawami natury Kaczorek przeszedł na złodziejską emeryturę. Krzątał się trochę przy bazarze, handlował wódką i w czasie przechodzenia socjalizmu w kapitalizm nabył tzw. „szczęki” i zajął się bez reszty kupiectwem. Dobrał sobie odpowiedniego współnika i osiągnął wyższy stopień w handlu: mają budę, w której oferują szeroki wachlarz towarów delikatesowych.

Opowiadał mi z rozbawieniem, jak to niedawno chcieli go obrobić doliniarze. Przytrzymał jednego za rączkę i rzekł:

— Nie ze mną te numery! Sam kiedyś chodziłem za kieszenią. — Następnie wdał się z nimi w przyjazną rozmowę.

Ale ostatnio zdarzyła mu się przygoda, która dotknęła go bardzo boleśnie. Późnym wieczorem dopadła

Kaczorka wataha małolatów. Przycisnęli go do ściany i zaczęli rewizję. Zabrali mu dwa miliony, zegarek i złoty łańcuszek.

— Chłopaki! — próbował się bronić. — Ja jestem 'i z ferajny! Żaden frajer! Siedziałem nieraz w pudle... — Rozdarł koszulę na piersiach. — Jakie mam wzorki! Patrzcie! Prawidłowe, złodziejskie wzorki.

Wyśmiali go.

— Nie podszywaj się, zgredzie! — powiedział jeden z tych wilków.

Przyłożyli mu parę kopów i kazali iść precz.

— Ale to już! Bo cię sflekujemy!

Odszedł z krwawą raną w swoim złodziejskim sercu.

17. GEOMETRA

Spotkałem starca na placu przed Pałacem Kultury. Był ubrany w bardzo zniszczony garnitur, wytłuszczony krawat jak postronek dyndał mu u kołnierzyka brudnej, zmiętej koszuli. Czarne, popękane buty były wyczyszczone do połysku, ale równocześnie na obcasach i noskach widniało suche błoto z czasu pluchy. Rozśmieszała czarna szmatka, która niegdyś była białą chusteczką, wetknięta fantazyjnie w jego butonierkę. Musiał kiedyś przywiązywać duże znaczenie do eleganckiego stroju, choć już mu teraz nie starczało siły na dbałość o czystość ubrania. Bardzo był omszały ze starości, twarz miał suchą, o pergaminowej, naciągniętej na kościach skórze, mimo upału nie było na niej choćby kropelki potu. W dziennym świetle pod letnim słońcem wyglądał jak jakiś nocny stwór, który nie wiezieć czemu, wypełził ze swojej nory. Sprawiał wrażenie bardzo zaaferowanego i zachowywał się osobliwie.

Drobnym kroczkiem przemierzał przestrzeń wzdłuż monumentalnych schodów prowadzących do bram Pałacu Kultury. Oddalił się nieco i popatrzył na betonową przestrzeń przed sobą. Z trudem wspiął się na jeden stopień, drugi. Szukał czegoś? Coś zgubił? Zapatrzyłem się na niego.

A on nieomylnie odczytał moje nieme pytanie. Ostrożnie, zginając sztywne nogi, już zbliżał się do

60 Marek Nowakowski

mnie. Oczy miał zamglone, bardzo stare i sowe, jego szorstka skóra, napięta ponad wytrzymałość na kościach twarzy, była szara, jak przysypana wapiennymi pyłem, ale w brodzie pozostały mu ślady uporu, stanowczości, przede wszystkim w mocnym, kwadratowym jej zarysie.

— Zgadł pan szanowny — powiedział cichym[^] prawie bezdźwięcznym głosem. — Szukam swojej przeszłości.

Już razem chodziliśmy wzdłuż wielkich, szerokich stopni przy wejściu do pałacu. Starzec odmierzał skrupulatnie odległość. Ja mu asystowałem.

— Tu Zielna zbiegała się z Wielką — mamrotał. — Tam Chmielna! Nie! Tutaj. A Złota gdzie?...

Bardzo trudno było na tym rozległym obszarze placu z wielką budowlą pośrodku spróbować odtworzyć dawną topografię. Starzec jednak nie ustępował. Wciąż odmierzał teren krokami i odmierzał. Już miał pewność. Za chwilę ogarniały go wątpliwości. Wreszcie wyrósł przed nim wyimaginowany dom. Stary człowiek zadarł głowę.

— Jeszcze mój ojciec wybudował — zaczął opowiadać. — Zaraz po wojnie rosyjsko-japońskiej. Czynszówka, czteropiętrowa, dwie oficyny. Od frontu na parterze artykuły kolonialne, sklep Trockiera, jątka Korczaka, modystka, zegarmistrz. Dwie klatki schodowe, frontowa i kuchenna. Pierwsze piętro eleganckie, najdroższe. Wyżej taniało...

Przejął po ojcu kamienicę. Zajmował się handlem manufakturą, jak powiedział łódzką i bielską. Przed wielkim kryzysem doszedł do znacznej zamożności. Jedną całą oficynę przeznaczył na magazyn. Jego dzieci uczęszczały do renomowanej, drogiej szkoły. Kryzys go mocno uderzył. Towar potaniał, ludzie interesu często, gęsto plajtowali. Dzięki czynszowi od lokatorów prze

POWIDOKI 2 61

trzymał ten trudny czas. Powoli wracała koniunktura i zaczęło mu się polepszać. Wtedy wybuchła wojna. Uciekał przed Niemcami na Wschód. Zawrócił od Siedlec, kiedy się dowiedział, że Sowieci przekroczyli granicę, i z powrotem przywędrował do Warszawy. Jego kamienica nie ucierpiała bardzo podczas oblężenia miasta, tylko dwa balkony zostały utracone pociskami artyleryjskimi. Przetrwiała w nie naruszonym kształcie także powstanie i po wojnie jeszcze stała, okopcona nieco i posiekana pociskami, ale cała. Dopiero kiedy zaczęli budować Pałac Kultury, zburzyli ją.

— Zapewne pragnie pan dochodzić swoich praw? — zapytałem.

Pokręcił przecząco głową i uśmiechnął się lekko.

— Dla pamięci tylko to czynię — wyjaśnił. — Niech dzieci i wnuki wiedzą, skąd się wzięły i co mieliśmy. Dużo im opowiadam. A one się śmieją ze starego safandudy. Może sobie przede wszystkim chcę przypomnieć to, co było i minęło. Te stare dzieje...

Już więcej się nie odezwał i znów sztywnym drobnym kroczeniem, odrywając z trudem stopy od ziemi, odmierzał dawne swoje przestrzenie. Te wszystkie mury, oficyny, podwórza. Twarz miał skupioną, cały był pogrążony w wysiłku odkopywania umarłej przeszłości. Nieraz cień wyraźnej satysfakcji przesunął się po tej pergaminowej, ściągniętej twarzy. Być może coś szczególnie ważnego i cennego zdołał sobie przypomnieć. Nie był więc daremny mózół tego wiekowego geometry, co z niebytu był wskrzeszał.

18. LIST Z DALEKA

To były bardzo dawne rzeczy. Krążyliśmy jak ćmy w śródmiejskim kwartale. Penetrowaliśmy matecznik bazaru Różyckiego. Poznawaliśmy starych urków, opromienionych legendą. Obtatuowany paser powtarzał z dumą:

— Wiecie, chłopaki, jestem chrzestnym synem Szpicbródki!

Wtedy poznałem Mietka Bełgota. Taką miał ksywę. Chłopak z miasta. Terminator rozmaitych szemranych zajęć. A teraz ten list!

„Witaj, stary druhu! Skreślał do ciebie parę słów. Przyjechałem z Chełma przez Hrubieszów i Włodawę do Siedlec. Jestem w Sfbdlcach i tak sobie siedzę już piąty rok. Jestem stary, chory i załatwiam rentę na stan zdrowia. Komuna mnie wykończyła, a demokracja dokończy dzieła. Mam parę spraw, co do których potrzebuję pomocy prawnej. A mianowicie chodzi o sprawę dawną, z 1953 roku, z Gęsiówki. Chodzi o Morawkę, Urbanika, Harasymowicza. Przez tych oprawców dostałem dwa lata z komisji specjalnej i siedziałem na ośrodku w Rokitnicy, i tam pracowałem w kopalni 18 miesięcy. Wysłałem pismo do Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciw Narodowi Polskiemu w Katowicach. Chcę dostać od nich jakąś rekompensatę lub żeby mi umorzyli resztę kary. Bardzo biednie żyję tu w puszcze,

bo praktycznie nie mam nikogo. Ojciec, matka i żona umarli. Mam jeszcze córkę, 31 lat, mieszka na Pradze, ale się nie kolegujemy.

Marek, długo czekałem na demokrację, a to wszystko lipa. Jak było, tak jest i stare komuchy jak rządzą, tak rządzą. Wszystko to jest wielki bajer i ostatni far- mazon dla biednych i głupich. Marek, jak przeczytałem w Expressie te twoje »Powidy«, to wszystko mi się przypomniało. Czytałem o Włochach i to mnie przekonało, że to jesteś ty i nikt inny, tylko Marek, co wyglądał ze strychu z okienka na płonąca Warszawę. A ja, Mietek, miałem 9 lat i byłem na Starym Mieście, na Mostowej 7 m 9. Tam się urodziłem i przeżyłem okupację, powstanie. 2 września wyszliśmy z powstania na Podzamcze, Bugaj, i Senatorską pognali nas na Wolę i do Pruszkowa.

» Drugie »Powidy« miałem w socjalistycznym obozie pracy w Mielęcinie. Poniemieckie baraki i bunkier. Do bunkra wchodziłem, a wynosili mnie na izbę chorych. Potem do roboty przy betonie i jak zwykle łomot na lepsze krążenie krwi. Chciałbym teraz, żeby coś pomogli, pisałem do »Patronatu«, ale oni są biedni albo udają głupa. Marek, co to jest za demokracja, jak za te i inne zbrodnie nikt nie odpowiada i komuchy chodzą bezkarnie. To jest wielkie oszustwo dla tych ludzi, co cierpieli. Z poważaniem Mieczysław Jan Przyjemski."

Poruszył mnie ten list. Przypomniałem sobie Bełgota. Był krnąbrny, nieuległy i w oczach miał hardość warszawskiego chłopaka. Chcieli go koniecznie złamać, tłukli, zamykali do karca, a on krzyczał zawzięcie: „Wy komunistyczne pacholki!" Nieważne za co Bełgot odsiadywał swoje wyroki. Przewija się w tym liście niezaspokojona potrzeba sprawiedliwości społecznej. Nadzieje i gorzki zawód. Niewiara w czystość poczynań rządzących. Smutne to i beznadziejne jakoś. Trzymaj się, Mietek!

19. POGROBOWCY

Nagle to się stało. Tylu ich pojawiło się naraz! Tak czasem bywa. Ale już coraz rzadziej. Sami weterani. Bar niczym się nie różni od innych współczesnych lokali/.j Zachodnia moda. Szkło, marmury, wysokie, metalowej krzeselka, pełno zagranicznych reklam z dominacją I angielszczyzny. Wrzaskliwa muzyka. A jednak nastąpi* I ło przeistoczenie. Cafamy się. Stare, ciemne wnętrze.;; I Szynekwas obity blachą, drewniane stoły, kulawe krzes- I ła. Zapach kapusty, schabowego, piwa i wódy. To wetfr I rani spowodowali swą obecnością owe czary, mary. I Znów jesteśmy wśród gruzów na parterowej Marszał- I kowskiej, gdzie pozostały te przedwojenne knajpy: „Pod I bombą”, „Pod setką”, „Pod dwójką”, „Canaletto”,I „Szwajcarski” w miejscu obecnego „Marriotta”. Kipi wy- I stępnym życiem „Polonia” w trzech swoich postaciach: I restauracji, kawiarni i nocnego „Dołka”. Prowizoryczny I dworzec naprzeciw hotelu, a pod zegarem zbierają się I pedały, natomiast w fotoplastykonie bikiniarze. Jest I godzina przedpołudniowa. Wszedł jeden, drugi, trzeci... | Zebrała się spora gromadka ludzi, siwych, otyłych, I powłóczących nogami i zgarbionych, lepiej i gorzej I ubranych. Młodnieją w oczach. Piją herbatę z cytryną, I kawę, któryś ostrożnie pociąga winiak. Patrzą na siebie ■ i przypominają im się dawne, dobre czasy. Byli tacy I młodzi, pełni energii i żarłoczności życia. Szumiał im

mmmm

w głowach alkohol, rój dziewcząt dookoła. Te dziewczyny z „Polonii”, „Kopciuszka”, „Danusi”. Te ba- lownice, wytychy, brzany, farczyary. Ruszali w tango! Szary świat nabierał kolorów tęczy. Mówią wszyscy naraz, gestykują. Słowa, zdania zderzają się i splatają w jeden ciąg.

...Zaczęło się od „Flisa”, flaki, jedna seta, druga. No i do „Dziedzilii”, śledź po japońsku i flaszka czystej pod stolikiem. Rozgrzała się krew. Dosiadła do nas Hanka, Wiśka, Kryska, Danko. Butelka za butelką. Już byliśmy w niebie. Przenieśliśmy się na nocny „Dołek”, potem Dworzec Główny, Zieleniak... Wpadłem do „Canaletto”, a tam ten ślepy harmonista tak rzewnie grał, aż w bebechach ścisnęło. Jedna wódka, druga. Zobaczyłem Manianę. „Raz Maniana szła pijana...” pamiętacie, tak lubiła śpiewać. Też miała chandrę. No i poszły konie po betonie! „Kaskada”, „Oaza”, „Polonia”... Obaj z Cwajnosem byliśmy po wczorajszym i zaszliśmy do „Lubelskiego”. Cwajnos zawsze miał słabą głowę, i padł. Odwiozłem go do chaty i sam poszedłem w kurs. W „Kopciuszku” poznałem taką jedną. Słodka, niewiniątka, trzepotała rzęsami. Od początku jej nie wierzyłem, cwaniara. „Mam zajęty numer w »Terminu- sie«, powiada. Wiecie, na Chmielnej. Całą wypłatę dla ludzi z warsztatu miałem w kieszeni. Poszliśmy na dancing do „Stolicy”; już wtedy zbudowali CDT. Stamtąd do „Terminusu” już blisko, i znalazłem się u niej w numerze. Ale pieniądze trzymałem cały czas pod poduszką. Patrę! Skrada się ona. Rewiduje moje ubranie. Ręce do poduszki wyciąga. Wtedy za łapki ją chwyciłem. No i co, laleczko?...

W „Kolorowej” zaczynaliśmy i stamtąd dwie sztuki wyjąłem. Poszliśmy do „Oazy”. Zabawa na siedem fajerek, szampan, koniaki. Orkiestrze forszę podsypywałem, „Siwy włos” mi grali. Mrugają do siebie panienki. Poro A

zumiewają się ślepiami. Dorwały jelenia! Pojechaliśmy na metę. Rozbierają się, defilują przede mną w całej swej kobiecej krasie, rozgrzewają moją krew. Całą swoją forszę do buta jednej z panienek schowałem. Miała takie wysokie botki z futrem wewnątrz. Wepchałem: tam swój sarmak i już spokojnie oddałem się rozkoszy! Zasnąłem twardo. A one całą noc poszukiwały forsy. Przetrzęsały ciuchy, łóżko, wszystko. Pełzały po podłodze jak węże i szukały. Napracowały się, biedaczki...^

— A co z Wygibusem? — padło pytanie. — On to umiał balować.

Wygibus! Dawno w ziemi leży. Tak samo Buba, Palla, Kulawka, Heniek, Karczocho. Zaczęli wyliczać i wyliczać. Korowód dawno umarłych dziewczyn,* kompanów.

— Wiecie — powiedział jeden z nich — spotkałem Jadżkę Tarlutudu, pamiętacie? Dziewczyna jak piec i wieczny ogień był w niej. Szła sobie babcia, laską się podpierała. Nic nie pamięta, nic nie widzi... — pokręcił łyżeczką w szklance. Spojrzeli na zegarki. Dopijają kawę, herbatę. Oczy im zgasły. Mało co już mówią, Rozchodzą się. Pustoszeje kawiarnia. Poszli sobie dawni birbanci, hulacy, utracjusze, sutenerzy, pijacy, lowelasi. Zniknęli jak dym z papierosa.

20. PAMIĘCI DAWNYCH FRYZJERÓW

To były czasy! Ludzie mieli swoich fryzjerów. Kamienica, ulica, bazar. W każdym takim zasiedzonym miejscu był zakład, jeden czy dwóch golibrodów i jak do klubu schodzili się klienci. Znali się od lat, panowały rodzinne stosunki. Golibroda wiedział wszystko o ich wzlotach i upadkach, pijaństwach i kochankach. Oni przeważnie taką samą wiedzę mieli o mistrzu brzytwy i pędzla. Siedziałeś sobie w fotelu, omotany białą płachtą, balwierz ostrzył przyrząd marki Solingen, trzaskał dla fasonu nożyczkami i zaczynała się rozmowa. Władzin pobił szwagra. Fijałkowski dostał delirki i tapczan spuścił z balkonu. Gliny zabrały tego z parteru. Pan Genio musi mieć kłopoty; chodzi taki markotny, fajurkę od fajurki przypala. Klientów i fryzjera łączyły podobne namiętności. Na przykład wyścigi. O gonitwach na polu można było mówić godzinami. Który porządek obstawić. Ten koń to murowany pewniak. Będzie wybuch. Na koniec posiedzenia fryzura na mokro uczesana, policzki gładko wygolone. Zostawałeś pokropiony wodą brzożową, i szlus! Ale nie tylko. Czasem z golibrodą ruszałeś na zaplecze i tam po kielichu. Ty miałeś kaca, on tak samo. Wyczuliście się po prostu.

Te małe fryzjernie. Była taka u nas we Włochach. Właściciel gruby i sinawej karnacji na twarzy. Latem lubił wystawiać krzeselko przed zakład. Ogromny

brzuch wylewał mu się ze spodni. Obserwował pryncyd palną ulicę miasteczka, którą jeździła do pętli kolejka,; Gwarzył z przechodniami.

Na Złotej w tych starych kamienicach, co stały naprzeciw kina „Palladium”, był zakładzik, gdzie królowa[^] Tadius. Fryzjer, owszem niezły, ale przede wszystkim marzyciel. Tadius myślał intensywnie o tym, jak zdobyć grubszą gotówkę. Rozmaite przychodziły mu do głowy pomysły. Najchętniej rozmawiał z ludźmi interesu, kownikami spod kina, doliniarzami i handlarzami walutąj, Lubił gości rzutkich, dynamicznych, którzy w jednej chwili z golasów zamieniają się w krezusów, Jednak w większości plany Tadiusa bywały mało realne i musiał się trzymać swego zawodu.

Niezapomnianym miejscem była fryzjerna pana Jakubowskiego na placu Trzech Krzyży. Piękny wystrój, ciemne drewno, błyszczący mosiądz. W późnych latach pięćdziesiątych zlikwidował mistrz interes. Pozostał jeszcze mały zakład na Poznańskiej. Niegdyś golili się tam birbanci z pobliskiej „Polonii”. Schodzili się rze-mieślnicy z warsztatów zachowanych w przedwojennych kamienicach. Zachodził też Olek Osochin i pan Klimek. Golibroda był bardzo stary, kilkadziesiąt lat historii szemranego miasta miał w głowie. Zakład pozostał, ludzie zupełnie inni. Tak jak zanikły dawno i bezpowrotnie małe kina, gdzie można było oglądać Iwana Mażuchina na ekranie, zanikają małe fryzjernie. Niech te słowa będą podziękowaniem dla dawnych fryzjerów* którzy nie tylko strzygli i golili, lecz bywali przy okazji przyjaciółmi, doradcami, kompanami. Chwała im za to!

21. BOMBA W GÓRĘ

Siadywaliśmy tia ceglanym murku. Tu, na Szczyglej, podczas okupacji były kasy wyścigów konnych. Wyścigi odbywały się w Lublinie i gracze kupowali bilety na gonitwy, obstawiali wybrane konie u bukmacherów. Hazardowy tłum. Podniecenie, oczekiwanie. Telefonicznie przychodziły wiadomości. Radość. Smutek. Bruk zaścielony podartym papierem. Niektórzy deptali z pasją przegrane bilety. Szczygła kiedyś była prawidłową ulicą. Kamienice, bramy, oficyny. Teraz trawiasty wąwóz bez śladów domów. Wąwóz zakończony wysokim murem okalającym ogrody zakonnice. Wyżej spacerowe alejki. Matki z dziećmiakami w wózkach. Psiarze. Lawina dźwięków z pobliskiego konserwatorium, wybudowanego na gruzach cyrku Sta-niewskich.

— Kiedyś to była ulica — powiedział — kiedyś to było miasto.

Raz wygrał niebagatelną sumkę. Obstawił fuksa. Dużo płacili. Miał wtedy sen. We śnie gonitwa. Wrywał do przodu koń oznaczony numerem trzecim. Wyprzedza o krótką szyję. Potem o łeb. Już o całą długość. Zbudził się i myślał ten koń nie ma żadnej szansy. A jednak postawił na niewiadomą. Poszedł na całego. Magia snu. Nakaz podświadomości. Nastąpił wybuch. Wielka wygrana.

Przed wojną wyścigi były na Polu Mokotowskim® Trybuny. Piękne damy, oficerowie, panowie w melonijach. Przykładają do oczu lornetki. Konie tak pięknie wyglądają w słońcu na zielonej murawie. Przylepieni do grzbietów jeźdźcy w kolorowych strojach. Od dzieciństwa przebywał w świecie koniarzy, wyścigowych na- i miłoścy. Był chłopcem stajennym. Czyścił boksy, i podrzucał siano do żłobów, przeciągał zgrzeblem po f i końskich zadach. Mały, szczupły, odpowiadał wymaga* jom i miał zostać dżokejem. Sławny jeździec Chatizow 11 widział w nim dobre zadatki. Konstanty Chatizow m i była persona! Osetyniec, przybył z Rosji, uciekł od i czerwonych. Jakie zdobywał nagrody! Nie tylko i w Polsce. Wielka Pardubicka na przykład. Syn Chati-f i zowa, Leon, też był dżokejem. Wyczekiwał niecierpliwie i tej wymarzonej chwili, kiedy dosiądzie konia i zespołu- i ny z nim, napięty do ostateczności, popędzi po wygra- i ną. Nie doczekał się pasowania na rycerza pola. Wy- i buchła wojna i wszystko potoczyło się inaczej.

Staliśmy na Polnej. Tu kiedyś było Pole Mokotow- i skie. Trudno cokolwiek odtworzyć. Budynki politech- i niki, Trasa Łazienkowska. Wspomina rozległe łąki, i chaszcze. W jego dzieciństwie nazywano te obszary „pa- i łąkami”. Dlatego, że przed pierwszą wojną stacjonowa- i li tutaj kozacy, rosyjska kawaleria. Opowiadał mu to i ojciec, który całe życie spędził na koniach. Zajmował się stajnią rasowych wierzchowców pewnego arystokra- | ty o historycznym nazwisku i gdyby nie kontuzja od- | niesiona w wojnie rosyjsko-japońskiej 1905 roku, na pewno byłby sławnym dżokejem. On sam podczas oku- i pacji zapragnął wyjechać do Lublina i zacząć wreszcie i brać udział w gonitwach. Ojcu nie wyszło, ale jemu i musi się udać. Ojca Niemcy zgarnęli w łapance ulicznej i wywieźli do obozu. Na jego głowie pozostało utrzymanie rodziny. Potem było powstanie. Brał udział w walkach na Starówce i w Śródmieściu. Po upadku powstania przebywał w obozie niemieckim; wyzwolili go Amerykanie. Dotarł do Paryża. Zatrudnił się jako stajenny na wyścigach w Maisons-Laffitte. Poznali się na nim fachowcy i miał pewne widoki. Jednak ciągnęło go do Warszawy. W niej zostawił matkę, narzeczoną.

— No i tak — bąknął.

Zatrzymaliśmy się na Mokotowskiej przed oszklonym budynkiem kawiarni. Tu była brama, jej ciemny tunel, oficyna. W sezonie podwórze wypełniał rozgorączkowany tłum. Tutaj znajdowały się kasy wyścigów konnych na Służewcu. Jeżeli nie mogłeś pojechać na pole, tu obstawiałeś gonitwy i czekałeś na wynik. Kasy istniały do późnych lat pięćdziesiątych. Rozebrano bramę, oficynę. Wybudowano oszkloną rotundę. Nie ma śladu po kasach.

Pozegnaliśmy się przy placu Trzech Krzyży. W niedzielę będzie na Wyścigach.

— Bomba w górę! — zawołał i poszedł sobie. Mały, chudziutki, na pałąkowatych nogach.

22. DWORZEC GŁÓWNY

Żółte światła słabo oświetlały wnętrza, które przypominały ogromną pieczarę i gęsta szarość zalegała zawsze po kątach. Pełno tu było korytarzy, zakamarków, pakamer. W najciemniejszych miejscach koczowali stali mieszkańcy. Spali skuleni, przeganiała ich milicja. Opatuleni w grube warstwy ciuchów na każdą pogodę, wspierali się na swoich workach zawierających cały dobytek. Smieciarze, bezdomni włóczędzy, giganci, dopiero znacznie później zaczęto ich nazywać kloszardami[^] Skretyniali, zapici, bełkotali i popiskiwali moszcząc się do snu. Czasem wkradali się do restauracji i dożywali resztkami pozostawionymi na talerzach. Różne drogi doprowadziły ich na dno ludzkiej egzystencji. Ucieczka przed alimentami, rozczarowania i miłosne zawody, alkoholizm, słaba odporność na ciosy, których nie szczędzi życie, lub wstręt do wszelkich obowiązków. Stanowili oprócz kolejarzy stałą społeczność dworca. Bo piszemy o dawnym Dworcu Głównym, który znajdował się na ulicy Towarowej w pobliżu placu Zawiszy, próbując wskrzesić jego heroiczne lata pięćdziesiąte. Celowo pomijamy w niniejszym tekście najważniejsze cechy dworca: ruch pociągów, podróże, podróźnych. Zajmijmy się jedynie jego osobliwościami, które w dawnym mieście odgrywały niebagatelną rolę. Dworzec znajdował się na szlaku, co oznacza, że ludzie miasta zatrzymywali się tutaj na popas w swych swawolnych wędrowniach. Co noc bowiem z „Polonii”, „Kaskady”, „Stolicy” i najdalszej „Oazy” na Pradze ruszały przed świtem rozochoczone watachy pijaków i dziwkarzy na dalsze uciechy. Dworzec o tej porze stanowił gościnną przystań. Docierano tutaj tramwajami, piechotą, przy większej gotówce zajeżdżało się z fantazją dyryndą i wołało do dorożkarza „wio, sałata, daj mu bata!”

Kolejowa restauracja była czynna całą dobę (z wyjątkiem dwóch godzin rannych przeznaczonych na sprzątnięcie sali) i wchłaniała całe to rozbawione towarzystwo. W pierwszej fazie istnienia restauracji kelnerzy serwowali z trunków jedynie herbatę, ale po szeptanym porozumieniu można było otrzymać wódkę w butelce po oranżadzie. W drugiej fazie podawano już legalnie wódkę, później wino, a pod koniec istnienia dworca tylko piwo. Lecz brak wyszynku nie stanowił żadnego problemu. Wódkę trzymała babka klozetowa, niektórzy kolejarze, bagażowi. Co bardziej przedsiębiorczy pracownicy dworca zakładali w pustych wagonach na bocznicę podręczne barki. Toteż zabawa o świcie mogła rozgorzeć na „siedem fajerek” i nieraz biesiadnikom przygrywała cygańska orkiestra. Wreszcie większość zawodników zasypiała, ale nieliczni niepokonani ruszali do ostatniego portu przeznaczenia, na Zieleniak na Opaczewskiej. Tam na warzywnym targu była knajpa w baraku, istniała więc dalsza szansa uciechy. Wstawał bladej poranek i zataczające się zjawy opuszczały Dworzec Główny. Jednak uroki życia nie ograniczały się tylko do restauracji. Tutaj przecież grasował upiorny erotoman, Demon — Roliński, starzec z rozetką Virtuti Militari w klapie, który poszukiwał dziewcząt. Właśnie płęć piękna! Dziewuchy ze wsi, uciekinierki z domów rodzicielskich i inne pragnące mocnych wrażeń — snuły

74 Marek Nowakowski

się po hali, i wystarczyło trochę pieniędzy i elokwencji[^] żeby zdobyć sobie damę serca na dłuższy lub krótszy czas.

A kiedyś balowali na dworcu znani farmazoniści Księżę Nocy, Sagan i Stasiu Tabaczka. Wrócili wtedy z wyprawy do Siedlec, gdzie dekorowali wieśniaków! przedwojennymi orderami niższego i wyższego stopnia[^] których obfitość odkrył Sagan gdzieś w gruzach Warszawy. Dekorowali oczywiście nie bezinteresownie a później opijali udaną wyprawę. Z restauracji przenieśli się do pustego pociągu na bocznice kolejową i tam posnęli. Zbudzili się w Radomiu.

Od lat Dworzec Główny jest umarły; powstało tutaj Muzeum Kolejnictwa.

Kiedy tędy przechodzę, przystaję zawsze i patrzę na szarą bryłę budynku. Tyle zaklętych w jego murach wspomnień!

23. JESZCZE O DWORCU GŁÓWNYM

Nie tylko był przytuliskiem wykolejeńców, dziwek i pijaków. Równie silnie przyciągał badaczy życia. W szczególności poszukiwaczy jego dna. Mówi się przecież: dno ludzkiej egzystencji. Owa smutna postać upadku, degradacji czy redukcji bardzo fascynuje. Dlaczego człowiek upada tak nisko? To odwieczne pytanie zadają sobie młodzi poeci, pisarze. Właściwie wszyscy wrażliwi tropiciele sensu i bezsensu. Sceny dworcowe stanowiły nie- błahy przyczynek do podobnych rozważań. Choćby zachowanie tego wychudłego mężczyzny w wieku trudnym do określenia, pokrytego szczelną warstwą, w fufajce i wołokowych butach, bez względu na lato czy zimę. Potrafił mówić po angielsku, francusku i niemiecku. Recytował długie fragmenty z Horacego i Owidiusza w oryginale. Dać mu trochę pieniędzy, postawić ówiartkę i zaczynał popisy swojej erudycji. Dworzec stał się jego domem. Kim był ów mężczyzna w przeszłości? Gdzie są jego bliscy? Dlaczego porzucił tamto życie?

A tamten starzec ze złamanym, boksterskim nosem. Podobno służył w Legii Cudzoziemskiej. Polował niezmordowanie na małoletnie istoty dwojga płci, dziewczynki i chłopców.

— Jeden smak — powiadał z ohydym śmiechem. — Nowalijki. W Afryce łatwiej było o Arabka niż Arabkę.

Wśród kłębowa ludzkich wraków, zalegających ławy i kąty, zdarzały się odkrycia niebywałych życiorysów, mrocznych dramatów, bolesnych załamań lub powolnego osuwania się w bagienne toń na skutek, zależności od alkoholu. Napatrzywszy się i nasłuchawszy prawdziwych i zmyślonych zwierzeń w zakamarkach dworcowej hali, można było się przenieść do restauracji i obserwować złodziejską brać z miasta przy podziale łupów. Czynie to przeważnie doliniarze! po pracowitym dniu w tramwajach, pociągach i na bazarach. Niezapomnianą rozkoszą bywały pijane monologi Księcia Nocy, niegdyś studenta, żołnierza AK, początkującego literata, wreszcie sutenera, hochsztaplera i farmazonisty. Wciągały niczym barwna powieść łotrzykowska podlana sosem z Przybyszewskiego. Nie był Książę w swych urokach kreacyjnych odosobniony. Pojawili się jeszcze inni czarnoksiężnicy, bardziej i mniej pomysłowi w mieszaniu fikcji z rzeczywistością. Nie ustępowały im siłą sugestii upadłe kobiety, które snuły opowieści o wielkich uczuciach bez wzajemności, kochankach bez serca i fatalnym losie. Nasłuchawszy się tych zwierzeń i poznawszy całą galerię ludzi upadłych, można było samemu pokusić się o zagranie roli groźnego bandziora bez sumienia, alfonsiaka żyjącego z dziwek czy wrażliwca pokaleczonego przez przykre doświadczenia. Taką rolę zagrałem kiedyś delikatnemu, lirycznemu poecie, który zawędrował na dworzec w poszukiwaniu „materii ; życia”. Słuchał i słuchał, a ja bąbałem niezmiernie. Oprócz zwykłej chęci wystrychnięcia kogoś na frajera myślałem zapewne jeszcze o czymś innym- Chciałem w ten sposób przestrzec go przed zbytnią I pisarską łatwowiernością. Jednak nie przestrzegłem I go dostatecznie, po kilku dniach bowiem liryczny m eta złożył do redakcji Nowej Kultury impresyjny g pis dworcowych rozmów, będący swoistym Na dnię Gorkiego. Byłem już wtedy po wydaniu pierwszej książki i Wilhelm Mach, wytrawny znawca pisarskiej kaligrafii, kierownik działu prozy w redakcji, rozpoznał nieomylnie, iż młody poeta padł ofiarą mojego żartu.

Dlaczego był przezywany Neronem? Może fascynował go postać boskiego cesarza, podpalacza Rzymu i sady-
sty. Był szanowaną osobistością z Dołu. Dół to miasto przylegające z lewej strony od Wisły. Obszar ów roz-
pościerał się od Rybaków i Bugaja aż do końca Czerniakowskiej. Powojennym rdzeniem pozostały tu uliczki
między Rozbratem a Czerniakowską: Szara, Cecylii Śniegockiej, Fabryczna, Górnośląska. Tutaj gnieździ się
ferajna, i Leszek, przezywany Neronem, cieszył się jej wielkim szacunkiem. A mieszkali w owym rejonie nie
byle jacy zagońcownicy. Choćby Olek Naleśnik, Rysiek Buba i inni. Jak wielu warszawiaków z żyłką do handlu,
którzy podczas okupacji terminowali sprzedając papierosy czy szmugiel na ulicach i dworcach, Neron po wojnie
również pozostał prywatną inicjatywą, a w czasie powszechnego upaństwowienia gospodarki zatrudnił się na
stanowisku magazyniera. Magazynier to był ktoś. Miał swoje sposoby i możliwości. Mógł ; prowadzić prywatne
interesy, które nazywano potocznie „na boku” lub „na lewo”. Starsi chłopcy z miasta I pamiętają doskonale
Wojtkę K., który zawiadywał magazynem meblowym w miejscu, gdzie przed laty wyrósł 1 hotel Forum. Ta
cząstkowa forma działalności indywidualnej w okowach gospodarki scentralizowanej gł dawała jednak
wyższych lotów i kapitał nie mógł być J

24. NERON Z ZAGÓRNEJ

jawnie inwestowany czy lokowany w dobrach zbyt widocznych. Neron miał naturę utracjusza i lubił życie
rozrywkowe. Nieraz prowadził za sobą wesołą kompanię, zmieniając dzienne i nocne lokale, wszędzie witany z
szacunkiem przez portierów, kelnerów i szatniarzy. Mężczyzną był słusznego wzrostu, tęgiej postawy i za-
dziwiał żelazną głową. Mógł wypić ten Neron! Jeżeli złapał zaś głębszy smak do gorzały, to zabawa trwała przez
kilka dni i nocy. Należy jednak sprawiedliwie stwierdzić, że umiejętnie godził ze sobą dwie sprzeczne
skłonności: nieposkromionego hulaki i starownej, odpowiedzialnej głowy rodziny. W jego domu utrzymywany
był wysoki standard i żona nigdy nie narzekała na brak gotówki. Niekiedy tylko (dostycie nieśmiało) sarkała na
przeciągającą się nieobecność męża. Neron miał niezwykłą zdolność regeneracji i wróciwszy z hulaszcznej
eskapady na przykład w sobotę, w niedzielę już szedł przykładowie ze swoją połowicą do kościoła, odwiedzał
rodziców i spełniał inne powinności, jak na małżonka przystało.

Lud mieszkający na Dole lubił go za gest, dowcip i fantazję. Wielu korzystało z jego wypchanej kieszeni,
pożyczając trochę pieniędzy zwrotnie lub bez zwrotu. Ponadto w jego masywnej osobie była zawarta ciągłość
miasta. Jego dziadowie, rodzice, wszyscy pochodzili z Dołu. Przydawał więc rodowitym mieszkańcom tych
stron poczucia przewagi nad elementem napływowym, „chamowem”, jak się mówiło. Ale choć cieszył się żelaz-
nym zdrowiem, to padł nagle jak ścięty dąb. Tak to bywa w tym życiu pąnym zagadek. Pogrzebany został na
Cmentarzu Bródnowskim i sam kwiat mężczyzn z Dołu zegnał Nerona. Niech mu ziemia lekką będzie!

25. MATUZALEM

Siedział zawsze na starej, popękanej beczce po piwie przy wejściu na bazar. Na beczce dało się jeszcze odczytać zatarty napis: „Haberbusch i Schiele”. Drugie nazwisko zachowało tylko dwie pierwsze litery i ostatnią. Ale byli jeszcze wtedy znawcy dawnych firm, browarów. Sam zresztą wyglądał jak odchodząca historia. Że bardzo stary, to jeszcze nic, ale jego strój nosił komiczne znamiona odeszłej epoki. Te popękane lakierki! Ile one musiały pamiętać, przedwojenna świetność. Tyle lat wytrzymały, spękane, nosy zadarły się w górę jak w tureckich sandałach, ściachane obcasy. Spodnie w prążki, jakiś archaiczny tużurek. Wszystko na nim minione, odeszło ostatecznie. A najpiękniejsza była jego laseczka z czarnego mahoni, ze srebrną rączką w kształcie ptasiej głowy, orlej jakiejś. Skąd to cacko wytrzasnął, ile lat temu?

Ci co go znali, a znała go większość handlarzy i bywalców bazaru na Pańskiej, nie dziwili się wcale. Mógł mieć około osiemdziesiątki, tuż przed albo i po osiemdziesiątce. Jedni drugim przekazywali o nim wiedzę. Bywała ona często sprzeczna, pewna jedynie była jego długowieczność. To był warszawski chojrak, który termin zaczynał jeszcze za cara. Wychował się na Starówce i podobno został bojowcem Piłsudskiego, walczył z żandarmami, kozakami, tropił szpiclów, brał udział

POWIDOKI 2 81

w rozmaitych akcjach. Zasłużony w walce o Niepodległą. W latach późniejszych krzątał się na placu Kercelego i pracował dla Taty Tasiemki; byli kumplami. Równocześnie miał mocne chody w PPS. Cenili go, odznaczali. Jakiś order na wypłowiałej wstążeczce miał przyczepiony do klapy wytłuszczonego, zrudziałego ze starości tużurka, który niegdyś na pewno był eleganckim strojem. Mimo swego operetkowego ubioru rodem z teatrów ogródkowych Warszawy początku wieku wcale nie wyglądał do śmiechu. Gębę miał wykutą z kamienia, toporną, z głębokimi bruzdami, spłaszczonym nosem, a pod fałdzistym, niskim czołem z bujnymi krzakami brwi skrywały się małe, trochę świńskie oczka. Siedział jak ten kamień polny na beczce i mało co go ruszało, fajurka przylepiona do wargi i mało co też mówił. Wiedział jednak wszystko. Spełniał rolę ustnej gazetki bazarowej, informującej o najświeższych wydarzeniach. Przychodzili złodzieje i rozglądali się szukając pasera Pchełki. Od razu wskazywał bezbłędnie miejsce, gdzie akurat znajdował się Pchełka. Chłopaków z nielegalnym mięsiwem z uboju kierował do hurtowych handlarzy. Ludzi sprzedających lub kupujących dolary czy „świnki” — do złotników, którzy mieli swoje tajne kantorki w rojowisku na Pańskiej. Samych handlarzy ostrzegał w samą porę o zbliżających się nalotach glin czy psów po cywilnemu. Jakże ważną i użyteczną rolę spełniał na tym przydeptanym przez socjalizm wolnym rynku. Oczywiście odwiedziano mu się jakąś gotówką czy kielichem. Czasem kołysał się na beczce i zionęło od niego gorzałkowym woźduchem. Wtedy bywał rozmowny. Najchętniej sięgał do przeszłości i opowiadał o Wo-łówce, Kercelaku, Żelaznej Bramie. Znał osobiście osławionego Felusia Zdankiewicza, głośnych kasiarzy, włamywaczy, stopkarzy. Słuchano go chętnie, młodzi uczyli się od niego sztuki życia. Zmierzchem, kiedy plac

pustoszał, dziad też opuszczał swój posterunek. Gdziei	I
kuśtykał na pałkowatych nogach, obutych w grotes-	I
kowe łakierki. W latach pięćdziesiątych zniknął ostate-	I
cznie bazar na Pańskiej i wraz z nim ten osobliwy Ma-	1
tuzalem. Na miejscu handlowego placu są teraz wie-	
żowce, bloki, rondo, arteria komunikacyjna. Nawet	I
człękowi biegłemu w topografii miasta trudno uzmys-	I
łować sobie, gdzie znajdowało się targowisko. A Matu-	I
żalem? Nikt go już nie pamięta. Dosłownie. Szkoda. Był	1
niewątpliwym łącznikiem czasu przeszłego z terażniej-	I
szym. Pewno i dla przyszłości to miało znaczenie. Męt-	1
na persona, wiadomo. Ale czy to w dobrem, czy1 w złem, tacy łącznicy są niezbędni. Historia murów I	
i ludzi staje się dzięki nim bliższa, żywa. W przeciwnym	8
razie nie ma w ogóle przeszłości. Wszystko jest znikąd.	8 Szkoda Matuzalema.

82 Marek Nowakowski

26. HISTORIA PEWNEJ FIRMY

Firma nazywała się „Materiały budowlane i przewóz”. Zaczynał jako woźnica przed pierwszą wojną światową. Właściwie jako chłopak stajenny w dużym przedsiębiorstwie transportowym na Woli. Po kilkuletniej praktyce dopuszczono go do prowadzenia platformy zaprzężonej w dwa okazałe perszerony. Dogadał się co do kupna konia na raty ze starym furmanem, który był mocno wiekowy i samotny. Zapłacił mu pierwszą ratę i tamtemu się zmarło. Miał szczęście. W każdym razie przed drugą wojną światową był już człowiekiem mającym. Dwa place, postawił na jednym piętrowy dom i posiadał skład materiałów budowlanych, kilka wozów, trzy pary koni. Dowoził materiał na budowy. W tym czasie panował ruch budowlany po tej lewej stronie Wisły. Budowali się ludzie we Włochach, Ursusie, Gołąbkach. Podczas okupacji jego tabor konny przydał się w masowych przeprowadzkach ludzi w Warszawie podzielonej na aryjską i niearyjską strefę. Powiadano, że wtedy na różnych interesach dorobił się słoika albo dwóch szlachetnych kamyków i złota. Miał łeb! Zazdrościli mu niektórzy i podsyłali donosy do Niemca. Ci przychodzili, szukali i nic nie znaleźli. W latach powojennych wziął się za wywózkę cegły ze zrujnowanej Warszawy. Podobno i tam, w gruzach, wygrzebał niemało złota, bizuterii.

Żyłasty, mały człowieczek w staroświeckiej, niebie? skiej maciejówce z lakierowanym daszkiem, granatowej sukiennej kurtce i zielonych spodniach wsuniętych w skrzypiące buty z cholewami. Zazwyczaj kroczył obok wozu wyładowanego cegłą, pokrzykując przeciągle na rosłe kasztany. Swoje konie traktował z wielką dbałością. Na postoju nakładał im na łby worki z obrokiem. Czyścił zgrzeblem ich krągłe boki, grzywy, ogony, a zimą okrywał je ciepłymi derkami. Nosiły one rzemienną, ozdobną uprząż, nabijaną błyszczącymi, mo siężnymi okuciami. Dla wypoczynku lubił spacerować dookoła podwórza, ogrodzonego wysokim płotem. Ręce zakładał do tyłu i pogwizdywał.

— Dziedzic! — kpili ludzie.

Czasem dochodził do przejazdu w pobliżu stacji kolejowej i oparłszy się o barierkę, patrzył na leniwie toczące się życie. Nie rozstawał się z imponującym batem, ozdobionym frędzelkami z czerwonej wełny.

Nie wiadomo dlaczego, gdzieś koło roku 1947 został przez swoją żonę prawie całkowicie odsunięty od prowadzenia interesów. Ona, potężna baba o urodzie Hor-pyny, nigdy dotychczas nie wysuwała się na pierwszy plan i tylko podśmiewaliśmy się cichaczem na widok ich obojga kroczących w niedzielę do kościoła. Malutki, chudy mąż i jego kobieta jak szafa. Później wszystko się zmieniło. Ona wydawała polecenia furmanom i robotnikom. Ona siedziała w kantorku i prowadziła rachunkowość, trzymała kasę. Natomiast dotychczasowy właściciel zaczął pędzić życie rentiera. Wstawał dosyć późno i od razu ruszał do knajpy Dziadka po drugiej stronie torów. Wypijał tam kilka kieliszków wódki i podniesionym głosem, przechodzącym czasem w krzyk, mówił o wielkich interesach, które szykuje, i wymieniał jakieś krociowe sumy zysków, jakie wnet wpłyną do jego kieszeni. Nakrzyczawszy się tak do woli, opuszczał knajpę i wracał do domu. Wałęsał się po obejściu, spożywał obiad z rodziną. Zaglądał do koni w stajni. Jeszcze tylko nimi się interesował naprawdę. Sprawdzał im kopyta, badając, czy nie potrzebują zmiany podków. Złościł się, jeżeli były źle wyczyszczone i w żłobach nie znajdował należytej ilości owsa, siana.

Późnym popołudniem znów szedł do Dziadka i zaczynał krzyczeć. Nie można powiedzieć, żeby było to pijaństwo — alkohol działał jako samowyzwalacz krzykliwych monologów. Nie potrzebował wcale słuchaczy. Mówił w przestrzeń przed siebie i nie szukał wcale towarzystwa. Przyzwyczajono się już do tego dziwactwa i nikt nie zwracał na niego uwagi. Starszy gość coś gada do siebie. Niech gada. Wieczorem spokojnie wracał do domu. Nie słyszano nigdy o jakichś awanturach z żoną i synem. Takim rytmem toczyło się jego życie do śmierci, która nastąpiła w 1971 roku.

W tamtych latach już dawno nie mieli składu budowlanego ani stajni z czwórka koni. Pozostał tylko jeden. W budynku, będącym niegdyś magazynem, syn prowadził pokątny warsztat naprawy samochodów. Dawna firma zmartwychwstała teraz z popiołów. Prosperuje jako duża składnica materiałów budowlanych i motoryzacyjnych. Prowadzi przedsiębiorstwo syn, wielki, brzuchaty mężczyzna, podobny z postury i urody do matki. Najstarsi ludzie u nas powiadają, że głowę do interesów i pracowitość odziedziczył jednak po ojcu.

Nie wyjaśniona pozostała zagadka, dlaczego pod koniec lat czterdziestych ojciec przekazał firmę we władanie żony i już tylko chodził do Dziadka.

27. SYN KILKU OJCÓW

Sam słyszałem.

Jedna mówiła do drugiej:

— To syn prezesa telewizji! Wiesz, tego Szczepaóń; s kiego!

Owe dziewczuszki spoglądały na niego z oddaniem nałożnic. Nie tylko te zresztą. W klubach młodzieżowych! dyskotekach i kawiarniach zwracał uwagę dziewcząt Wysoki, smukły, o pociągłej bladej twarzy amanta filmowego. Szafirowe, pełne obietnic oczy i czarne zrośnięte brwi, cesał się z przedziałkiem, a jego czarne, gęste włosy lśniły; maścił je brylantyną. Chodził lekko, sprężyste. Przystojniak!

Taki młodzieniec śmiało mógł być synem możnych tego świata. Ludzie możni przecież kojarzą się z życiem pełnym splendorów, sukcesów. Wszystko mają udane i wysokiej jakości. Piękne żony, dzieci. Piękne domy, samochody. Tak się myśli potocznie. On bywał synem prezesa telewizji. Przez pewien czas podawał się za jedynaka generała Moczara. Studentkom z Akademii Sztuk Pięknych przedstawił się jako nieślubny potomek | głośnego niegdyś portrecisty i batalisty, Wojciecha Kossaka, co od biedy trzymało się historycznej prawdy, gdyż tenże mistrz pędzla gustował w płci nadobnej. Nasz przystojniak nie chciał być facetem bez rodowodu. Pragnął nosić znane nazwisko. Z powodu generała Moczara naraził się na pewne przykrości. Incydent miał miejsce w nadmorskim kurorcie. Zbyt głośno rozpoznał o swoim potężnym wtedy ojcu i zaciągnął długi u barmana w nocnej tancbudzie. Pojawili się funkcjonariusze i zażądali dowodu osobistego. Uratowały go długie nogi i szaleńczy bieg plażą.

Szczególnie na prowincji przesadzał w swojej fantazji i tracił umiar. Na Mazurach bywał synem sekretarza wojewódzkiego partii w Olsztynie i rodzicom swoich wybranek oferował protekcję. Ale to były wyjątki. Przeważnie uprawiał sztukę dla sztuki.

Najchętniej bywał synem Bohdana Tomaszewskiego. Ile to urodziwych dziewcząt poderwał ten Zbyszek, Panie Bohdanie! A nawet pań w średnim wieku, które z uwielbieniem wsłuchiwały się w timbre Pana głosu na radiowej antenie i patrzyły na Pana smukłą sylwetkę długonogiego Anglika z powieści. Toteż szermując tak magnetycznym ojcostwem miał liczne sukcesy na tej niwie. W dodatku naprawdę nosił to samo nazwisko i był smukły, długonogi. Taki przypadek.

Ale czas płata okrutne figle. Zbyszek ledwie do czterdziestki dociągnął w pełni powodzenia. Jego przemiana nastąpiła w bardzo szybkim tempie. Ze szczupłego, rasowego amanta przeistoczył się w brzuchatego faceta o roztopionej w tłuszczu twarzy, na domiar nieszczęścia nad czołem pojawiły mu się głębokie zatoki i jego wspaniała czupryna też odeszła do przeszłości.

Spotkałem go kiedyś na ulicy w towarzystwie kobiety. Oboje otyli, ogromni. Spoceni, objuczeni mnóstwem pakunków, toreb. Ona nieustannie na niego pokrzykiwała. On milczał pokornie. Co za widok!

28. TAJEMNE SYGNAŁY

Poznaliśmy się około 1960 roku w redakcji literackiego tygodnika młodych Współczesność. Wszyscy się tam schodziliśmy. Wysoki, barczysty blondyn. Zapamiętałem jego włosy o złotawym odcieniu i andersowską bluzę, którą nosił z wdziękiem żołnierza II Korpusu. Pisał wyrafinowaną poezję, próbował nowych środków wyrazu i o tym rozprawiał z innymi poetami — Romanem; Śliwonikiem, Staszkiem Grochowiakiem i Wojtkiem Albińskim, moim kolegą z Włoch, który także mocował się z twórczością literacką (od lat mieszka w RPA i jako inżynier geodeta wytycza drogi w Botswanie).

Był starszy od wielu z nas, z bogatym już doświadczeniem życiowym. Przede wszystkim jednak uderzyła mnie jego znajomość zakazanych rewirów Warszawy, bazarów, dworców, melin i barwnych postaci stamtąd. Był chłopakiem z miasta. W tamtych czasach jeszcze silnie odróżnialiśmy swoich i obcych, szcząc się warszawskim rodowodem.

Po latach znów pojawił się w moim życiu, kiedy to namawiałem swego kolegę, Jurka Gierałtowskiego, żeby zaniósł swoje opowiadania do Twórczości. Zaniósł je i po niedługim czasie zadebiutował tomem dojrzałych opowiadań pt. Wakacje Kata. Zbigniew Zalewski był bliskim kumplem Jurka i wtedy widywaliśmy 11 często. Postawny, złotowłosy, choć już trochę nazna-

POWIDOKI 2 89

czony zębem czasu. Nie tylko umownie. Te zęby cholernie szybko nam znikają! Zapamiętałem go jako faceta o wyzywającej, wręcz prowokacyjnej postawie wobec obowiązujących kanonów obyczajowych. Przyjemność sprawiało mu ich wyszydzanie i odrzucanie; trochę w konwencji „poety przekłętogo”. Nadal pisał wiersze. Cenione przez krytykę. Wydał już kilka poetyckich książek w „Czytelniku”, PIW-ie. Żył trochę jak ptak, wcale nie przejmując się tym, co przyniesie jutro. Pozostał niestrudzonym wędrowcem po ulicach naszego miasta.

Nasze spotkania urwały się jakoś niezauważalnie i dopiero po kilkunastu latach, w 1993 roku, do Ex-pressu nadeszła na moje nazwisko przesyłka od Zbigniewa Zalewskiego, zawierająca trzy tomy jego wierszy.

Przeczytałem z uwagą te sugestywne, mroczne wiersze, pełne widziadeł, cmentarzy, karawanów pogrzebowych, objawień zmarłych przyjaciół, tajemniczych sygnałów, ciał astralnych i zaklęć, gdzie życie nieustannie przenika się ze śmiercią. W tej kunsztownej, truciciel- skiej poezji o zdradzieckiej urodzie pięknych kwiatów, wciągających w toń bagniska, odnajdowałem coraz to realistyczne szczegóły miejskiego pejzażu: uliczki, kawiareńki, knajpy, kamienice, mieszkania, które były obrazami peryferyjnej, zanikającej Warszawy.

Wydaje mi się, że fundamentem owej poezji jest głęboko przeżyte miasto, i dziękuję Zbigniewowi Zalewskiemu za trzy tomy wierszy z dedykacjami świadczącymi o pamięci naszych spotkań przed laty: w szynku na Mokotowskiej czy piwiarni u „Mamy Pawikowskiej” na tyłach Krakowskiego Przedmieścia.

29. BABCIA Z WNUCZKĄ

Była z nielichym biglem. Ładna, fertyczna blondynka o zgrabnych nogach, które działały jak magnes. Lekkie życie, jak to się mówi eufemistycznie, musiała mieć we krwi. Która tak jak ona tańczyła czeczotę na stole w barku przy Opaczewskiej? O świcie! Tam, na Ziele- niak, przychodziło się po lokalowej nocy. Ona bywała często z amantami, albo w poszukiwaniu następnych wielbicieli, czasem też dla bezinteresownej przyjemności zakończenia hulaszceży i pracowitej w jej przypadku nocy. Tańczyła wtedy dla cygańskich grajków. Pożerali ją oczyma. Podkasała kieckę, i te nogi. Ale proszę sobie naiwnie nie pomyśleć, że czyniła to bezinteresownie. O, nie! Na początku ustaliła taryfę. Za odsłonięcie nóg powyżej kolan tyle i tyle. A jeszcze wyżej — tyle... Wspaniała przy biesiadnym stole, prawie męska głowa do kielicha. Wesoła, żywa, oczy błyszczą, blond naturalne włosy, połyskliwe, biust, ta figura kusząca. Ale wszystko za forszę. Nic z porywów serca, uczucia, -ij

— Taki zawód — powiadała z rozbrajającą szczerością. — Jestem przecież tufta. — Nie wstydziła się wcale swojej profesji.

Kiedyś jechałem ze swoim przyjacielem Jurkiem J- samochodem. Był z nami jeszcze drugi grafik, Marian S. Ona szła sobie ulicą, zataczając się z lekka. Dostrzeg' ła mnie i pomachała przyjaźnie ręką. Jurek zatrzymał się i ona wsiadła. Było wczesne popołudnie; miała za sobą noc ze szwedzkim trenerem hokeistów w hotelu Metropol. Oprócz honorarium otrzymała od niego prezenty. Kolorową koszulkę z nazwą klubu, butelkę whisky i kilka paczek amerykańskich papierosów. Częstoowała nas trunkiem, papierosami. Ale za wszystko brała pieniądze, i to z góry. Łyk whisky tyle a tyle. Paczka amerykańców tyle. Wcale nie tanio. Miło i wesoło z nią było. Moim przyjaciółom grafikom nawet proponowała wzrokowe rozkoszowanie się jej ciałem. Za odpowiednią opłatą, oczywiście. Pieniądze ze swojej profesji składała w PKO. Gromadziła skrzętnie.

— Na przyszłe, stateczne życie — wyznała. Jedna z wielu dziewczyn w mieście.

Przestałem ją widywać. Inne szlaki? Przeniosła się z Warszawy? Nie wiem. Minęło wiele lat. Pewnego razu spotkałem w delikatesach na Marszałkowskiej przystojną, starszą panią, bardzo elegancko i nobliwie ubraną. Była z maleńką dziewczynką. Kupowała jej łakocie. Poznałem ją od razu. Ona mnie też. Przywitaliśmy się serdecznie.

— Doczekałam się wnuczki — powiedziała z dumą. — Bardzo zdolna. Uczy się już grać na pianinie.

Potoczyła się wesoła, wartka rozmowa. Wyszliśmy ze sklepu. Pod delikatesami stał samochód. Wsiadł z niego starszy, elegancki pan.

— To mój mąż — powiedziała i znacząco zmrużyła jedno oko.

Prawidłowo odczytałem ów sygnał. Ani słowa o przeszłości. Poszliśmy na kawę i winiak do pobliskiej kawiarni.

30. COŚ ZOSTAŁO

Nieraz wspominał. Nie można nie wspominać, jeżeli to była młodość i wiek dojrzały. Zabastował dopiero po czterdziestce. Chodził do miasta od najmłodszych lat. Rodem z Annopola. Tam to dopiero była kuźnia kadr! Same uroki, doliniarze, klawisznicy. Dintojry, odsiadki. Całe rody. Na frajerskiej kieszeni dziadek, matka, szwagier, wujek. Wszyscy obdziargani, przedwojenne wzorki jeszcze z Daniłowiczowskiej, Pawiaka czy świeże z Gęsiówki, Toledo. Feluś Zdankiewicz to był ktoś bliski. Tak samo Wiktor Zieliński. Nasłuchiwał się opowieści o dużych kozakach i dużych pieniądzach. Co prawda, jego stary był uczciwym człowiekiem, czarnoroboczym. Pracował w rzeźni na Krowiej. Całe życie dźwigał bydlęce tusze, śmierdział posoką, zwierzęcym nawozem i zgarbił się przedwcześnie. Nie było im lekko, stary ciągle narzekał na niefart.

Może dlatego zapragnął lekkiego życia. Wielkie skoki i koszt pieniędzy. Życie jak sielanka. Wódzia się skrzy jak kropelka rosy nad ranem, rój dziewcząt dokoła. No i zaczęły się wyroki. Małolatkiem będąc siedział na Gęsiówce. Zaczął przestępczy termin. Skoki przeważnie się nie udawały i więzienie stało się jego domem. W tiurmie wyuczył się fachu drukarza. Zawsze lubił czytać książki. Będąc już po czterdziestce zrozumiał, że nie dla niego wielkie skoki i wielki szmal. Wziął się do

roboty. Po szczeblach drukarskiego zawodu doszedł do perfekcji. Ma teraz ze współnikiem firmę, specjalność — druki reklamowe, okolicznościowe, szeroki wachlarz usług poligraficznych. Ciężko trzeba tyrać, ale zarabia nieźle. Zmienił już trzeci samochód: z fiata na poloneza, z poloneza na opla. Lubi w wolną sobotę czy niedzielę ruszyć szosą przed siebie. Wolność. Trzeci samochód miał tylko tydzień. Postawił pod blokiem i co pięć minut podchodził do okna. Sprawdzał. Założył blokadę, alarm. Ale namnożyło się ostatnio speców wysokiej klasy. Czuwanie na nic się nie zdało i w pięć minut rąbnęli mu opla. Wóz był już ubezpieczony i miał wszystkie niezbędne dokumenty. Ale i tak jego właściciela czekało łącznie po urzędach, podpisy, oświadczenia. Stracił humor i wypił dwa głębsze do lustra. Następnego dnia idąc na policję spotkał przypadkiem Tabakę. Tabaka to jego kumpel z dawnych lat. Niemłody, ale nie zaprzestał. Jeździ mercedesem, wille sobie wystawił z wieżyczkami i mimo wieku ubiera się w kolorowe dresy jak te młode zakapiory. Podobno jest bosem jakiejś mafii, jak to teraz się mówi. Grubą rybą. Tak stał, brzuchaty, rozkraczony, w tych swoich cyrkowych dresach i coś gadał do telefonu komórkowego. Tabaka sam go zaczepił. Powitał serdecznie i westchnąwszy przypomniał:

— Pod jedną celą siedzieliśmy na Gęsiówce, no nie? Zaprosił go do kawiarni. Postawił po winiaku.

— Pamiętasz?... — rozgadał się. tj Herbatnikowa- liśmy pod jedną celą. Twoje szlugi to były też moje. Wypiska z kantyny tak samo.

Powiedział mu o stracie opla. Tabaka zapytał o numer rejestracyjny wozu i od razu chwycił za telefon komórkowy.

— Natychmiast poszukać! — zaczął tak. — Kto za- jumał tę brykę! Słyszysz, kurwa? Czekam! Wypili po następnym winiaczku.

— Nie przejmuj się — powtórzył Tabaka — twój kłopot jest moim kłopotem.

Po kwadransie znów zadzwonił. Ze złością odłożył słuchawkę i zaklął.

— Nie ma śladu. To jakieś gnoje, co skaczą na dziko!

Był szczerze zmartwiony.

A on wcale się tym nie przejął. Nie szło mu już o samochód. Przecież z ubezpieczenia wypłaca. Najważniejsze dla niego było .to, że kumpel z dawnych lat zajął się jego sprawą. Charakternie, całym sercem. 4

— Herbatnik — powiedział i zamyślił się przez chwilę.

31. WESTALKI

Należy się im hołd. Tym cierpliwym, wyrozumiałym szafarkom wody ognistej i nie tylko. Były bowiem powiernicami, spowiedniczkami i często skrycie podkochiwali się w nich bywalcy. A ciemne bary z wystawą pełną bogactwa trunków opatrzonych kolorowymi etykietami stawały się w takich chwilach bezpiecznym przytuliskiem we wraźym świecie. Panie za ladą poruszały się z dystynkcją i gracją, napępniały sprawnie kieliszki i cierpliwie wysłuchiwały smutnych i wesołych, mądrych i niemądrych monologów zaprzyjaźnionych bywalców. Naprawdę kapłanki barowego sanktuarium! Ten skupiony wyraz twarzy, oczy. Wiedzę o życiu miały imponującą. Tyle przecież wysłuchiwały.

Czasem musiały używać nie lada sztuczek i sposobów, żeby poskromić niesfornych, ba! nawet nieobliczalnych gości.

Pisząc o nich, czuję się jak pielgrzym oplakujący utracony raj, zaglądam do dawnych barów, gdzie one niegdyś królowały i w owym zmienionym obecnym świecie tylko siłą imaginacji mogę wskrzesić tamten czas. Najlepiej pamiętam pierwszą barową inicjację. Zawitałem wtedy do nocnego „Paradisu” i tam za ladą zobaczyłem piękną panią o pociągłej bladej twarzy i dużych, płonących oczach. Nieśmiało przycupnąwszy na uboczu, obserwowałem i podziwiałem jej finezyjną

■MM

sztukę postępowania z mężczyznami, którzy tłumnie oblegali bar. Jednych dopuszczała do prawie intymnej poufałości, innych mroziła lodowatym dystansem. Ileż to razy Ona, a nie portier — osiłek,; potrafiła sobie poradzić z krnąbrnym gościem, wybuchającym nagle pijackim amokiem. I tylko jej anielska cierpliwość lub stanowczość pomagały awanturnikowi powrócić do rozsądku. Potem przepaszali, korzyli się usiłując odzyskać utracone względy.

Obracając w palcach nóżkę kieliszka z mrożoną wódką, myślałem o niej skrycie, lecz ani razu nie zdobyłem się na odwagę wyrażenia swych uczuć. Tylko raz pogrążony w jakichś pogmatwanych udrękach istnienia, spróbowałem zwierzyć się jej nieporadnie. Słuchała cierpliwie, wyglądała tak słodko. Piękność nocy!

Z biegiem lat wciągnąwszy się w przyjemny nawyk odwiedzania tych świątyń, bywałem w barze hotelu Bristol, traktowany przyjaźnie i wyrozumiale przez królową tego przybytku, panią Marię.

Później zachodziłem do podobnego baru w hotelu Europejskim i ważne miejsce w mym sercu zajęła pani Teresa, kobieta subtelna, delikatna i bardzo mi bliska przez wspólną dzielnicę dzieciństwa, z której oboje wyruszyliśmy w dorosłe życie.

Należy jeszcze przywołać panią Żermenę z baru w Grandzie, również tradycyjnego etapu popasu w naszym mieście.

Niektóre z tych barowych westalek były tak opiekuńcze, macierzyńskie. Inne magnetyzowały powabną kobiecością. Ech, łąza się w oku kręci! Dziś to już tylko j wspomnienia. W dzień szczególnie słotny i chmurny, który sprzyja nostalgii, idziesz bez celu, nagle zatrzymu

jesz się i patrzysz z nadzieją przez tafle szyby na znajomy bar. Nie ma już tam pani Marii ani pani Teresy. Pani Żermena jako gość odwiedza czasem bar w Grandzie.

Przyspieszasz więc kroku i ruszasz dalej. Nie znajdziesz już przytulnej dla siebie przystani!

32. ZIEMIA IGNACEGO MARUDY

Telefon od pani Elżbiety Raczyńskiej z Włoch, wnuczki Ignacego Marudy. Dopytywała się o możliwość nabycia książki pana Uchmana Martyrologia mieszkańców Włoch w latach 1939-45. Jej wujkowie zostali zabrani we włochojskiej brance mężczyzn w 1944 roku i już nie wrócili. Jaka może być rozmowa dwojga ludzi ze wspólnego świata dzieciństwa, młodości? Wspomnienia ^ wspomnienia. Odtworzyliśmy dawną topografię, wymieniliśmy nazwiska bliższych i dalszych znajomych. Pani Raczyńska opowiedziała o „badylarskiej” posiadłości swego dziadka, o tych polach dochodzących aż do Jelonek. Na miarę włochojską był to właściciel ziemski. Zaliczany do miejscowych „obszarników”. Co prawda nie taki tuz jak Koelichen, który miał tyle ziemi na Nowych Włochach. Całe ulice powstawały na jego parcelach. Pola Ignacego Marudy, zwane Marianówką, ciągnęły się od ulicy Piłsudskiego w stronę Woli. Uprawiano na nich kapustę, kalafior, cebulę, marchew i inne warzywa. W sezonie pracowały bandoski, najmitki z ubogich wiosek Podlasia i Kurpiowszczyzny. Dziadek zmarł w 1939 roku, ale ziemię uprawiali nadal w czasie okupacji.

Pani Elżbieta Raczyńska coraz częściej myśli o pewnej historii. Było to upalne lato 1942 roku i jej matka, która wówczas nadzorowała prace w polu, zobaczyła j

żandarma prowadzącego małego chłopca. Szli od strony ulicy Piłsudskiego. Chłopiec, najwyżej siedmioletni, był Żydem. Podeszła bliżej i usłyszała płacz dziecka. Żandarm doprowadził chłopca do krzaków zarastających pas ugorów na granicy upraw i tam go zastrzelił. Na jego polecenie bandoski wykopały dół i pogrzebano zwłoki. Na tym miejscu była pani Elżbieta Raczyńska jako dziecko wielokrotnie. Przebiegało się tam bardzo szybko, bo mówiono, że straszy. Jeden z wielu koszmarów wojennego dzieciństwa. Tyle się nasłuchiwała krwawych i strasznych opowieści podczas okupacji. Szczególnie o losie Żydów w obozach koncentracyjnych, o masowych egzekucjach, komorach gazowych. W skali globalnej tragedia ta przytłaczała masę milionami ofiar. Nie dawała się ogarnąć wrażliwością, stawała się abstrakcyjną statystyką. Po wojnie zresztą nastąpiły wcale nielekkie czasy, zabierali ziemię, kamienice, szalała bezpieka, wywozili na białe niedźwiedzie. Zapomniało się o tym, co było, codzienne udreki brały górę.

Po latach jednak wróciło do pani Elżbiety Raczyńskiej tamto tragiczne wydarzenie. Rozmyśla o chłopcu zastrzelonym przez żandarma. Stał się jej bardzo bliski. Ile miał lat? Jak długo się ukrywał? Co się przydarzyło jego rodzicom? Nawet wyobraża sobie jego twarz, oczy, słyszy jego głos. Płacz w tej ostatniej chwili.

Odwiedziła owo miejsce na dawnym polu dziadka. Tam zmieniło się wszystko. Osiedle, asfaltowa droga, coś nowego budują. Gdzie jest jego grób?

— Żeby tak postawić jakiś kamień — mówi pani Raczyńska. — Tablicę pamięci tego bezimiennego chłopca.

33. NASZ DZIELNICOWY

Gliniarz mógł być człowiekiem. Nie wszyscy oni mają psią naturę, według której każdy jest potencjalnym przestępcą lub potencjalnym kapusiem. Ten prosty podział ludzkości niektórym wydaje się zbyt prosty. Cesiek był chłopakiem ze Śródmieścia. Urodził się przed wojną na Poznańskiej. Jego stary był listonoszem w tym rewirze. Syna wychowywał surowo i pasa nie żałował. Należał do PPS i w dniu 1 Maja zawsze szedł w partyjnym pochodzie. Po wojnie nadal był członkiem swojej partii i czasem po kielichu wspominał posła Dubois, którego płomienne mowy bardzo go niegdyś poruszały. Listonosz był pracownikiem mundurowym i może Cesiek po ojcu odziedziczył upodobanie do munduru. Przyjęli go do MO z otwartymi rękami, pochodzenie klasowe właściwe; zaczął służbę w kolejowym komisariacie na Głównym, gdzie wykazał się energią, odpowiednią postawą i skutecznością w zwalczaniu dworcowej żulii. Został przeniesiony do XI Komisariatu w Alejach. Dostyc szybko awansował na sierżanta. Stróżem porządku był sumiennym i w tym pępku ówczesnego miasta, jaki stanowił kwartał Poznańskiej, Nowogrodzkiej, Marszałkowskiej i Alej, dawał sobie znakomicie radę, rozpoznając nieomylnie opryszków, rabusiów, awanturników i innych rzezimieszków. Tajemnice półświadka nie były mu przecież obce, więc wykazywał się biegłością w chwytaniu doliniarzy, najchętniej grasujących w „bombie”, czyli w ścisiku i tłoku na przystankach i w tramwajach. Tak samo złodzieje działający na „wydrę”, którzy stosowali przemoc fizyczną wobec swych ofiar, nieraz mieli do czynienia z milicjantem Ceśkiem i schwytani na gorącym uczynku wędrowali na Gęsiówkę lub do więzienia na Pradze. Była to uczciwa gra i kto lepszy, ten zwyciężał. Często Cesiek po służbie bywał w knajpach, gdzie gromadził się „element”, i był w bliskiej komitywie z doliniarzami, włamywaczami, sutenerami i oszustami. Potrafił też przymknąć oko na jakieś drobniejsze wykroczenie, bo zdawał sobie doskonale sprawę, że nie ma reguły bez wyjątku. Tym bardziej wtedy, kiedy rzecz dotyczyła jakiegoś kołosa z tej samej ulicy co on, domu, podwórza. Potrafił takiemu postawić wódkę i szepnąć:

—Pryskaj stąd, ale to już!

Jednak czasy wtedy nie były bajkowe i oprócz milicji działała bezpieka. Brali ludzi z ulicy, wyciągali nocą z łóżek. Podjeżdżała czarna cytryna i wywozili na Koszykową, Sierakowskiego lub do więzienia na Rakowieckiej. Dzielnicowy Cesiek oczy miał otwarte i niejedno widział, i wiedział. Zamykali niewinnych ludzi. Znikali oni w piwnicach Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego jako agenci, dywersanci, sabotażyści, bandyci z reakcyjnego podziemia. Jego poczucie sprawiedliwości zostało poddane ciężkiej próbie i przebrała się miara, kiedy aresztowano chłopaków z paczki Gungadina, którym zarzucono zdradę ojczyzny i szpiegostwo na rzecz imperialistów amerykańskich. Znał tych chłopaczków dzielnicowy Cesiek i głośno dawał wyraz przekonaniu o ich niewinności. Komendant komisariatu radził mu po dobru:

— Zamknij ten głupi dziób! Napytasz sobie biedy, zobaczysz.

Marek Nowakowski

No i napytał sobie biedy.

Przesłuchiwali go na Koszykowej. Zawiesili w służbie. Cesiek swego przekonania nie zmienił i mówił uparcie, co o tym wszystkim myśli:

— Jaki tam z Gungadina szpion! Latał do ambasady amerykańskiej na filmy. Lubił oglądać te bajery, co to gonią się kowboje z Indianami i strzelają. Kto tego nie lubi!

W taki sposób został zwolniony ze służby. Poszczęściło mu się, że nie poszedł siedzieć. Ale w cywilnym stroju dzielnicowy Cesiek był bardzo nieswój. Poruszał się sztywno jak manekin i stracił zwykłą pogodę ducha, Żałowali w Śródmieściu Ceška.

— Glina, bo glina UJ mówiono — ale ludzki chłop.

Stanowiło to najwyższe uznanie i kiedy Cesiek pojawił się jako cywil w „Metrze”, ugoszczono go setnie.

Pracował później przez jakiś czas jako konserwator dźwigów w Ministerstwie Rolnictwa. Wreszcie zatrudnił się na Poczcie Głównej w charakterze listonosza. Poszedł śladami ojca i poprawiło mu się samopoczucie. Musiał mieć słabość do munduru. Nabrał ponownie dziarskiego wyglądu; ruchliwa praca dawała mu dużo satysfakcji. Wiedział zawsze o wszystkich jawnych i niejawnych sprawach, które działy się w jego rewirze. Lubił trzymać rękę na pulsie wydarzeń i choć nie czynił ze swojej wiedzy żadnego użytku, to sama sztuka dla sztuki była dla niego przyjemnością. Teraz jest wiekowym emerytem i chętnie wspomina lata służby w Milicji Obywatelskiej po wojnie.

Mafia, gangsterzy — powiada chępliwie. — Dałbym radę tym gangsterom, kurza stopa!

34. TYTAN

Może to skutek postępującej lawinowo ekspansji fil- mowo-telewizyjnej, obrazkowej? Kasety wideo w różnokolorowych okładkach. Wszędzie widzi się młodych ludzi dźwigających pod pachą lub oburącz kasety. Pewien młodzian pakował do torby jedną po drugiej, sześć, siedem.

— Maraton! — oznajmił. — W sobotę i niedzielę będzie non stop.

Te sennie sprzedawczynie za ladą w sklepie Mini Europa. Całą noc oglądały serial z wypożyczalni kaset. Ziewały i nadal przeżywały bajkowy świat modelek i bogaczy z Santa Monica. Niewątpliwe znaki czasu.

Dawni namiętni miłośnicy drukowanego słowa odchodzą w przeszłość. Nie znajdują następców. Ludzie nie mają czasu ani ochoty na spokojny rytm czytania książek. Jedynie zdążą przejrzeć gazetę, przeważnie interesują ich kursy walut, notowania giełdowe i ogłoszenia. A kiedyś! Wypada powiedzieć: drzewiej! Byli pożeracze czasopism, książek. Specjalny gatunek czytelników. Widywało się ich w księgarniach, wypożyczalniach. Odprawiali miłosny rytuał. Wpierw oglądali uważnie książkę, przeglądali ją kartka po kartce, zatrzymywali wzrok na ilustracjach, smakowali drukowane słowo na wrywki, by wreszcie pożyczyć lub kupić wybraną pozycję. Odchodzili i po drodze często przy

stawali, bo przeglądali swą zdobycz. Taka celebracja była przygotowaniem do zagłębienia się w lekturze. Latami w klubach prasy, kawiarniach, księgarniach i antykwiariatach widywałem niezapomnianego Pożeracza Drukowanego Słowa. Był mężczyzną w średnim wieku, korpulentnej postury, ubrany biednie, lecz schludnie, poruszał się kaczkowatym krokiem człowieka cierpiącego na płaskostopie, twarz miał puciołowatą, bladą, słaby zarost. Ale przede wszystkim uwagę zwracały jego wypukłe oczy, mocno wysadzone z oczodołów, i potężnie sklepione czoło, którego imponującą rozległość powiększała jeszcze łysina. Zawsze dźwigał wypchaną teczkę. Sprawiał wrażenie introwertyka pogrążonego wyłącznie w świecie swych myśli, wyobraźni. Nie zwracał najmniejszej uwagi na otoczenie. Był nieobecny. I tak idąc niezgrabnym krokiem platfusa, potrącany przez przechodniów, zatrzymywał się nagle. Dostrzegał ławkę na uboczu wielkomiejskiego ruchu i od razu kierował się w jej stronę, siadał. Następował fascynujący rytuał: Pożeracz Drukowanego Słowa rozsuwał rzemienie opasujące teczkę, przyciskał zatrzaski, otwierał teczkę i wyciągał z niej książkę, rzadziej czasopismo. Wkładał okulary o grubych szklach. Kładł lekturę na kolanach, kontemplował ją wzrokiem, dotykaniem i po fazie wstępnej zanurzał się w czytaniu. Zanurzał się! Określenie właściwe. Była to bowiem czynność tak intensywna, żarłoczna. Pochylał nisko głowę, równocześnie podnosił książkę bardzo blisko oczu, uzbrojonych w grube szkła, i już nie istniał dla niego świat zewnętrzny. Nie słyszał zgrzytu hamujących samochodów, wizgu opon, ryku klaksonów, syren. Mogły wybuchać bomby, grzmieć armaty i zapewne dopiero po dłuższym czasie oderwałyby wzrok od książki. Niekiedy zajmował się kilkoma naraz i z jednej przerzucał się do drugiej' Wkładał w nie zakładki. Znać to mogło, że pragnie

powracać do pewnych fragmentów, zdobyty ich urodą literacką lub walorami myśli. Gazety czytał mniej wnikliwie, choć zauważyłem, że czasem też coś w nich podkreśla, opatruje znakami. Tak spędzał długie godziny.

Widywałem go w różnych miejscach miasta. Lubił parki i zaciszne ławki. W czytaniu był niezmordowany. Na chwilę tylko dawał odpoczynek zmęczonym oczom, unosił głowę, zdejmował okulary i przecierał je chusteczką, po czym wracał do lektury. Jego skupienie wydawało się tak żarliwe, absolutne.

Pod jego potężnym, wspaniale sklepionym czołem można było sobie wyobrazić gigantyczną bibliotekę, półki i półki, tomy i tomy. Istniała biblioteka w Aleksandrii. Patrząc na niego z dyskretnej odległości, puszczałem wodze fantazji. Tacy czytelnicy jak on, jest ich najwyżej kilkunastu, tworzą klub najwyższego wtajemniczenia. Chaldejczycy, którzy porozumiewają się ze sobą tajemną mową.

Był dla mnie symbolicznym sprzymierzeńcem w walce z zalewem telewizji, komiksów, kaset, kolorowych obrazków.

Ostatni raz widziałem go w piękny, letni dzień. Siedział na ławce, nad którą zwisało bujne listowie tworzące naturalną altanę, i czytał, czytał. Nadeszła wiosna i może znów zobaczę w parku nienasyconego Pożeracza Drukowanego Słowa?

35. NAWET TRAWA NIE WYROŚNIE!

Było to w czasie pogrzebu jednego z ostatnich wiekowych członków naszej rodziny, i kuzyn Staś, wskazawszy na pewnego uczestnika konduktu, powiedział z przejęciem:

— On pierwszy przewidział wszystko!

Przyjrzałem się mężczyźnie dokładnie. Starszy, niskiego wzrostu. Długi, staromodny paltot i pilśniowy, zgnieciony kapelusz w dłoni. Twarz miał ogorzałą, posiekaną ostrymi zmarszczkami, i nieliczne pasemka włosów na białej łysinie. Wyglądał na człowieka, który w swoim życiu dużo przepracował fizycznie w skwarze i słońcu. Podeszliśmy do niego i kuzyn Staś przywitał się z nim serdecznie. Potem mnie przedstawił. Uścisk sprawowanej, szorstkiej dłoni tamtego był twardy, oczy mężczyzny uważne, przenikliwe. Potoczyła się rozmowa o wnukach, chorobach, wysokości emerytur i wspólnych znajomych, którzy odeszli do wieczności. Starsi panowie gwarzyli, tak jak zawsze gwarzy pod czas takich spotkań. Słuchałem nieuważnie. Zaczęła się ceremonia nad grobem i rozmowa się urwała.

Dopiero później podczas stypy kuzyn Staś opowiedział mi o tym niczym nie wyróżniającym się człowieku spotkanym na cmentarzu, który był jego dowódcą z czasu okupacji. Przysłała go do leśnego oddziału komenda okręgu. Sprawnie zajął się wyszkoleniem i orga-

nizacją jednostki. Formował drużyny i plutony. Wprowadził dyscyplinę i żelazne reguły do tego zbiorowiska maturzystów, chłopskich synów, inteligentów, wśród których kilku zaledwie miało jakiś tam żołnierski staż. W sprawach wojskowych fachowiec. Niepozorny, nigdy nie krzyczał. Szybko zdobył sobie autorytet wśród tych młodych chłopców. Zaimponował im zimną krwią, refleksem i odwagą. Był bardzo biegły w strzelaniu. Nikt nie mógł mu dorównać. Sam o sobie mówił niewiele i wynikało z tego, że przed wojną był zawodowym podoficerem KOP, brał udział w kampanii wrześniowej i przez Karpaty przedarł się na Zachód. Stamtąd, po specjalnym przeszkoleniu, dostał się do kraju — zrzucano go. Nim znalazł się w tym leśnym oddziale, operującym w okolicach Siedlec, działał w wywiadzie Komendy Głównej AK na wschodnich rubieżach Polski. Wkrótce pod jego dowództwem żołnierze zaczęli odnosić sukcesy w walce z okupantem. Głośnym ich wyczynem było zdobycie posterunku żandarmerii. Nie mniejszym zasadzka na auto z szefem siedleckiego gestapo. Nie mówiąc już o wysadzaniu transportów kolejowych z bronią i amunicją, kierowanych na front wschodni. Ciężką dla nich próbą bywały wyroki na konfidentach. Tyle wymagały zimnej krwi i stłumienia wszelkich ludzkich odruchów.

Po tylu, tylu latach kuzyn Staś opowiadając to wszystko, ożywił się niezmiernie i wydawał się znacznie młodszy. Jego zmęczona, szara twarz schorowanego człowieka w podeszłym wieku zarumieniła się, a oczy rozbłysły mu dawnym blaskiem. Nie szczędził pochwał dowódcy, który przed każdą akcją rozważał starannie szczegóły operacji i oni, młode, gorące głowy, akceptowali jego chłodną kalkulację. Był jak szachista, przewidyjący zwykle posunięcia przeciwnika. W ogóle starali się naśladować jego flegmatyczny sposób mówienia,

Marek Nowakowski

jego chód, sposób palenia papierosów, a szczególnie ten szybki ruch ręki, kiedy dowódca wyciągał broń zza pasa.

Lecz najtrwalej zapisały się w pamięci kuzyna Stasia ostatnie dni przed zbliżającą się ofensywą sowiecką. Już było słycać bliską kanonadę artyleryjską, widoczne były dymy i ognie wybuchów. Wtedy to ich dowódca wystąpił z szokującą propozycją. Jak zawsze posłużył się zwięzłą formułą i nie wdając się w dłuższe wywody, skonstatował, że oto koniec okupacji niemieckiej i rychłe nadejście okupacji sowieckiej. Zaczną się deportacje do łagrów, aresztowania, prześladowania. Przedstawwszy w ten mniej więcej sposób zarys sytuacji, która niebawem miała nastąpić, zaproponował likwidację komórek PPR w okolicy i tego niewielkiego oddziału partyzantki komunistycznej, skrytego w sąsiednim kompleksie leśnym. Tak to wyraził, bez żadnego kamuflażu, a oni milczeli.

Byli wstrząśnięci. Miał już przygotowaną zawczasu listę nazwisk. Wyciągnął świstek papieru z kieszeni i zaczął go wygładzać na kolanie. Uzasadził powód takiego rozwiązania stanem wyższej konieczności.

— Jeżeli my ich nie wyplenimy do szczętu — powiedział bez cienia wątpliwości — to sami zakładamy sobie stryczek na szyję. Spełnią rolę informatorów NKWD i bezpieki. Gwarantuję to wam słowem honoru oficera! Wyłuskają każdego z nas jak groch ze strąka.

Oni dalej milczeli. Dowódca zapalił papierosa i przyciskał na kolanie kartkę papieru, gęsto zapisaną kopiowym ołówkiem. Wszyscy spoglądali na ów papier prasowany metodycznym ruchem jego dłoni.

— Tam gdzie przejdzie komunizm, nawet trawa nie wyrośnie. — Tym metaforycznym powiedzeniem, jedy-
nym poetyckim akcentem rzeczowej propozycji, zakończył swój wywód i powiódł po nich zinnym, skupionym spojrzaniem.

Ocknęli się z osłupienia i milczenia. Rozgorzała burzliwa dyskusja. Zgodnie potępiali to okrutne rozwiązanie. Nie będą postępować na wzór okupantów, najeźdźców, skrytobójczych zbrodniarzy. Nie chcą kalać swych rąk krwią braci, rodaków. I dalej w tym duchu. Było w nich tak wiele szlachetnego oburzenia. Nawet namiętne oskarżenie inicjatora.

Dowódca słuchał z nieruchomą twarzą. W pewnym momencie zaznaczyło się na niej lekkie zniecierpliwienie. Stanowczym ruchem ręki przerwał ten zgodny chór protestu. Wstał, obciągnął kurtkę, poprawił broń w kaburze i powtórzył, jakby do siebie, wpatrzony w dogasające ognisko:

— Zobaczycie, nawet trawa nie wyrośnie...

Kuzyn Staś, który siedział najbliżej niego, słyszał doskonale jego słowa. Jeszcze widział, choć tego nie jest tak bardzo pewien, jak wraz z niedopałkiem papierosa dowódca wrzucił do ognia kartkę papieru, zgniecioną w małą kulkę.

Oddział został rozwiązany. Dowódca zniknął już następnego dnia. Kuzyn Staś wyjechał do Warszawy. Wkrótce dowiedział się o aresztowaniach jego kolegów z leśnego oddziału. Enkawudziści szli pod wskazane adresy i wybierali ich jak z saka. Niektórych torturowano i zamęczono w piwnicach bezpieki. Kilku zastrzelono podczas próby ucieczki. Byli też tacy, którzy wyrazili gotowość współpracy z nową władzą. Większość zaś osadzono w obozie pod Rembertowem i stamtąd wywieziono ich za Ural. Kuzyn Staś zaczął się ukrywać.

— Później w moim życiu były takie chwile — po-

woli waży słowa — kiedy żałowałem, że go nie posłuchaliśmy. Ale przecież tak na zimno nie mógłbym tego zrobić. Nie! Zresztą — dodaje — ich nie można tak wydusić do szczętu. Zawsze ktoś by pozostał. — Rozkłada bezradnie ręce. Opuszcza głowę. Pewno znów słyszy tamten niezapomniany głos dowódcy.

36. ŻŁODZIEJSKA KREW — TAK SIĘ MÓWIŁO

Ty masz złodziejską krew! — najwyższy przymiot. Suma przymiotów. Honor, charakterność i przede wszystkim wierność wobec kodeksu uroków, który najbardziej odsądzał od czci i wiary kapusia, pomiot i hańbę rodzaju ludzkiego największą. Retoryka w łzeniu kapusia, kapusty, tego, co daje chleba na lewo, kurwy po prostu, była bogato rozbudzona i inkrustowana dosadnymi przekleństwami.

Był taki stary złodziej Celo, nie wiadomo dlaczego tak nazwany. Może z tego powodu, że siedział pod celą w rozmaitych pudłach kupę lat. Nie miał fartu, co skok to wyrok. A nic biedaczek poza przemożną skłonnością do kradzieży nie umiał, niestety. Łapał co się dało. Powiadali, że kurą w chłopskim obejściu nie gardził.

On to, w dość podeszłym już wieku, upodobał sobie rolę mentora wobec małaolatów, tego złodziejskiego narybku na początku drogi. Lubił wystawać na bazarach i tam zbierał wokół siebie gromadę młodych wilków, którzy przynosili fanty do paserów i dostawszy za towar szmal, stawiali mu czasem stakana. Celo wypiwszy, grzmiał jak kaznodzieja o wzniosłych zasadach złodziejskiego kodeksu. Wyglądał godnie: złamany nos, dwie szramy na gębie, mnóstwo tatuaży. Rozkraczył się, podniósł nieco na czubkach palców (mały był karakan) i pouczał o oddaniu na śmierć i życie dla współnika,

trzymaniu się w śledztwie niezłomnej zasady: lepsze jest jedno zaparte niż sto przyznanych, co znaczyło, że nigdy nie należy się przyznawać do popełnionego czynu. A już oracja osiągnęła apogeum, kiedy prawil o kapusiu, tym wyrodku najwyrodniejszym. Nie poprzestał na ziemskich mękach, które na takiego czekają w postaci dintojry, złamanego życia pod celą, kiedy to kapuś siedzi na kiblu, opluwany przez wszystkich. Mówił tak przejmująco o samotności, która go niechybnie czeka. Najpiękniej przedstawił Celo potępienie wiekuiste bez odwołania:

. Nawet Bóg nie przebaczy kapusiovi!

Małolaty słuchali z otwartymi dziobami, niejednemu dreszcz przebiegł po grzbiecie.

Ale starsi złodzieje przechodząc obok tego zgromadzenia, zaśmiewali się do łez. Otóż ten Celo, rupiec z gębą pełną pięknych słów, był bazarowym kapusiem. Prowadził grę w trzy miasta (nareszcie zmądrzał i zaprzestał głupich skoków) i zapewniał sobie bezkarność pełniąc funkcję informatora gliniarzy. Był ich uchem i okiem. Nieraz widywano go, jak poszeptywał z nimi w ustronnych kątach. Gorliwym był sprzedawczykiem.

— Czuję duży skok! Włam! Chodzą koło tego Esi, Kaszubiak i Rambarbar. Już się umawiali. Jak pragnę wolności, panie władzo! — zaklinał się pewnego razu składając swój wészycielski meldunek.

Byli świadkowie. Podsluchali. Celo głośno mówił. Nie miał życia ten śmieć w chawrze. Opluwany i lzony. Przeganiany jak parszywy kundel.

No i taki psi syn pouczał wstępującą do zawodu młodzież.

Zaiste, następowały czasy upadku! Gdzie tu prawo dintojry, ogień piekielny dla takiego! Ale tak popatrzywszy chłodnym okiem na ów światek wokół bazarów, melin i paserów, to nie tylko Cela należałoby StUffflfHHRH

łości. Ilu takich Się tam kLifo™ ' ' 111II Nawet najtwardsi ||£HgHU H 11 ten rewir mig pod?sob_a« ■m|S1 kiem: wrednym uśmiesz-

torawJNoTo^, m08Ubyšmy « »ez MW

37. GIEŁDA NA KRÓLEWSKIEJ

Mam znajomych namiętnie grających na giełdzie. Był taki czas, że dla niektórych z nich ta pasja stała się absolutem. Jeden sprzedał samochód, inny kosztowności rodzinne po teściach, i grali, grali. Jeszcze inny, pewien młody człowiek, postanowił nawet zostać maklerem. Przechodzi odpowiednie studia, słono za nie płacąc, i jest to już nie ten sam osobnik co przedtem. Rzec można, gentleman z City: odziać go w ciemny prążkowany garnitur, melonik, dać laseczkę, i mamy już mglisty Albion w polskim wydaniu.

Co prawda, niejeden z tych entuzjastów mocno się sparzył ostatnio. Akcje spadają, zyski się kurczą. Posiwieli, lekki obłęd zagościł w ich oczach, a sesje na giełdowym parkiecie pogłębiają nieustannie ich nerwicę.

Ale to jednak czas renesansu. Jak Feniks z popiołów wyłania się zapomniana dziedzina. Banków przybywa, rosą niby grzyby po deszczu. Nawet takich osobliwych, przenośnych bankowych kramików namnożyło się co niemiara. Chociaż ci „teczkowo-waliz-kowi” bankowcy czasem znikają i ludzie, którzy powierzyli im swoje oszczędności, poszukują ich daremnie. Także banki legalnie zarejestrowane: piękne wnętrza, marmury i żyrandole, atletyczni ochroniarze przy wejściu — plajtują z nagłą, tłum wierzycieli zbiera się o świącie w tasiełkowej kolejce i sporządza społeczną listę „oczekujących na Godota”.

Spotykam się z pewnym starszym panem. Wymierający gatunek, przedwojenny. Ten styl, manieri, elegancja. Trzyma się nad wyraz krzepko i umysł zachował bystry, przenikliwy.

Tak więc spotykamy się czasem i słucham jego ciekawych wspomnień. Prowadzi mnie stary pan prokurent szlakiem dawnych banków, giełdy. Giełda stała przy Królewskiej, ruiny po niej istniały jeszcze przez kilka powojennych lat. A jak o niej sugestywnie opowiada. Słowem operuje celnym, barwnym. Wydobywa z nicości monumentalny gmach z rzeźbionym frontonem, kolumnami. Twierdzą pełną złota, pieniędzy. Widzę wielką halę, tablice z notowaniami akcji. Słyszę podekscytowane głosy. Rozgorączkowany tłum, narkotycznie błyszczące oczy, ekspresja gestów, min. Tajemniczy fenomen zwyczajki i zniżki. Raz w górę, a raz w dół. Starszy pan opowiada o pewnym jegomościu, co strzelił sobie w łeb w „Adrii” nad ranem. Grał i przegrał wszystko.

Stoimy przy ruinach banku na Daniłowiczowskiej w pobliżu Bielańskiej. Zostały tu poszczerbione mury do wysokości pierwszego piętra i podziemne kondygnacje, których nie zmogły bombardowania i ostrzał artyleryjski. Używane były jako skarbiec przez wszystkie lata PRL.

Nostalgicznie wzdycha starszy pan za zmarłą przeszłością. Uczenie wywodzi o zawiłościach prawa wekslowego, listach zastawnych, obwarowaniu zastawu hipoteką, żyrantach i terminach spłaty pożyczek. Gąszcz pułapek, prawniczych kruczków, śliska to i niebezpieczna droga. Mężczyzna ożywia się radośnie, kiedy wspomina swą praktykę na giełdzie.

— To były czasy — powiada patrząc z wyraźną

116 Marek Nowakowski

niechęcią na „Biały Dom” (niedawno siedzibę jedynej naszej partii), który od kilku lat przemienił się w budynek, gdzie mieści się giełda. — Natomiast tu — dodaje po chwili — sowieckie duchy wciąż jeszcze straszą. To często ma się do prawdziwej giełdy jak pięść do oka.

38. STARSZY SYN SZEWCA D.

Na dziedzińcu uniwersytetu zaczęły wjeżdżać autobusy. Wysypywali się z nich cywile, ubrani jak na tę zimną, mroźną pogodę przystało, w jesionki, pikowane kurtki, czapki. Niektórzy mieli pałki. Tak! Typowe pałki z wyposażenia milicyjnego. Jedni trzymali je przed sobą, inni chowali za plecy lub wsunęli w rękawy wierzchniej odzieży. Był to aktyw robotniczy, który zjechał się z fabryk Warszawy, żeby uspokoić studencką młodzież podatną na wpływy wicherzycieli.

Kończąc się po dziedzińcu tłum studentów znieruchomiał, wpatrzony w nieoczekiwanych przybyszów.

Aktyw uformował się dosyć sprawnie w ciasne szeregi i sunął ławą do przodu.

Studenci cofali się powoli w stronę biblioteki, a potem w głąb, za budynek BUW-u do Pałacu Kazimierzowskiego.

Wtedy go zobaczyłem. Byliśmy naprzeciw siebie. On wśród aktywu, ja w spłoszonej, cofającej się cizbie studentów. Niewysoki mężczyzna w jesionce z futrzanym kołnierzem, czapa także futrzana. Starszy syn szewca D. Z jego bratem Jankiem uczęszczałem do jednej klasy. Bywałem u nich w domu. Mieszkali na parterze, a warsztat szewski mieścił się w izbie będącej zarazem kuchnią. Lubilem tam chodzić. Pachniało dziegiem lub czymś podobnym używanym do smarowania

dratwy. Stary D. siedział na niskim taborecie i trzymając w ustach drewniane ćwieki, co raz wyjmował jeden z ust i wbijał wprawnym uderzeniem młotka w obcas czy podeszwę buta. Czasem ostrym jak brzytwa nożem wykrawał łąkę ze skóry, podbijał blaszkami zelówki. Chętnie objaśniał przeznaczenie swoich narzędzi: pociągła, kopyta, szydła itp.

Starszy brat Janka pracował w fabryce, ale mówiliśmy sobie po imieniu.

Spotkaliśmy się na dziedzińcu uniwersytetu w marcu 1968 roku. Poznał mnie na pewno. Wyczytałem to w jego oczach. Lecz twarz syna szewca D. pozostała nieruchoma, poważna. Dzieliła nas odległość dwudziestu, trzydziestu metrów najwyżej. Studenci nawoływali robotników do opuszczenia terenu uczelni.

— Nie bądźcie pachołkami! .— ! krzyknęła jakaś dziewczyna.

Robotnicy milczeli.

Nagle z tyłu rozległy się niespokojne okrzyki:

— Gliny atakują od Obożnej! Zajeżdżają budy!

Tłum rozpieczęł się na wszystkie strony. Zaczęliśmy uciekać. Jedni w stronę budynku seminaryjnego wydziału prawa, inni na boczny dziedziniec geografii. Poniesiony zostałem przez liczną gromadę, która popędziła do zagrożonego wyjścia na Obożną. Wskoczyliśmy w ostatnim momencie. Rycerze w stalowoniebieskich mundurach zbliżali się tupocząc głucho kolumną. Popędziłem w dół, potem w prawo do Sewerynowa. Jeszcze zobaczyłem mężczyznę, który też uciekał, ale jakoś bardzo powoli. Przed sobą trzymał w rękach pudło w firmowym opakowaniu Cepelii. W pudle był wycięty otwór i dochodził stamtąd lekki szum. To chyba była kamera. Uciekał tyłem, wystawiając do przodu zakamuflowaną taje pomysłowo kamerę. Pewnie jakiś zagraniczny dziennikarz.

Na Sewerynowie było już spokojnie.

Po wielu latach od tamtych wydarzeń spotkałem przed sklepem spożywczym Mini Europa starszego syna szewca D. Przywitaliśmy się. Był na rencie. Jego ojciec dawno nie żył. Młodszy brat Janek wyjechał do Kanady. Już miał odchodzić. Zatrzymał się jeszcze i powiedział:

— Wtedy w marcu, wiesz, od razu cię poznałem. Niezłe spotkanie co?... Ale co miałem zrobić! Byłem w robocie majstrem, zapisałem się do ORMO. Partia, rozumiesz? Takie były czasy. Lecz wcale się do tego nie przykładałem. Kazali, to poszedłem. Ale pały ani razu nie użyłem. Studenciaków nie zatrzymywałem, niech sobie uciekają. Pewno nie wierzysz, co?

Nie czekał na moją odpowiedź. Pobiegł na przystanek autobusowy; z daleka machnął ręką na pożegnanie.

39. MIRON BIAŁOSZEWSKI

W tamtych latach nocne miasto kusiło nieprzeparciel Domy i gruzy skryte w ciemności. Niewiele świateł, nie-liczni przechodnie. Wszystko wydawało się tajemniczą powieścią, którą można było czytać rozdział po rozdziale. Jakiś wrzask w gruzach, migocze tam nikłe światelko. Porachunki półświatka, dziewczyny w sporze z klientami? Z daleka klekot końskich kopyt po bruku. Dorożka. Szturmują do drzwi nocnej „Polonii”. Obdarty staruszek zbiera niedopałki na przystanku. Kanalarze w długich butach rozkładają namiot nad studzienką, stawiają lampę w drucianej koszulce. Na rogu Alej i Marszałkowskiej rozbłysły palniki acetylenowe. Tramwajarska brygada pracuje na szynach. Tajemniczy, si- nozłoty ogień z palnika, jego refleksy na twarzach robotników. Zbłąkani przechodnie gromadzą się przy szynach i obserwują robotę. Wśród nich szczupły mężczyzna o wąskiej, ascetycznej twarzy. Znieruchomiał i patrzy, patrzy. To Miron Białoszewski.

W pobliżu politechniki wre bujne życie Zieleniaka. Wciąż podjeżdżają platformy wyładowane kapustą, cebulą, ziemniakami. Turkot kół, rosłe zady koni, sennie kołyszają się woźnice. Poczulem czyjaś dłoń na ramieniu. To Miron. Obserwował kipieli warzywnego targu. Ciemne, niekształtne sylwetki ludzi na placu. Kołyszące się światelka lamp, latarek. Nawet słyszeliśmy chrzęst przeżuwanego przez konie obroku. Hades jakiś. Nagle rozległy się grzmoty, niebo rozdarły błyskawice. Lunęły strugi deszczu. Letnia burza. Pobiegliśmy do bramy secesyjnej kamienicy na Lwowskiej. Miron długo i uważnie oglądał stiuki na suficie sieni, drewnianą furtę z żelazną klamką i gładką rączką, wyslizganą w ciągu kilkudziesięciu lat używania. Tak ją pogłodził czule.

Ustał deszcz i każdy z nas poszedł w swoją stronę.

Tyle przypadkowych spotkań w mieście. Jeszcze knajpa „Toruńską”, jedyna wtedy tak długo czynna. Kłęb pijanych, a w kącie przycupnął Miron. Pije herbatę, otacza szklankę dłońmi, grzeje się. To była tęga zima. Niestrudzony wędrowiec. Miasto było jego tworzywem. Noc królestwem. Za dnia spał i zasłaniał szczelnie okna.

Nie ma Mirona, nie ma tamtego miasta. Żeby móc to wszystko przywołać i wiernie zapisać!

40. MŁODZI ARTYŚCI NA PUSTYNI

Tropiąc ślady bohemy w naszym mieście, należy się zatrzymać na MDM-ie. Był to już czas, kiedy zniknęła parterowa Marszałkowska wśród gruzów. Rozebrano ostatnie kamienice i wyrosły monumentalne domiszcza Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej. Twierdze z arkadami na parterze i zamkowymi krużgankami na piętrze, ozdobione płaskorzeźbami mocarnych chłopów i robotników, uzbrojonych w kielnie, młoty i łopaty, budujących nowy piękny świat, oświetlony kandelabrami placu Konstytucji. Już zatarto ślady dawnego miasta, poplątały się ulice, a odcinek Pięknej (dawniej Piusa XII) przecięty nową Marszałkowską nie łączył się z dalszym jej ciągiem w stronę Kruczej. A Zygmunt Krzywy, syn właściciela przedwojennej knajpy na Koszykowej, z trudem mógł sobie uzmysłwić, gdzie znajdowała się restauracja jego ojca. MDM obdarzył nas hotelem o tej samej nazwie, restauracją „Pod Kandelabrami”, „Pod Arkadami”, kawiarnią „Stylową”, „Niespodzianką” i „Pod Kurantem”. Jakie one były, takie były, ale życie w nich rozkwitło bujnie. Warszawiacy zgodnie z zachowanym nawykiem bywania w cukierniach i kawiarniach, znów chodzili tłumnie na pół czarnej i likier do tych ogromnych, halowych pomieszczeń. Socjalistyczna architektura chorowała na gigantomanię, i owe przybytki miały dworcowy charakter. Młode po

POWIDOKI 2 123

kolenie też zaczęło nawiedzać kawiarnie na MDM-ie i mimo dogmatycznie obowiązujących kanonów socjalki w kawiarni „Pod Kurantem” wcale nie śpiewano pieśni masowych w rodzaju „Jak murarz szorstką ręką...”, tylko utalentowany pianista Lech Terpiłowski raczył słuchaczy muzyką synkopową, czyli zakazanym jazzem. W „Niespodziance” było podobnie i drugi równie utalentowany muzyk, Robert Filiński, (połamany życiorys — za wrogie klasowo postępowanie odbywał karnie służbę wojskową w kopalni) demonstrował swą pianistyczną maestrię. Natomiast kawiarnię „Stylową” upodobali sobie jako miejsce spotkań młodzi poeci. Zbierali się w zacisznym kącie na piętrze i czytali sobie wiersze. Bywał tu Roman Śliwonik, Marek Zakrzewski, Wojciech Albiński, student politechniki, którego bardziej pociągała literatura niż wzory matematyczne i wykresy trygonometryczne. Pewnie przychodził do tego poetyckiego kółka na pięterku Andrzej Dołęgowski, późniejszy tłumacz Manna i odkrywca rzeczywistego Tadzia, pięknego chłopca ze Śmierci w Wenecji. Tak samo Jurek Falkowski, entuzjasta literatury i teatru. Na pewno pojawił się tam Leszek Szymański, osobnik o cechach przywódcy, pełen energii i pomysłów. Wkrótce w mieszkaniu jego ciotki na Ludnej wyłoniła się z kawiarnianego gremium redakcja literackiego tygodnika młodych Współczesność, jedynego pisma w PRL, które powstało niezależnie od władz, niejako prywatnie. W latach późniejszych Współczesność egzystowała pod skrzydłami Stowarzyszenia „PAX”, a na koniec została państwowym organem młodych literatów. Do „Stylowej” na piętro przybywało coraz więcej adeptów poezji i zafascynowanych jej słuchaniem ładnych dziewczyn. W pewien sposób to zjawisko stanowiło zapowiedź październikowego poluzowania

w spoistości socjalistycznego państwa. I można zakończyć tak: Młody, czarnowłosy chłopak wyciąga z kieszeni zwiniętą kartkę i zaczyna czytać swój poemat. Zapamiętałem kilka słów: „Cały jestem wytapetowany od wewnątrz tkliwością”. Skończył i zaraz podrywa się chudy zapalczywy młodzian z rozwichrzoną czupryną. Przystępuje do krytycznej oceny utworu. Ten pierwszy to Marek Zakrzewski. Drugi to Jurek Falkowski. Obaj już dawno nie żyją.

41. JONTEK

Oczywiście to nie dotyczy słynnej arii Jontka. Chodzi o równie znany, choć na mniejszą skalę bar „Pod Jontkiem” na Wiejskiej. Miał dobrą renomę i był nawiedzany przez całą trunkową Warszawę. Ciemnawe wnętrze z niezbędnym szynkwasem i innymi knajpianymi akcesoriami. Oryginalną ozdobę stanowił kiczowaty obraz na ścianie, przedstawiający ośnieżone wierzchołki Tatr. Na ladzie wystawiano półmiski z „podręczną” zakąską do kielicha. Największym powodzeniem cieszył się barszcz z pasztecikiem i jajka faszerowane. Chlup, chlup w głupi dziób z setkowego lub półsetkowego szkła i stuk, stuk pojadało się smacznym farszem ze skorupki. Ale co tu rozwodzić się o smakach, kulinariach, całym tym filisterskim napychaniu kałduna. Niezapomniana knajpa na Wiejskiej kojarzy się przede wszystkim z wyobraźnią, sztuką, wyżynami ludzkiego ducha. Znajdowała się przecież naprzeciw wydawnictwa „Czytelnik”, redakcji Nowej Kultury i miesięcznika Twórczość. W czasach uniesień 1956 roku, po tej samej stronie co „Jontek”, w równie starej kamienicy miała swą siedzibę redakcja Po prostu, bojowego tygodnika młodych odnowicieli. Tutaj młodzieńcy z tamtych lat, zarażeni bakcylem pisania i ogarnięci pasją tworzenia światów na papierze, przybywali jak do Mekki. Nieśli zwinięte w rulon lub ukryte za pazuchą maszynopisy

126 , Marek Nowakowski

pierwszych utworów i z bijącym sercem wkraczali do świątyń literatury. Prozaicy dawali swe teksty do oceny Wilhelmowi Machowi i Julianowi Stryj ko wsiemu. Poeci zaś poddawali się werdyktowi Artura Międzyrzeckiego, Zbigniewa Bieńkowskiego i Jana Śpiewaka. Nieraz przed oddaniem płodów swego ducha tym

|wszechpotężnym magom krzepili się dla kurażu w barze „Jontek”. Wystarczyło rzucić okiem i od razu można było wyłonić pośród zwyczajnej ciżby pijących młodego człowieka pochylonego nad kielichem lub zapatrzonemu przed siebie nieobecny wzrokiem. A już do oferty imperatywu kategorycznego należała konieczność wypicia po usłyszeniu decyzji pozytywnej. Podobało się im! Nie odrzucili! Będą drukować! Chcą więcej! Wtedy bar „Pod Jontkiem” kipiał radością i alkohol dodawał skrzydeł szczęśliwym debiutantom. Ilu z nich zachodziło tutaj, przemierzając szlak ulicy Wiejskiej, wyznaczony milowymi etapami: drukiem w Nowej Kulturze, najwyższą nobilitację w Twórczości i wreszcie podpisaniem umowy na wydanie książki w „Czytelniku”. Cudowny ceremoniał otrzymywania wierszówki, zaliczki. Pani w kasowym okienku sprawdza personalia w dowodzie, podsuwa listę do podpisania. Oto przybywa nowy żołnierz do tej wielotysięcznej armii czerniącej (według terminu Jerzego Sempowskiego) papier. Czym prędzej do „Jontka”! W tym sławetnym szynku siadywał Marek Hłasko, gwiazda pierwszej wielkości na bezgwiezdny wtedy niebie literatury po socrealizmie. Zachodził Sta- I nislaw Grochowiak ze swoimi wielbicielkami i wielbicielami. Andrzej Brycht, zdobywca konkwistador, rozprawiał z pasją o sławie, którą zdobędzie jak ladacznice. Ireneusz Iredyński z diabolicznym wdziękiem kreował swe gry i zabawy, gęsto zamawiając wódkę. Janek Himilbach też wysiadywał swoje ileś tam godzin przez ileś tam lat w gościnnym wnętrzu „Jontka” i wy- I starczy tylko skupić się przez chwilę, żeby usłyszeć jego charakterystyczny, ochrypły sznapsbaryton. Należałoby jeszcze wspomnieć wielu innych, anonimowych, przegranych. Piszący te słowa również miał przyjemność biesiadować „Pod Jontkiem”. Ale to już historia. Od lat lokal nazywa się „Frascati” i jest zupełnie niepodobny do tamtego szynku. Boazeria, lampki na stolikach, zasłony w oknach, kameralny nastrój, cisza. I nie zachodzą już tutaj młodzi zdobywcy literatury.

42. MUZY

Artyści nie mogą istnieć bez wielbicielek. Muzy są jak woda, powietrze. Dają natchnienie, sycać próżność, uskrzydlać nawet mierne płody ducha. Młodzi perypataetycy, poeci, malarze, prozaicy, którzy wędrowali w latach pięćdziesiątych szlakiem Krakowskiego Przedmieścia do Związku Literatów czy w stronę Wiejskiej, zabiegali w pierwszym rzędzie o towarzystwo urodziwych dziewcząt. Mieli rozmaite przynęty. Po pierwsze głośno reklamowali swą nowatorską pozycję w sztuce. Po drugie zaś starali się wykazać oryginalnością za wszelką cenę, zabłysnąć czymś skandalicznym, co mogło spodobać się dziewczynom i zwrócić ich uwagę na „gniewnego artystę”. Mogły to być efektowne bijatyki. Gustował w nich Andrzej Brycht. Niestety, zbyt często ofiarami jego fizycznej przewagi padali osobnicy cherlawi, nie- wyrosnięci. W cenie były dekadencje pijatyki, pełne błazenady, ale i wściekłej furii. W owych burdach doszukiwano się głębszych egzystencjalnych znaczeń. Artysta z okrutną dociekliwością sonduje zakamarki ludzkiej duszy. W tym celował Ireneusz Iredyński. Zdarzały się czary mary ekspresyjnych recytacji własnych wierszy; w tej umiejętności ważny był dźwięczny, bogaty w odcienie głos. Dziewczyny z uwielbieniem słuchały słów poety. Stanisław Grochowiak stał się nie kwestionowanym mistrzem słowa mówionego. Niezapomnianą jego muzą była młodzianka, zgrabna jak wschodni posążek, opalona na czekoladowo dziewczyna. Pędziła nieraz Nowym Światem rozglądając się rozpaczliwie i wszystkich napotkanych po drodze znajomych zapytywała: „Nie widziałeś Grochowiaka?” Ogrom dramatyzmu w jej głosie, tęsknoty za zagubionym poetą!

Muzami bywały również starsze, macierzyńskie kobiety. Redaktorki w wydawnictwach i redakcjach tygodników kulturalnych. Wyrozumiałe i czułe, hołubiły młodych twórców i cierpliwie znosiły ich błazeńskie popisy. Największym wzięciem wśród czułych dam cieszył się Marek Hłasko. Należy jeszcze zaznaczyć, że niekiedy jedna muza musiała wystarczyć. Mogło być ich stadko, traktowane przemiennie w zależności od nastroju i potrzeb. Oddane chudym literatom muzy!

Służyły często swą sakiewką, były szczodre i niejedna taka istota opłacała w knajpie libację. Janek Himilbach urzędując w Harendzie, nie narzekał na brak troskliwej opieki ze strony zapatrzonych w niego i zasłużonych studentek. Raczył je swoimi opowieściami z Mińska Mazowieckiego i okolic, a one zajmowały się wymianą jego kieliszków z pustych na pełne.

Bywały jeszcze muzy destrukcyjne, które swą zmiennością i kaprysmi doprowadzały artystów do białego szaleństwa. Ruda Kaja, uroda i łodygowatość kształtów jak u Modiglianego, odznaczała się szczególną niestałością uczuć. Zwodziła kilku artystów, zmieniając ich jak rękawiczki. Popadali w depresję, bili się między sobą jak jelenie na rykowisku, pragnąc zdobyć wyłączność w posiadaniu. W opozycji do Rudej istniał gatunek dziewczyn męczennic, które adorowały swych wybrańców z imponującą stałością według cnotliwej dewizy: Na dobre i na złe! Stałość nie była jednak w cenie i te cierpliwe po prostu nudziły. Wspaniałe to były czasy. Królewski szlak Krakowskiego Przedmieścia

k

pełen pięknych dziewczyn. Wieczory autorskie, i tam też muzy. Redakcje i urocze sekretarki i kasjerki, podające się tak łatwo urokom młodego, zbuntowanego artysty.

Niestety, zmieniła się moda i ludzie sztuki nie są już w cenie. Teraz piękne dziewczyny tylko dla miliarderów; nie widać ich wcale na ulicach miasta. Zabiegany tłum nie jest dla nich stosownym tłem. Na świat patrzą z okien mercedesów swych wybrańców, właściciele fortun i pałaców. Szkoda!

43. ZŁOTO WÓJTA TABACZKA

Wystawił na swoją chwałę pałac z dwiema wieżyczkami. Brama z żelaza, dwa wykute z kamienia lwy pilnowały wejścia, a fronton pałacu ozdabiała jaskrawa mozaika z kolorowych szkiełek i kafelków, przedstawiająca wschód słońca i grzejącego się w jego ciepłe brodatego Cygana. Był to osobisty portret wójta Tabaczka i artyści, którzy stworzyli owo dzieło, nie mogli się nachwalić hojności wójta.

Kochał przepych i bogactwo, a najbardziej złoto. Dźwigał na sobie tyle łańcuszków, bransolet i sygnetów! A przy spiczastych, kowbojskich butach miał złote ostrogi. Każda ważyła ćwierć kilograma; razem pół kilo dzwoniło mu przy butach. Jeździł czerwonym mercedesem. Potem błękitnym. „Krew i niebo”, mówił. „Moje kolory”.

W jego posiadłości latem często biesiadowali Cyganie. Siedzieli pod parasolami. Stoły były tak zastawione, że ludzie na drodze przystawali i wybałuszali oczy. Cyganie, starzy i młodzi, popijali z kryształowych pucharów, brali w palce grube kotlety ociekające tłuszczem i zjadali odrzucając resztki za siebie dla psów. Cyganki w kolorowych spódnicach usługiwały biesiadnikom, czuwając, by jadła i napitku im nie zabrakło.

Napiwszy się tego i wypełniwszy brzuchy, rozkładali karty i zaczynała się gra. Bywało, że dzień, noc i jeszcze

dzień ciągnęło się granie. Gorączka ogarniała karciarzy Hi zalewał ich taki pot, że koszule można było wyżymać. W puli piętrzyły się stopy zielonych dolarów, a jak tych zbrakło, gracze wyciągali z woreczków złoto, szlachetne kamienie i sypali je na stół garściami.

Krażyła wśród ubogich sąsiadów wójta Tabaczka opowieść o wielkiej licytacji. Przyjechali wtedy do niego bogaci Cyganie z Gorzowa, jeszcze bogatsi z Niemiec i najbogatszy aż z Hiszpanii. Przechwalali się swoimi majątkami, a wójt Tabaczek tylko słuchał w milczeniu i coraz mocniej szarpał brodę.

Przebrała się miara jego cierpliwości i skinął na swą grubą żonę, która paliła krótką fajeczkę. Żona skinęła na hożą córkę, którą mieli wydać za bogatego Cygana z Hiszpanii. Pobiegly kobiety wójta do piwnicy i niebawem wróciły dzwigając czarne, okopcone sagany, które były zawinięte w szmaty. Wysypały ich zawartość na stół. Zabłysło złoto. Zalśniły szlachetne kamienie. Wójt Tabaczek znów skinął na swoje kobiety. Obracały kilka razy.

Przelicytował gospodarz swoich gości. To był Cygan. Najbogatszy może od Uralu do samych Pirenejów. Szanowali go wszyscy. Nawet miejscowi rabusie i złodzieje kłaniali mu się nisko. Handlarze zapraszali go do swych bud i częstowali gorzałką, przymilając się w nadziei na dobry interes. Źródło jego fortuny? Cygańska tajemnica.

Wójt Tabaczek posługiwał się dziwną mową, stanowiącą zlepek słów cygańskich, polskich, niemieckich i ruskich.

— Da, da! Zrobim geszeft, towariszcz, bitte! — często tak zaczynał.

Biblijna wieża Babel mówiła jego głosem i z każdym dogadywał się bez trudności. Granice nie były dla niego zaporą i czy to komunizm, czy kapitalizm własną do wszystkiego przykładał miarę. Milicja, a później policja jednakowo wobec niego były bezsilna. Czarna broda srebrzyła mu się nitkami siwizny, czarne oczy skrzyły się jak szlachetne kamienie i brzęczało ozdobne złoto. Cygański książę!

Prowadziła go szczęśliwa gwiazda przez tyle lat i tylko nieubłagane prawa natury mogły mieć nad nim władzę. Toteż pewnego ranka kiedy wyprowadzał z garażu swą piękną limuzynę, naraz twarz jego wykrzywiło śmiertelne przerażenie i padł jak rażony gromem.

Pogrzeb miał imponujący. Za karawanem sunęła kawalkada samochodów najlepszych marek. Stos wieńców zakrył trumnę. Płacz i lament był ogromny. Stypa nad grobem przeciągnęła się do nocy i cały czas grała orkiestra cygańska. Synowie wystawili mu pomnik z różowego marmuru, a na nim złotem wybito napisy. Niech ma przy sobie to, co najbardziej kochał.

Dalsze dzieje pałacu i jego bogactwa pouczają nas

0 nietrwałości dóbr doczesnych. Synowie świętej pamięci wójta grali w karty tak zaciekle i bez powodzenia, że wnet przegrali wszystkie sagany z kamykami

1 złotem. Na ostatek zaś pałac ojcowski poszedł pod młotek.

Owo imponujące domostwo nabył bogacz z bazaru, paser najlepszy wśród najlepszych. Lecz i jego Bóg szybko zabrał do siebie. Zdążył jedynie usunąć z frontu pałacu mozaikę z wizerunkiem brodatego Cygana. Nie zdążył jednak synom wyznać swego sekretu. Otóż złoto, owoc zapobiegliwego żywota od okupacji poczynając do czasów najnowszych, zamurował w ścianach nabytej budowli. Jego synowie ani myśleli ojcowiznę pomnażać, tylko hulali bez opamiętania i dom ojcowski sprzedali nic o złocie ukrytym w jego murach nie wiedząc.

Nowi właściciele przypadkiem odkryli w ścianie wychodka słoik pełen złota. I tak dotąd tu i tam pukają.

Co raz sezam się otwiera i słoiczek sobie wyciągają. Uśmiechnęła się do nich fortuna, kapryśna dama? Synom zmarłego pasera płacz i zgrzytanie zębów pozostało. „Tatuś z torbami nas puścił!” — zawodzą i tak się z udreki rozpili, że nie daj Boże!

Tak samo zlorzeczą na swój niefort do karcianej gry synowie świętej pamięci wójta Tabaczka.

Jednak ciągle mają nadzieję, że gwiazda pomyślności jeszcze im zabłyśnie. Na razie stara matka i młode żonki wróżbą się zajmują, a dzieciaki żebrzą na targowych placach.

Czy to przekleństwo jakieś w złości zaklęte? Może zemsta z za grobu starego Cygana? Ludzie mniejszego ducha widzą w tym zemstę pieniądza, który rządzi się swymi prawami. Pieniądz nie znosi statyki. Bogactwo dwóch krezusów zostało zamrożone. Dusiło się i gniło. Aż poszło w świat. A może to wszystko marność nad marnościami?

44. CZERWONY PUŁK WARSZAWY

Kupił w przecenie Historię ruchu robotniczego w Polsce. Gruba księga. Zawsze interesowały go jacejki komunistyczne. Jego ojciec pracował przed wojną w defensywie i po wyjściu z ludowego więzienia nieraz mu opowiadał

O agentach Kominternu. Buszowali po Polsce i defensywa ich wyłapywała.

Wertował z kolegą to grube tomisko. Nazwiska

I pseudonimy działaczy, bojowników. Robili rewolucję, szli na Pałac Zimowy, strzelali z krążownika Aurora. Byli u bolszewików komisarzami, naczelnikami czeki i innych groźnych organów. Dużo tych polskich komunistów. Na ogół poszli pod „stienku” w latach trzydziestych, jako trockiści, nacjonaliści, agenci imperializmu. Stalin ich wykończył.

— Jednego to znam osobiście! — powiedział jego przyjaciel. — Przeżył i jest moim sąsiadem.

Z nudów poszli do tego weterana. Mieszkał piętro niżej. Otworzył im drzwi dziadek na podkurczonych nogach. Ale oczy miał jeszcze dosyć bystre.

— Tak się cieszę! — mamrotał kłapiąc sztuczną szczęką. — Siedzi człowiek jak kołek i do nikogo ani otworzyć ust.

Zaprosił do stołu, chciał częstować herbatą.

— Jak to było z tym komunizmem? — zadał jeden I nich fundamentalne pytanie.

Staruszek rozgadał się ochoczo. Walczył w szeregach bojowników rewolucji. Wtedy polscy komuniści sformowali Czerwony Pułk Warszawy. On jako dziesięciolatek ze starszym bratem mieszkał w Pitrze. Brat już był świadomym proletariuszem. Czytał bibułę, biegał po zebraniach. Poszedł za bratem. Został najmłodszym żołnierzem w pułku. Zupełnie jak mały dobosz w Sercu Amicisa. Walczyli z kontrą. Z Denikinem i inną białą swoloczą. Pomaszerował w szeregach czerwonego pułku na Polskę. Pod Radzyminem brał udział w pamiętnej bitwie o Warszawę. Brat padł od jaśniepańskiej kuli. On miał szczęście, i przeżył.

Patrzyli na niego jak na żywą historię. Uchował się sukinkot! Co dalej powie? Zasypywali go pytaniami. Lenina jak przez mgłę pamiętał. Taki łysy, z ryżą bródką. Brat na mityngi biegał i jego za sobą ciągnął. Dzierżyński, owszem, wielki człowiek. Bali się go wszyscy.

Właściwie służba dziadka dla rewolucyjnej idei zaczęła się przypadkiem. Brat go wciągnął w te czerwone żołdacy. A jak Czerwona Armia z Polski uciekała, to on został. Był sierotą, gdzie miał wracać. Pełno wtedy ludzi ze wschodu uciekało. Zaplątał się pośród uciekinierów i został. W Polsce sanacyjnej nie chwalił się swoją przeszłością. Nawet żonie słowa nie powiedział. Żadnej wywrotowej roboty się nie imał, broń Boże! Wyuczył się krawiectwa i nieźle mu się żyło. Dopiero po wojnie wyciągnął swoją kartę z rękawa. Tak powiedział. Został zasłużonym bojownikiem ruchu rewolucyjnego. Nie może narzekać. Docenili jego zasługi. Przez pewien czas był dyrektorem dużego zakładu przemysłowego. Co prawda niedługo dyrektorował. Nie na jego głowę taka odpowiedzialność. Sam im to szczerze powiedział. Zatrudnili go w kadrach. Ta robota mu odpowiadała. Potem otrzymał rentę dla zasłużonych. Medali, orderów ma pełne pudełeczko.

— Całe życie służyłem sprawie. — Pociągnął płaczliwie nosem. — A na starość tylko cierpienia i ponizienia mi pozostały.

Skończył się PRL i zaczął kapitalizm. Stary człowiek odczuł ten kataklizm boleśnie. Nie ma już rocznicowych pochodów, uroczystych akademii. Zawsze siedział na trybunie honorowej, dostawał koperty z nagrodami pieniężnymi. Skończyło się wszystko bezpowrotnie. Ale nie to najważniejsze. Zły los dopadł go osobiście.

Trzy lata temu, powodowany litością, przyjął na sublokatorkę młodą kobietę. Nie miała dachu nad głową. Przybyła z prowincji i tułała się po dworcach. Mieszkanie dziadek ma trzypokojowe, jest wdowcem. Wynajął pokój tej młodej, zagubionej dziewczynie. Na- chwalić się jej nie mógł. Śniadanie mu do łóżka przynosiła. „Słodki dziaduniu” — tak go nazywała.

Nago chodziła po mieszkaniu. Wcale jej do tego nie namawiał. Ale wodził za nią oczyma. Chciał na stare lata zaznać trochę ciepła, serdeczności. Zameldował ją z litości. Miała być dla niego pociechą. Tak mu przyrzekała. Ale wkrótce po zameldowaniu wszystko się zmieniło. Z dnia na dzień stała się oschłą, nieprzystępna. Ani jej dotknąć, szczytnąć. Nic! „Precz z łapami!” — krzyczała. Potem chłopca sobie sprowadziła.

— Byka takiego! — ściszył głos. — Mogą podsłuchiwać.

Z tym chłopcem już zaszła w ciążę. Rozpanoszyli się w mieszkaniu. Dziadek siedzi w swoim pokoju i obawia się pójść do kuchni.

— Żeby to było dawniej! — pociągnął płaczliwie nosem, a gdy to bym poszedł na dzielnicę i od razu zrobiliby z nimi porządek. Panowie! Może macie chody w te- lewizji? Jakiś kawałek zrobić o mojej krzywdzie...

45. KOŚCIÓŁ NA WZGÓRZU

W pejzażu wielkomiejskim robi wrażenie niezwykle. Wokół bloki wieżowce, najeżone antenami telewizyjnymi. Nie opodal kilkupasnowa arteria komunikacyjna, pędzą nieustającym ciągiem samochody. Zimny, zunifikowany obraz miasta. I nagle enklawa tak odmienna, zaskakująca! Łagodna wyniosłość kępy drzew, wiejskie obejścia: parterowe domki, szopy. Odsłania się kościół św. Katarzyny na wzgórzu. Stary, piękny kościół, dzwonnica, dworkowe zabudowania plebanii. W słońcu pięknieje to wszystko. Żółte mury, strzeliste wieże i otoczenie polno-łąkowe. Stoki wzniesienia, zarośnięty trzcina staw, potok służewski; z tyłu za kościołem na grzbiecie tego samego pagórka niewielki cmentarz, ludzaco przypominający wiejskie cmentarne uroczyska gdzieś u podnóża Gorców czy w Beskidzie Niskim.

Rzeczywiście niegdyś była tu wieś Służew, a parafia z kościołem św. Katarzyny obejmowała jeszcze wieś Wolice. Teraz obszary te wchłonęła miejska metropolia i tylko resztki pól uprawnych i nieliczne gospodarskie obejścia przypominają o dawnym charakterze całej okolicy.

Historia kościoła jest imponująca i ciągnie się od kilkuset lat. Jego dzieje obfitują w czasy świetności, kiedy to donatorami byli hrabiowie Potoccy, Branicki,

POWIDOKI 2 139

i wtedy parafia rozkwitała. Jak to w naszej historii nieraz bywało, kościół został spalony podczas jakiejś wojny, lecz dźwignął się z ruin.

Kościół i budynki plebanii swą malowniczą urodą i rustykalnym otoczeniem sprawiają wrażenie idyllicznego spokoju, cieszą oczy zmęczone wielkomiejskim chaosem. Zabytkowe zabudowania na wzniesieniu ozdabiają dzisiaj Warszawę, miasto wyrosłe na nowo po wojnie, rozciągające się rozległymi przestrzeniami blokowisk i wciąż wchłaniające okoliczne pola, łąki.

W pobliżu kościelnego muru widać ogromne kamienie z porozrywanymi kratami — posępną kompozycję upamiętniającą męczenników terroru komunistycznego w latach 1944-56. Pełno tu kwiatów, bukietów, wieńców, świeczek. Ludzie pamiętają.

Poznałem proboszcza parafii św. Katarzyny, księdza Józefa Maja. Krępy, niewysoki mężczyzna o siwych włosach. Skromny, cichy. Mówi rzeczowym, świeckim językiem. Oczy ma skupione, silne. Być może siłą czerpie z miejsca, w którym się znalazł jako duszpasterz?

Tutaj bowiem od 1945 roku odbywały się pochówki więźniów politycznych, mordowanych w więzieniach i aresztach bezpieki, informacji wojskowej w Warszawie. Nocami jednokonną furką przywożono zwłoki w papierowych workach lub skrzyniach. Kopano doły, wrzucano w nie trupy, polewano wapnem i zasypywano. Pełno na cmentarzu i w jego sąsiedztwie takich bezimiennych mogił. Księża sprawujący tu obowiązki proboszczów w czasach powojennych miewali różne przykre doświadczenia z urzędem bezpieczeństwa i zarządem więzienia na Rakowieckiej. Zmuszano ich do udostępnienia na te ponure nocne praktyki ziemi cmentarnej.

Ksiądz Józef Maj chodząc w 1986 roku po kołędzie, dowiedział się od jednego z parafian, że od jego sąsiada,

Józefa Bokusa, bezpieka zabrała siłą kawałek pola ornego i łąki i przyłączyła do cmentarza. Powstała tak „parcela” do grzebania zamordowanych akowców, winowców, eneszetowców i innych z patriotycznego podziemia. Do współpracy był przymuszany grabarz Lesiak, który z polecenia bezpieki po roku, dwóch „zagospodarowywał” te miejsca następnymi, już oficjalnymi pochówkami. Tak działo się latami. Według relacji jednego z parafian ostatni tajny pochówek odbył się tu późną jesienią 1956 roku. Inni tutejsi mieszkańcy informowali księdza Maja, że w wielu miejscach poza cmentarzem na stoku wzniesienia (być może na łące, pobliskim polu) odbywały się także tajemne grzebania pomordowanych więźniów politycznych. Ziemia okoliczna musi kryć jeszcze wiele podobnych tajemnic.

W 1989 roku odbył się symboliczny pogrzeb prochów ofiar komunistycznego terroru, a później sesja naukowa poświęcona martyrologii narodu polskiego. Działa już kilka lat komitet, którego celem stało się nie tylko uczczenie ofiar, ale również utrwalenie i odtworzenie w pamięci narodowej tego, co się działo. Owocem jego działalności jest pomnik oraz książka *Nasze Termopile*, opracowana przez Zbigniewa Taranienkę. Tytuł zaczerpnięty z wiersza nieznanego więźnia Mokotowa, który pisał o tym złowrogim, jednokonnym wózku, wywożącym pomordowanych więźniów z Mokotowa na Służew.

Plebania stała się ośrodkiem gromadzenia dokumentacji o zbrodniach tamtych lat. Docierają przekazy byłych więźniów o egzekucjach i pochówkach przy murze więzienia na Pradze, czy też na terenie zdewastowanego cmentarza żydowskiego na Bródnie. Jeszcze gdzie indziej. Wszędzie tam, gdzie były kazamaty bezpieki, areszty.

Z okien plebanii widok na stok wzgórza, świerki. Myślę o potrzebie pamięci, której wytrwałym rzecznikiem został ksiądz Maj.

— My tu, panie, żyjemy na kościach — rzekł stary gospodarz, który wyprzęgał konie z wozu w swoim obejściu z drugiej strony cmentarza.

Natomiast ksiądz Józef Maj, wskazawszy na ruchliwą, tłoczną od samochodów aleję Gen. Sikorskiego, powiedział:

— Tam na tych osiedlach po drugiej stronie zdarzają się kradzieże, napady, bestialstwa. A tutaj u nas spokojnie, bezpiecznie. Tak jakby ta arteria komunikacyjna pełniła rolę granicznej rzeki. — Uśmiechnął się. — Tam za rzeką inaczej.

—

46. POCHWAŁA MAGAZYNIERÓW

W PRL magazynier to był ktoś. Wiadomo, kierownik towarowej całości. Miał pod sobą dobra materialne. Oczywiście jest, że to było nie jego, lecz nasze, państwowe, więc obarczony był odpowiedzialnością za wspólne dobro. Sprawdzany przez rozmaite kontrole, ubezwłasnowolniony skomplikowanym systemem procedury, kwitów, faktur, sprawozdań. Ale jak gość był z głową, to dawał sobie radę i wychodził na swoje. Ponadto wszystko bywało często fasadą i przy osobistym sprycie można było pbejść zakazy i nakazy. Dać żyć sobie i innym, patrzeć przez palce na machinacje dostawców, konwojentów, pójść na rękę odbiorcom. Tak samo postępować z kontrolerami, inspektorami. Każdy przecież miał swoje potrzeby i potraktowany należycie, stawał się mniej wścibski i bardziej ludzki.

A jeszcze prawo ubytków, stłuczek, braków, bubli. To przecież pozwalało na uzyskiwanie prywatnych nadwyżek. Była to dosyć skomplikowana sztuka, wymagająca nie lada ostrożności i doświadczenia, żeby nie wpaść na minę. Bo „mina” oznaczała koniec dobrej egzystencji, zwolnienie z funkcji, wilczy bilet w branży. Żeby tylko! Można jeszcze było pójść siedzieć.

Piszący to rzewne wspomnienie miał szczęście i zaszczyt poznać dwóch twórców z magazynowej sfery. Jeden działał w resorcie żywnościowo-trunkowym, drugi zaś w meblowym. Oba resorty spełniały nieocenioną funkcję społeczną. Pierwszy z magazynierów był szczodrym szafarzem trunków i dobrego jadła dla przyjaciół. Drugi umeblował wielu bliższych i dalszych znajomych, a kto pamięta, jakim problemem było zdobycie w tamtych czasach odpowiedniej wersalki, szafy, nie mówiąc już o meblościankach, ten wie doskonale, co znaczyła jego przyjaźń. Meble, będące koniecznym elementem szczęścia rodzinnego, powodowały nieraz formowanie się nocą długich kolejek do magazynów towarowych, i długi ciąg nieruchomych postaci był stałym widokiem w mieście. Pamiętamy także tę frajdę, kiedy na stole imieninowym czy urodzinowym pojawiały się kraby-chatka, kabanosy, tuńczyk Saira i ociekające tłuszczem, złociste wędzone węgorze, a do tych przednich zakąsek pijało się Moskiewską i koniak Ararat. Magazynier gastronomiczny potrafił być dobrym wujkiem z Ameryki i biesiadnicy choć na chwilę zapominali o niewygodach życia codziennego. Nie będę się zbyt długo rozwodził o osobistych korzyściach, które czerpali z tytułu swych funkcji wpływowi magazynierzy. Tworzyli sprawną sieć połączeń: ten tamtemu to, owo I odwrotnie. Struktura naczyń połączonych funkcjonowała sprawnie. Również znaczącym osobistościom życia publicznego (sekretarzom, komendantom) świadczyli rozmaite usługi, zyskując ich wzajemność, która mogła się objawić talonem na samochód, okazijną sprzedażą działki rekreacyjnej. To były czasy! Magazynierzy zachowujący umiar i rozwagę mogli śmiało powiedzieć: Na miarę możliwości osiągnęliśmy najwyższy pułap.

Tak trwało do upadku gospodarki scentralizowanej. Rozleciały się zjednoczenia i centrale, plajtowały lub dzieliły się na prywatne spółki.

Dzisiaj moi wspaniali magazynierzy mogą tylko wspominać dawną świetność. Teraz prowadząc hurtownię, skład celny, magazyn jakiejś firmy należy mieć zupełnie inną inwencję i kwalifikacje. Wieloletni weterani magazynów PRL nie nadają się do tych obowiązków. Najlepsze swe lata bowiem oddali w służbie jakże odmiennej operatywności. Patrzą na nowe życie handlowe, wzdychają i przeważnie wspominają. Pocięgą dla jednego z nich stała się uroczystość znanego klubu sportowego, gdzie sławni niegdyś sportowcy podziękowali mu spontanicznie za to, że wspaniałomyślnie pomógł im w umeblowaniu ich M-2, M-3, M-4.

Pamiętali — powiada. — Jednak pamiętali!

47. NIEZAPOMNIANY „SZANGHAJ”

Był to „Szanghaj” lat siedemdziesiątych. Świetności jego szczyt. Jedyna chińska restauracja w mieście była wtedy lokalem, w którym tętniło bujne, pełne rozmachu i fantazji życie. Na piętrze w dyskretnym świetle lampionów, między parawanikami na bambusowych prętach, ozdobionymi rysunkami pagód, kulisów i pól ryżowych panował tłok i przy stołach zastawionych chińskimi potrawami, butelkami z naszą czystą wyborową i specjałem z Państwa Środka — ryżową wódką maotaj — przeważało męskie, hałaśliwe towarzystwo. Biesiadnicy byli młodymi mężczyznami, którzy ubierali się z nieco przesadną elegancją; zwracała uwagę ich duża skłonność do złotych ozdób w postaci sygnetów, wisiorów, bransolet, łańcuchów. Kelnerzy traktowali ich z nadzwyczajną, jak na PRL, starannością i czuwaliby dyskretnie w pobliżu biesiadnych stołów, gotowi spełniać wszelkie zachcianki hojnych gości. Osobnicy ci między toastami i konsumpcją przeliczali coś na bibułkowych serwetkach, mnożyli i dzielili, dodawali i odejmowali. W wyniku tych działań arytmetycznych na stole pojawiały się pliki zielonych banknotów, które sprawdzano nader sprawnie, śliniąc wskazujący palec dla lepszej kontroli jakości „zieleniny”, jak nazywano potocznie dolary. Pod wieczór zaś oddawano się brdziej przyjemnościom niż interesom. Wówczas pojawiały się efek

towne, ładne dziewczyny i one ozdabiały męskie towarzystwo. Zabawa przedłużała się nieraz i chociaż „Szanghaj” był formalnie czynny do północy, wobec tych szczególnych gości stosowano taryfę ulgową. Byli oni bowiem wybrańcami fortuny i całe miasto śledziło z podziwem „most powietrzny” między Warszawą a Budapesztem. W owym czasie istniała znaczna różnica w zakupie dolara na czarnym rynku w Polsce i na Węgrzech. Węgry miały tańszego dolara i prosty, a zarazem zyskowny pomysł polegał na masowym skupie dolców u naszych przyjaciół Węgrów i przywozie ich do Polski. Most powietrzny działał wahadłowo i całe rzesze kurierów poruszały się za pomocą aeroplanów między pięknym miastem czardasza i zupy rybnej nad Dunajem i Warszawą. Różnica w cenie dolarów tam i tu przynosiła krociowe zyski i szefowie tego sprawnie zorganizowanego interesu stali się w krótkim czasie krezusami. W Budapeszcie przebywali miesiącami ludzie z Warszawy, nawiązując odpowiednie stosunki i zajmując się masowym skupem forintów, za które nabywano dolary, i nawet tak trudny przecież język węgierski siłą rzeczy stawał się dla nich coraz bliższy i mogli się nim bardzo swobodnie porozumiewać.

Szczególnie dźwięczne słowo *rendorszag* (oznacza — milicję) było im bardzo bliskie jako sygnał ostrzegawczy. Chociaż w węgierskich organach ścigania też mieli swoich ludzi; mocno już wtedy korumpował się aparat władzy w KDL-ach.

Warszawski „Szanghaj” stanowił miejsce spotkań pracowitej rzeszy kurierów i szefów. Interesom przewodzili trzej mężczyźni w sile wieku, doświadczeni w trudnym życiu pod niebem socjalizmu, zahartowani miesiącami i latami odsiadek w turmach, kiedy to żelazną regułą gry było grobowe milczenie w śledztwie i odpor-

147
ność na rozmaite presje przesłuchujących oficerów milicji i bezpieczeństwa.

Właściwie to przyjemnie było patrzeć na to rozbawione towarzystwo, które rządziło się swoimi własnymi prawami i potrafiło tak skutecznie rozsadzać dogmatyczne okowy ekonomii socjalizmu. Idylla trwała bez mała rok, aż nastąpiła duża wsypa w wyniku połączonych działań służb operacyjnych dwóch bratnich demokracji ludowych. Wpadło kilkunastu kurierów. Trzem bosom udało się zbiec do Wiednia, gdzie od czasów c.k. monarchii Polacy również czują się niezłe. „Szanghaj” istnieje nadal, lecz nie zaglądają już do niego tacy goście, jacy bywali podczas trwania niezapomnianego mostu powietrznego między Budapesztem i Warszawą*

48. PRZEMIANA

Opowiadał Stefan o Kubusiu Stopkarzu. Był ten Kubuś legendarną osobistością lat pięćdziesiątych. W światku kryminalistów cieszył się wielką estymą. Chodził na „stopę”, czyli ze spluwą. Brał utarg ze sklepów i komisów. Wsławił się udanym rabunkiem dużej sumy pieniędzy przewożonych z banku do fabryki. Na kolejnym skoku powinęła mu się noga i dostał tęgą pajdę. Siedział osiem godów od dzwonka do dzwonka. W pudle pozostał hardy i niezłomny. Uczył moresu frajerów i nie poddawał się klawiszom i naczelnictwu. Opowieści o jego wyczynach rozpowszechniano szeroko i cały światek włamywaczy, stopkarzy i innych fachmanów krzepił swego ducha przewagami Kubusia Stopkarza: jego głodówkami, połykami, ucieczkami z kamieniołomów, bezwzględny rozprawianiem się z kapusiami. Tak walcząc jak drapieżnik coraz ciaśniej osaczany przez nagonkę i myśliwych, dożył pięćdziesiątki; w życiu kryminalisty jest to wiek co najmniej podeszły.

Zapewne wtedy doszedł do smutnego, lecz logicznego wniosku, że jego siły fizyczne i duchowe wyczerpały się znacznie.

— Zabastował! — powiedział Stefan. — Z dnia na dzień zabastował.

Początkowo zatrudnił się jako nocny stróż u sklepikarzy na Targowej. Wiedzieli prywaciarze, że kto jak kto, ale Stopkarz będzie miał najlepsze oko na włamywaczy czy wydrowych urków, którzy rozbijają wystawy i zabierają towar. Z obowiązków swoich wywiązywał się sumiennie, a przeganiani złodzieje wcale nie mieli do niego żalu. Ot, naszarpał się w życiu niemało, zmienił zajęcie i musi wykonywać to, co do niego należy. Samego Kubusia gryzło trochę sumienie i czasem przy kielichu narzekał na dwuznaczny charakter swojej roli.

Toteż kiedy trafiła mu się posada ciecica w kamienicy przy Grodzieńskiej, z ulgą porzucił nocne stróżowanie. Nareszcie znalazł odpowiednie dla siebie zajęcie. Stał się naprawdę wspaniałym gospodarzem domu, jak to się mówi obecnie, żeby nie hańbić człowieka epitetami w rodzaju cieć czy strupel. Dbał o dom i podwórze jak najprawdziwszy kamienicznik. Klatki schodowe zawsze czyste, podwórze wysypane żwirem, figurka Matki Boskiej odmalowana, zrobił też dwa kwiatowe klomby, a pod ścianą od słonecznej strony postawił ławeczki. A że przy tym wszystkim był jeszcze złotą rączką, to lokatorzy nie musieli z powodu byle awarii lecieć do ADM-u po fachowców. Kubuś potrafił zreperować uszkodzony kran, wymienić uszczelki, przepchać rurę kanalizacyjną czy zająć się elektrycznością. Nieczęsto w niedzielne popołudnia odwiedzali go starzy kumple i wtedy zaczynały się wspominki o dawnych, heroicznym czasach. Tak żył Kubuś Stopkarz na emeryturze, otoczony powszechnym szacunkiem i sympatią mieszkańców kamienicy. Kilka lat temu odszedł do wieczności i poszli wszyscy w kondukcie pogrzebowym za jego trumną na cmentarz bródnowski. Mogiłę pokryli bogactwem kwiecia i szarf.

Czas jest listopadowy, zaduszny, i poczułem się w obowiązku o tym napisać.

49. KOŚCIANE DZIADY

Najwięcej ich spaceruje w tej części parku od strony Gagarina. Rozpoznać ich łatwo. Choćby po stroju. Zachowali dawne sorty do służby przypisane. Zielone albo stalowe spodnie, ortalionowe kurtki w tych samych kolorach, podbite misiem czy innym sztucznym futrem. Kamasze także z sortów. Mocno wiekowi. Przeszli na zasłużony

ODPOCZYNEK ZA GOMUŁKI, GIERKA.

Kroczą drobno na sztywnych nogach, stopy z trudem odrywają od ziemi. Trochę skrzypią, trzeszczą. Ale spacerują uparcie. Mają rację. Powietrze, ruch to zdrowie. Chodzą po dwóch, trzech. Dawne koleżeństwo z pracy. Sąsiedzi. Zawsze pojawiają się od strony Gagarina. To ich dzielnica.

W latach pięćdziesiątych, kiedy pobudowano tam koszarowe bloki, mieszkania otrzymali w pierwszej kolejności funkcjonariusze resortu bezpieczeństwa, służby więziennej, milicji i cywilni aktywiści z zakładów przemysłowych. Chadzali dziarsko w mundurowych uniformach i cywilnych strojach do swoich zajęć. Byli świadomi odpowiedzialnych zadań, które im powierzono i zawsze wypełniali je gorliwie. Z czasem odchodzili na zasłużoną emeryturę. Krok im spowalniał, plecy się garbiły, oczy szarzały i gasły. Siadywali na ławkach w parku, wystawiali twarze do słońca i szeleszcząc Trybuną Ludu, leniwie komentowali różne wydarzenia w naszym świecie,

KTÓREGO BYLI BUDOWNICZYMI.

Wstrząsy, które rozpoczęły się w 1980 roku, zaskoczyły ich niebywale i przygnębiły. Podczas ławkowych dyskusji opowiadali się za przywróceniem dawnego porządku. Stan wojenny poprawił ich samopoczucie. Oczy im rozbłysły i próbowali wrócić do sprężystego wojskowego kroku z dawnych lat. W tych blokach przy Gagarina z obywatelskim oddaniem tropili podejrzaną młodzież, która na powielaczach odbijała kontrewolucyjną bibułę, i każdy nie znany szmer, stuk czy zgrzyt budził ich czujność. Przygaśli znacznie po 1989 roku. Głowy pospuszczali i w milczeniu snuli się po parku. Czasem siadali w kilku na ławce i poszeptywali, rozglądając się nieufnie dokoła. Konspiratorzy.

Teraz podnieśli głowy i mówią głośno. Dziś po raz pierwszy od kilku dni wyjrzało słońce i od rana dziadkowie PRL ruszyli na spacer do parku. Zasiadli na ławkach i debatowali. Analizowali stan rzeczy z ostatnich czterech lat. Inflacja, wzrost cen, spadek zarobków. Wzrastające rzesze bezrobotnych. Plajta wielu zakładów przemysłowych. Fale strajków i demonstracji. Przypomnieli, jak to kiedyś górnicy walczyli o wolne soboty, teraz zaś protestują przeciw zamykaniu kopalń i wywalaniu na bruk. Chichotali złośliwie. Wracali do wspomnień z przeszłości. Wtedy był spokój i ład. Każdy miał zagwarantowaną pracę, wczasy, ubezpieczalnię. Ludzie spokojnie

PATRZYLI W PRZYSZŁOŚĆ.

W głosach dziadków pobrzmiwała nostalgia za czasem minionym i nadzieja, że nie wszystko jeszcze

stracone ostatecznie. Jeden z nich próbował problem ująć globalnie. Posłużył się przykładem Rumunii. Jego zdaniem tam też ludzie dobrze sobie żyli pod ojcowską opieką prezydenta Ceausescu.

—A natomiast teraz — powiedział inny — ruina jeszcze gorsza niż u nas. — To cygaństwo rumuńskie zalało całą Polskę! A kiedyś nie było tutaj ani jednego rumuńskiego Cygana.

Rozmowie dziadków przysłuchiwał się młodzieniec, który siedział na sąsiedniej ławce. Zrazu uśmiechał się pobłaźliwie. Następnie grymas zniecierpliwienia pojawił się na jego twarzy. Aż młodzieniec wybuchnął.

— Milczeć! — zawołał. — Głowa może pęknąć od tych bzdur!

Starcy popatrzyli na niego z ciekawością.

— Taki młody i taki nerwowy — powiedział szyderczo któryś z nich.

— Leczyć się trzeba, a nie krzyczeć — dodał inny.

Młodzieniec zerwał się z ławki i puścił pędem parkową alejką.

50. FIGLE LOSU

Nie widziałem go rok bez mała. Ucieszyliśmy się ze spotkania. Stara przyjaźń nie rdzewieje. J. jest człowiekiem powściągliwym i mało mównym. Niewiele go już zdumiewa i wytrąca z równowagi. Życie miał burzliwe i obfitowało ono w rozmaite, często przykre doświadczenia. To, co mi opowiedział, wytrąciło go mocno z równowagi. Właściwie nadal nie może sobie tego uporządkować.

Otóż w 1972 roku podjął pracę jako inżynier, specjalista naftowego wiertnictwa w Ministerstwie Górnictwa i Energetyki. Poszukiwał jakiegoś lokum do wynajęcia. Pewna życzliwa mu pani zwróciła się do swoich znajomych, którzy polecili go jako godnego zaufania sublokatora do państwa H., zajmujących duże, przestronne mieszkanie przy ulicy Marszałkowskiej w pobliżu placu Unii. Państwo H. wynajęli mu za umiarkowaną opłatą najmniejszy pokój w swoim trzypokojowym mieszkaniu. Warunki mu odpowiadały, szczególnie bliskość ministerstwa; zgodził się także na prośbę pani H., dotyczącą palenia papierosów. Gospodyni miała astmę uczuleniową i bardzo szkodził jej dym. J. przyrzekł stosować się do jej życzenia i nie zapalił ani jednego papierosa w mieszkaniu państwa H.

Jako człowiek delikatny i odpowiedzialny starał się jak najmniej zakłócać im swoją obecnością spokojny,

Marek Nowakowski

uregulowany rytm życia domowego. Państwo H. byli już na emeryturze i większość czasu spędzali w mieszkaniu. J. zanotował ten fakt z pewnym zdziwieniem, oboje bowiem byli jeszcze w sile wieku. Ale przecież różne mogły być powody ich przejścia na emeryturę, a krzepki i zdrowy wygląd pana H. o niczym nie świadczył. Zresztą mało J. się nimi interesował. W tym czasie po pracy intensywnie uczył się angielskiego, licząc, że wreszcie dadzą mu paszport i dzięki swoim zawodowym kwalifikacjom zdobędzie upragnione zatrudnienie za granicą.

Spotykał się z panem H. w korytarzu, kiedy szedł do łazienki czy do wc, wymieniali ukłony, kilka zdawkowych słów. Z przyjemnością odnotował pewną życzliwość gospodarzy, którzy czasem częstowali go herbatą* dopytywali się, czy dobrze mu się mieszka itp. Byli delikatni, taktowni i J., mieszkaniec wielu sublokatorskich pokoiów, uznał warunki swojej egzystencji za nader udane. Nawet on, człowiek zamknięty z natury, chętnie wdawał się z państwem H. w rozmowy i zwierzał się ze swojej ambicji doskonalenia języka angielskiego oraz planów zdobycia pracy za granicą, gdzieś w kopalni czy na platformie wiertniczej. Pani H. wspominała o swoich serdecznych znajomych, którzy mieszkają w Szwecji i mogą pomóc J. w znalezieniu pracy. Pan H. z uznaniem traktował męskie, twarde dążenia J. do osiągnięcia wytyczonego celu.

Natomiast J. nigdy się nie dowiedział, czym trudnił się pan H. przed emeryturą. Zapamiętał tylko, że mieli syna, do którego często dzwonili lub wybierali się w odwiedziny i że pan H. z dumą dziadka mówił mu o bardzo udanym wnuczku.

Pobyt J. w gościnnym domu państwa H. trwał dziewięć miesięcy i wreszcie po latach starań J. otrzymał upragnioną kawalerkę przy ulicy Górnośląskiej. Odbiła się pożegnalna herbatka z domowym ciastem. J. dostał od państwa H. w prezencie na nowe mieszkanie solidną, dębową szafę, która bardzo mu się przydała.

W późniejszych latach sporadycznie spotykał pana H. na ulicy i w barach mlecznych. Ten nadal trzymał się krzepko i zdrowo. Chętnie mówił o wnuczku. Pewnego razu zakomunikował J. o śmierci żony i swoich staraniach o zmianę mieszkania na mniejsze. Pragnął zamieszkać bliżej syna.

Pół roku temu J. włączył telewizor i akurat natrafił na sprawozdanie z sali sądowej. Odbiwał się proces Adama Humera i innych funkcjonariuszy bezpieki. J. natychmiast rozpoznał swego gospodarza z mieszkania przy Marszałkowskiej. Zeznawali więźniowie z Rakowieckiej i Koszykowej. Wyliczali repertuar tortur, którym byli poddawani. Wskazywali na kierowniczą rolę Adama Humera, zastępcy dyrektora departamentu śledczego MBP i jego aktywny udział w śledztwie.

J. poczuł się dziwnie jakoś. Niezwykle plastycznie zaczął sobie wyobrażać oprawców i ich ofiary. Przecież w 1952 roku jako siedemnastoletni chłopak wraz z dwoma kolegami próbował uciec za granicę. Chcieli przejść przez NRD i dostać się na Zachód. Złapali ich i J. przesiedział trzy lata. Najpierw przeszedł ciężkie śledztwo w wojewódzkim urzędzie bezpieczeństwa w Szczecinie, potem siedział w więzieniu w Goleniowie, wreszcie pracował w kamieniołomach w Piechcinie. Dotąd przechowuje stary, pożółkły dokument — zwolnienie z ośrodka pracy więźniów z wypisanym zawodem skalnika. J. zaczął śledzić skrupulatnie w prasie i telewizji wiadomości o procesie Humera i jego podwładnych. Obejrzał również film dokumentalny o zbrojnym podziemiu patriotycznym na Lubelszczyźnie z czasu okupacji i pierwszych lat powojennych i dowiedział się,

że Adam Humer był wtedy szefem bezpieki w Tomaszowie, a piwnice jego urzędu nazywano Czarcią Jamą.

Pani, która protegowała J. jako sublokatora do mieszkania państwa H., przeprosiła go teraz. Powiedziała, że absolutnie nie wiedziała, kim był pan H. w bezpiece.

J. jej nie uwierzył.

— Taka sama paka — stwierdził. — Do emerytury pracowała w kancelarii Rady Państwa. A co przedtem? A ja przez 22 lata miałem w domu szafę Humera.

Dopiero niedawno kupił sobie nową szafę, trzy- drzwiami z lustrem. Starą wystawił na korytarz i następnego dnia już jej nie było. Pewno służy dalej komuś innemu. Solidna robota, dąb.

Pogoda ducha i spokój sumienia Adama Humera w tamtych latach, kiedy J. mieszkał u niego jako sublokator, zastanawiają go najbardziej.

— Myślałem — mówi — że nic mnie już nie zaskoczy.

51. ZNAJOMY Z „BRISTOLU”

Po wywózkach na „białe niedźwiedzie” pozostała pamięć, ale już nie wywozili. Po torturach w piwnicach bezpieki też mamy żywe ślady — ofiary z tamtych lat. Choćby ten ze sztucznym uzębieniem, wybili mu doszczętnie w powiatowym urzędzie. Drugi to człapak, suwa stopami nie mogąc oderwać ich od ziemi. Trzymali go tygodniami w karczerze zalanym lodowatą wodą. Ale nie słyszało się już o takich przypadkach. Nie stosowali tamtych metod. No, może trochę stosowali, w znacznie ograniczonym zakresie. I sporadycznie. Komunizm złagodniał i spowszedniał. Był jak zatruta woda, zanieczyszczone powietrze. Wokół nas i w nas. Ale tajniacy, cały ten system czujności, szantaży, donosów, konfidentów — działał sprawnie. Tajniacy byli wszędzie. Tajniacy i ich informatorzy. Nawet po barach wysiadywali i słuchali. Szczególnie w modnych restauracjach hotelowych. Pewien osobnik przychodził od lat do „Bristolu”. Elegancki, dowcipny gość w średnim wieku. v

W latach siedemdziesiątych już oswoiliśmy się z tajnymi służbami. Wiedzieliśmy, że w biurze, redakcji, fabryce, stowarzyszeniu, hotelu musi być podsłuchiwacz, donosiciel, oko i ucho. Taki kraj, taki obyczaj. Niektórzy z tych aktywistów przysięgali, że pracują w tym fachu nieszkodliwie, powiedzmy, na zwolnionych obro

tach. Coś meldują, kleją jakieś raporty, ale nie robią krzywdy nikomu. Tak mówili. Ale czy można im wierzyć? Inni znów byli po dawnemu zawzięci, prawdziwe psy gończe. Taka ich natura, może byli szantażowani, może mocodawcy mieli na nich jakiegoś haka. Taką posiadliśmy robaczywą wiedzę o ludziach. Powiedzmy: o sobie samych, przecież spośród nas wywodzili się ci wszyscy donosiciele, tajni funkcjonariusze.

Facet, który bywał w „Bristolu”, nie ukrywał swojej profesji. Sugerował, że w barze bywa jedynie dla odpoczynku. Przyzwyczailiśmy się do niego i tak przychodząc latami, traktowaliśmy go jak kogoś z naszego grona. Czasem stukaliśmy się z nim szkłem, wymienialiśmy żartobliwe poglądy o życiu i kobietach. Właściwie nie zastanawialiśmy się wcale, czy bywa tu służbowo czy prywatnie. Czasem przychodzili do niego jacyś ludzie, rozmawiał z nimi na uboczu. Czasem był do niego telefon. Barmanka, atrakcyjna pani w czynnym wieku, nie pozbawiona poczucia humoru, podawała mu słuchawkę mówiąc: „Telefon do ciebie z centrali”.

Uśmiechaliśmy się powściągliwie.

Czasem zniknął. Nie było go przez kilka dni. Wracał. A raz piłem z nim do białego rana. Zebrało mu się wtedy na zwierzenia i nie wiadomo, czy mówił prawdę, czy kłamał. Ale mówił bardzo dużo. Do tej specjalnej służby został zwerbowany jeszcze podczas studiów. Wypatrzili go. Odpowiadał wymogom. Daleki był od wszelkiej ideowości, lecz miał głębokie przekonanie, że nie istnieją żadne szanse na prawdziwe zmiany w tej części Europy. W tym porządku żyć będą jeszcze następne pokolenia i nie zamierzał według romantycznych polskich wzorców porywać się z motyką na słońce. Służba, którą mu proponowano, wydawała się atrakcyjna zarówno od strony emocji zawodowych, jak i warunków materialnych. Dawała ponadto przyjemne poczucie, że w pewien sposób jest się najważniejszą władzą. Dyskretną i potężną. Tak się zaczęło, i nie odczuwał żadnych rozterek moralnych. Już przecież nic nie kojarzyło się z krwawą przeszłością „organów” i spać można było spokojnie.

„Nie ja wsadzałem delikwentom jaja do szuflady i odbijałem im nery!” — tak to wyraził dosadnie.

Problem jednak trochę musiał go uwierać, skoro tak powiedział.

Awansował płynnie i miał przed sobą interesujące widoki. Może nawet pracę na zagranicznej placówce.

Następnie zaczął mówić o tajnych współpracownikach, informatorach. Wtedy zabrzmiały w jego głosie tony pogardy. Jakże przyjemne pobudki są motorem ich działań! Jak łatwo i bez szczególnych nacisków ludzie podejmują z nim współpracę! Utrzymanie pozycji zawodowej, pragnienie awansów, swoboda wyjazdów za granicę, protekcja w uzyskaniu atrakcyjnego stanowiska, często osobiste animozje, chęć wykończenia konkurenta czy najdzwyczajniej pokusa gratyfikacji pieniężnej.

Jak łatwo ci ludzie znoszą owo brzemie, nie czując żadnej udręki, wyrzutów sumienia. Z podniesionym czołem idą przez życie i sekretny nurt wcale im nie przeszkadza. W swoim środowisku częstokroć mają opinię niezłomnych, nieskazitelných. Mówiąc śmiało się pogardliwie. Nisko cenił swoich informatorów.

„I co ty na to, stary?” — kwitował każdą kwestię z satysfakcją.

Podawał w ten sposób argumenty na swoje usprawiedliwienie. Oni i on. Jednak różnica. Było to tak przygnębiająco sugestywne i gdy w pewnym momencie ktoś mu się uklonił, pomyślałem od razu, że to na pewno informator.

Zapamiętałem pouczającą noc zwierzeń i już nigdy więcej na ten temat nie rozmawialiśmy.

Po 1990 roku przestał pracować w specjalnych służbach. Został biznesmenem. Widziałem go przypadkiem, kiedy wchodził do orientalnej restauracji na MDM-ie; w dłoni miał telefon komórkowy. Pomachał mi życzliwie ręką.

— Dalej sobie piszesz — ni to zapytał, ni to stwierdził z pewną pobłażliwością w głosie.

52. KRAWIEC BUKOWSKI

Coraz rzadziej szyją sobie panowie garnitury na miarę. Znikła finezyjna umiejętność ręcznego krojenia i szycia popelinowych koszul. Był czarodziej tej specjalności, pan Balary. Bodajże Leopold Tyrmand pisał, jakie to cuda wyczyniał mistrz Balary z jego starą postrzępioną koszulą, przywracając jej dawną świetność i czyniąc z kołnierzyka ostatni krzyk mody. A krawców, speców od garniturów z kamgarnu, tenisa, flaneli już coraz mniej. Trzymają się jeszcze z rozpędu dwaj panowie Zarembowie. Tu i ówdzie widać witrynę rękodzielnika.

Powszechnie jednak panuje fabryczna gotowizna. Dlatego warto wspomnieć o jednym z dawnych fachmanów, krawcu Bitkowskim. Był to rodowity i zasiedziały warszawiak, pracownię miał gdzieś na Złotej czy Chmielnej w pobliżu Żelaznej. Zamówień otrzymywał bez liku; jego ręka i oko były nieomyłne. Brał tylko jedną miarę i niepotrzebne były żadne poprawki. Nigdy też podczas przymiarki nie padały te żenujące pytania w rodzaju: Ptaka pan trzymasz w lewej czy prawej nogawce? Właściwie mógł bez miary określić wszystkie niezbędne dane: długość, szerokość, obwód i tak dalej. Był nieomylny.

— Artysta — mówili o nim. — W oczach ma zainstalowane krawieckie radary.

162 Marek Nowakowski

A stalowali u niego garnitury przedstawiciele najwyższego high-life'u. Dygnitarze, birbanci, prywaciarze, ludzie sztuki. Toteż Tyrmand poświęcił mu kilka czułych stron.

Krawiec Bitkowski jak na artystę przystało, był naturą pełną zadumy i kapryśną. Nie szło mu wcale o pieniądze. Nie dbał o nie i osobnikom prymitywnym, rozdętym od pychy, mamony i władzy nieraz odmówił.

„Nie mam czasu”, odpowiadał krótko i szorstko, Ani gorące prośby, ani kuszenie ekstra zapłatą już nie zmusiły go do zmiany decyzji. Natomiast przyjaciółom od serca z okupacji i czasów jeszcze przedwojennych potrafił sprawić tak piękny garnitur, który leżał jak ulał i nigdzie się nie ciągnął i nie marszczył. Wykonany w szybkim tempie i często prawie bezinteresownie. Mój przyjaciel Zygmunt Krzywy w miesiącach „suchych” (kiedy to nie przyjmował ani kropli alkoholu) paradował w ciemnym, dostojnym garniturze z kamgaru ręki mistrza Bitkowskiego. Tak samo warszawski bard, Lolek Antoniewicz czy Rysiek Mrozek, księżę niezłomny hulaszczęj nocy. Bywał krawiec Bitkowski w tych wszystkich miejscach, gdzie schodziła się stara Warszawa. W „Polonii”, „Kopciuszku”, „Canaletto”, „Huraganie”. W tych małych szynkach portowej Marszałkowskiej. „Pod bombą”, „Pod setką”, „Pod dwójką”. Też na Zieleniaku, bazarach. Bo i jego w codziennej pracowitej egzystencji chwytąła znienacka chandra, zaduma nad sensem ludzkich wysiłków, i szedł wtedy na kielicha według poetyckiej dewizy: „Kiedy się serce rozetka, to wtedy warto zajrzeć do szkiełka”. Miał swoje długie ciągi, stawiał hojnie gorzałkę potrzebującym i ubogim. Przetaczał się jak orkan przez nocne knajpy. Wyszumiawszy się do zupełnego wyczerpania organizmu i pustej kieszeni, powracał do pracowni i niezmiennie jego garnitury cieszyły się najwyższym uznaniem. Nieraz przy stukocie pedałowej maszyny do szycia i szczęku nożyc gromadzili się wokół niego przyjaciele i snuli barwne opowieści z dziejów przedwojennej, wojennej i powojennej Warszawy. Byli strażnikami pamięci, a krawiec Bitkowski niewątpliwym prezesem tego zacnego klubu weteranów.

Należy więc czasem wypić kielicha za jego zdrowie i życzyć mu wiecznego życia. Niech dalej przewleka nic przez igielne ucho i szyje, szyje...

53. JADZIA NIEPOKONANA

Kobieta i trzech mężczyzn. Jeden z nich mały chudziak z kaleką, przykurczoną nogą. Taka ruchliwa grupa. Mieli trzy wózki wypełnione różnorakim owocem, warzywami. Latami widziało się ich na Marszałkowskiej. Ileż to razy musieli zwiewać na widok milicjantów. Zaprzęgali się niby konie do swoich wózków i znikali gdzieś w bramach, podwórzach, zaułkach. Mocno ganiłi już wtedy handel wózkarski. Nawet te kobiety, co siedząc na murkach sprzedawały pumeks, bagno na mole i sznurowadła, też były obiektem polowań. Ale najgorzej mieli wózkarze. Wózek, wiadomo, ruchomy sklepik. Często rozstawiali cały ten handelek na pastwę losu i sami dawali dyla. Nie było innej szansy. Błyskawiczny rachunek zysków i strat. Zabiorą towar, ale wyjdiesz cały z ich łap, nie zapłacisz grzywny, nie będzie kolegium, i można zaczynać od nowa. Ta kobieta i trzech mężczyzn tworzyli zespół idealny. Kulawy chłopak stał na kapie i ostrzegał. Dwaj mężczyźni w razie czego chwytały za dyszle wózków i gnali. Jasnowłosa kobieta o ładnej, pogodnej twarzy sprzedawała owoce i rzucała czujne, sondujące spojrzenia; omiatała nimi kupujących. Trzeba było mieć oko. Dręczyciele występowali często w roli klientów i naraz wyciągali legitymacje, przeistaczając się w inspektorów, milicjantów.

Tak owa kobieta i trzech mężczyzn walczyli latami. Aż musieli się poddać. Wózki uspołeczniono. Dostały się we władanie WSS. Jadzia, bo takie miała imię ta wytrwała kupcowa, została pracownicą uspołecznionego handlu wózkarskiego, kazonny fartuch z numerem i nazwiskiem w tym miejscu, gdzie wydatne piersi podnosiły znacznie materię fartucha i zielone wózki zostały opatrzone blachą z numerem rejestracyjnym i nazwą firmy. Ale dalej ta zgrana grupa trzymała się razem. Trzej mężczyźni i kobieta. Ona była przewodniczką stada. Musiała dawać sobie radę w znacznie trudniejszych warunkach, bardziej zakamuflowanych. Ileż to razy dzielnicowy wybierał najdorodniejsze owoce, kalafiory, pomidory i inne ziemiopłody, wręczał banknot, a bystra Jadzia wydając mu resztę w drobnych papierkach, zwracała z powrotem wartość otrzymanego banknotu. Często z nawiązką. Trzeba było umieć żyć i dawać żyć innym. Oto pozornie prosta dewiza, której należyte opanowanie nie było wcale takie proste. Wiedzieć komu dać, żeby nie wpaść na minę, ile i w jaki sposób. Wiele pułapek, przemyślnych sposobów. Jadzia wszystkie rafy omijała, kierując się swym nieomylnym instynktem nawigacyjnym. Żeglowała wiele lat i szczęśliwie (nie siedziała na Gęsiówce, nie odebrali jej oszczędności) doczekała się upadku gospodarki, którą za gardło trzymała ta jedna jedyna państwowa łapa.

Teraz ma budę z ciuchami, pawilon, jak to się mówi elegancko, na Świętokrzyskiej przy Marszałkowskiej. Inny handel, inne życie. Twarz pogodna, żywe niebieskie oczy, które jak trzeba stają się twarde, stalowe. Czasem wspomina swój długi kupiecki staż w PRL. Rodowita warszawianka od trzech pokoleń z ulicy Wolność, później Miedzianej, po upadku powstania wyprowadzili ich do Pruszkowa. Młodszego brata wiozła na wózku, rannego. Rąbnął pocisk i podmuch odrzu-

166 Marek Nowakowski

cił go; miał zgruchotaną nogę. Niemcy wywieźli ich pod Tarnów. Stamtąd rodzina ruszyła w drogę powrotną, byle bliżej Warszawy. Dotarli do Włoch. Matka handlowała na tamtejszym targu i Jadzia jej pomagała. Od razu kiedy Ruscy weszli do Warszawy, wrócili do swojego miasta. Zajęli na Marszałkowskiej strych w kamienicy, która nie została zburzona. Zaczęli handlować i przez krótki czas stali na Kercelaku, gdzie matka handlowała przed wojną. Później Jadzia samodzielnie zajęła posterunek na Marszałkowskiej. Tu w gruzach rozkwitł handel i sprzedawało się papierosy Camele, czekoladę i inne atrakcyjne towary z UNRRY. Na początku był luz, pozwalali handlować. Wkrótce jednak zaczęły się obławy, polowania, komisje specjalne. Zlikwidowali „ręczniak” na Marszałkowskiej i Jadzia rozpoczęła handel wózkarski.

„Do tego...”, powiada, trzeba mieć serce i głowę. Po mamusi odziedzyczyłam te umiejętności. Przettrzymałam wszystko, dodaje nie bez satysfakcji”.

Buda z ciuchami prosperuje nieźle, syn pomaga jej w handlu i Jadzia ma cichą nadzieję, że wnuczek również będzie się tym zajmował. Marzy jej się oczywiście grubszy handel z rozmachem na większą skalę.

Choćby wielki sklep spożywczy, taki jak przed wojną mieli bracia Pakulscy, a po wojnie Tomczyk na Marszałkowskiej.

Daj Boże, żeby tak wnuczek...

54. ARCHIWUM AKT DAWNYCH

Czasem się z nim spotykam. Historyk, pracuje w archiwach. Chętnie opowiada o skarbach zawartych w starych, pożółkłych teczках. Jego opowieści o wytrawnych agentach z czasów rosyjskiego zaboru wciągają jak bezdenne bagnisko. Z niezwykłą wyrazistością rysuje ich sylwetki, metody działania. Najbardziej zadziwia skuteczny kamuflaż nikczemnej działalności. Potrafili tyle lat! Tak perfekcyjnie opanowali swą sztukę, tak umiejętnie prowadzili dwudzielne życie.- Często mieli reputację zacnych, szlachetnych ludzi. Ba! nawet gorących patriotów. Choćby Bałaszewicz, agent carskiej ochrony, działał w Londynie, Paryżu, wśród polskiej emigracji patriotycznej. Antykwariusz, podawał się za hrabiego z rodu Potockich. Niektórzy z agentów pracowali na tej niwie całe lata i doczekali się synów, wnuków. Szczególnie interesujące są dzieje Tobiasza Macrotta, z zawodu fryzjera, agenta rosyjskiego z czasu powstania kościuszkowskiego. Był szpiegiem i donosicielem wysokiego kunsztu, szefem tajnej policji ambasadora Igelstróma. Przekazał swą pałeczkę mistrza synowi Henrykowi. Henryk Macrott działał w okresie Królestwa Kongresowego do powstania listopadowego i raporty, które pisał, stanowią kopalnię wiedzy dla historyka dziejów ojczystych. Jego tatuś, Tobiasz, też jeszcze istniał w profesji i był podwładnym syna. Dla

rozdzielenia mówi się Macrott ojciec i Macrott syn. Byli Polakami pochodzenia brytyjskiego, chyba Szkoci. Jak to pisze Szymon Askenazy: „Henryk, student medycyny, z zawodu donosiciel, wielki mistrz szpiegostwa policyjnego”. Działał wśród młodzieży, ona przecież najbardziej buntowała się przeciw rosyjskiemu zaborcy. Umieścił go na studiach jego ojciec, Tobiasz, bo zdawał sobie sprawę, iż będzie to owocny debiut w zawodzie. Wtedy również silnym duchem patriotycznym były przepojone loże masonskie, a w lożach działał stary Macrott; miał wysoki stopień „Najdoskonalszego Kawalera Różanego Krzyża” i wyświęcał adeptów wolnomularstwa. Obaj trzymali ręce na pulsie niewralgicznych wydarzeń.

„Zabawne!” — chichotał mój historyk i przedstawiał tamte dzieje tak barwnie, jakby brał w nich osobisty udział.

Porzuciwszy losy Macrottów, zajął się osobą Jakuba Schleya, jednego z najwybitniejszych w tej branży. Syn warszawskiego stolarza, chodził do szkół pijarskich. Po wkroczeniu Francuzów do Warszawy w 1806 roku wstąpił do milicji warszawskiej w stopniu dziesiątnika, awansował na wicesetnika. Podczas wojny z Austrią w 1809 roku znalazł się w gwardii narodowej jako porucznik, wykorzystywany do niebezpiecznej misji rozpowszechniania w Galicji proklamacji patriotycznych. Później służył w ułanach pod komendą generała Zajęzka, jeszcze później wstąpił do gwardii francuskiej i odbył kampanię rosyjską 1812 roku. Ranny w odwrocie z Moskwy, został wzięty do niewoli rosyjskiej w Wilnie. Wtedy to nastąpiło w jego patriotycznym życiu przeistoczenie i wróciwszy po roku do Warszawy, zaczął nową pracę jako sekretarz tajnej policji rosyjskiej, w której szybko awansował, objął w niej zarząd i tak już działał nieprzerwanie w prowokacjach, infiltracjach, obławach, szantażach — aż do jego uwięzienia w czasie powstania listopadowego. „Człowiek śmiały, pierwotnie gorliwy sługa kraju, potem zaprzędany, dobitnym był przykładem rozkładowych skutków infiltracji policyjnej stosowanej w Królestwie”, zacytował mój historyk Askenazego. W czasie rewizji w mieszkaniu Schleya znaleziono 15 tys. raportów policyjnych, pisanych precyzyjną, świetną francuszczyzną, zebranych w starannie opracowane woluminy.

Ci mistrzowie policyjnej profesji ogarniali szerokie kręgi społeczeństwa. Mieli na usługach ludzi ze wszystkich warstw społecznych. W procesie Jakuba Schleya padały świetne, historyczne nazwiska. Wielu swoich donosicieli nie pamiętał.

„Tylu ich pukalo do moich drzwi”, tak powiedział. Zanurzałem się wraz ze swoim znajomym historykiem coraz głębiej w to bezdenne bagnisko. W królestwie Kongresowym system policyjny był wszechstronnie rozbudowany. Działało kilka tajnych policji: policja miejska Joela Birnbauma, który szczególnie okrutnie nękał swoich współwyznawców, Żydów; policja prezydenta miasta, Lubowidzkiego; tajna policja generała Roźnieckiego, weterana wojen napoleońskich, głównego inspektora kawalerii, który oddał swe talenty carowi i Nowosilcowowi — zorganizował gęstą sieć agenturalną w kręgach polskich patriotów. Na marginesie intensywnej działalności szpiclowsko-prowokacyjnej interesowało go więziennictwo i jest wynalazcą blaszanych koszulek (blend), zasłaniających okratowane okienka w więzieniach. I jeszcze tajne służby samego księcia Konstantego i jego zaufanego, generała Kuruty. A rywalizacja tych służb, walka o wpływy w Belwederze i Petersburgu. Były to macki ośmiornicy, wlażyły wszędzie, oplątywały ludzi, zmuszały ich do haniebnych usług lub wtrącały do tium. Tak mówił, mówił mój

170 Marek Nowakowski

archiwariusz. Tyle wiedział z lektur starych sprawozdań, raportów, informacji, donosów, anonimów. Z tych wszystkich papierów sprzed wieku.

Wysiadywał w ciemnych pomieszczeniach, gdzie panuje zapach butwienia, rozkładu, i poznawał granice ludzkiej przyzwoitości, miarę odporności na pokusy, śledził procesy nikczemnienia ludzi czystych, do pewnego momentu szlachetnych, którzy nieraz zaczynają się staczać na dno upadku. Mało co już go dziwiło. Chwilami patrzyłem na niego jak na sępa. Siedzi i czeka na padlinę. Zaraz zanurzy swój ostry dziób w cuchnące ścierwo. Nie było już żadnego dna ludzkiego upadku. Można coraz niżej i niżej. Otaczały nas duszące, truci- cielskie miazmaty i tylko było słycać spokojny, monotony głos historyka:

Na przykład teczka dziennikarza Miniszewskiego".

To była postać! Na służbie Rosjan i margrabiego Wielopolskiego. Gorący patriota w słowach. Dobre pióro. Prowokator, donosiciel, sowiecie opłacany. Przed wszystkim lubił mamonę. Sztyletnicy Rządu Narodowego wykonali na nim wyrok... Lecz nie należy sprawy sprowadzać jedynie do pieniędzy. Często w grę wchodzi demiurgiczna potrzeba kierowania sprężynami ludzkich poczynań. Szatańska rozkosz w upadlaniu i lepieniu ich według swoich pragnień. „Myślę...”, zastanawiał się mój historyk, „że motywacji było i jest tak wiele. I jeszcze umiejętność zarzucania sieci. Szantażem. Osaczeni dużo zrobią ze strachu. Wstyd istotny. Raz ogarnia ofiarę słabość i fachowiec już zakłada jej pętlę na szyję, leciutko zaciska, grozi ujawnieniem kompromitacją. Ofiara brnie coraz głębiej. Może być wyższe piętro: tylko tak należy ratować kraj, rodaków". Zaczął mówić o jakiejś zacnej, niezłomnej postaci, która w ostatecznej odsłonie okazała się zaprzędaną kreaturą. Zachichotał szczerzo jakoś. Biuro najmu służących!

To był pomysł. Służba domowa od razu stawała się agenturą. Donosiła na swoich chlebodawców. Jenerał Roźniecki również dla potrzeb erotycznych wybierał sobie z tych pomocy domowych młode dziewczyny...

Słuchałem coraz bardziej przytłoczony tą ohydą, mroczną wiedzą. Uchodziła wszelka wiara, nadzieja. Przeklęty archiwariusz!

55. ARCHIWUM AKT NOWYCH

Kapuś to ścierwo. Kojarzy się z marnością najmarniej- szą. Najchętniej widzi się szczurzą, odpychającą twarz, rozbiegane oczy i mokry, śliski uścisk wiecznie spoconej dłoni. Taki stereotyp daje pełnię satysfakcji. Lecz pełnia rzadko się zdarza. Opowiadał C., były milicjant, który służbę opuścił w randze majora, o pewnym przypadku nader interesującym dla badaczy problemów zdrady, donosicielstwa, agentury i kamuflażu.

Czasy były jeszcze peerelowskie, kiedy C. przeszedł na rentę. Mężczyzna był młody, energiczny. W tych organach wcześniej przechodziło się w stan spoczynku, toteż podjął pracę w biurze turystyki zagranicznej. Miał tam znajomych, kolegów rencistów z milicyjnego resortu i oni przyjęli go z otwartymi rękoma. Po kilku latach zaczął myśleć o własnym interesie. Wtedy już PRL zamienił się w III RP. W pasażu pawilonów handlowych znalazł podupadający sklep artykułów elektronicznych. Właściciel, człowiek stary i schorowany, za niewysoką cenę odstąpił mu lokal i był major zadebiutował w handlu.

Pasaż handlowy w centrum miasta stanowił doskonałe miejsce i miał widoki na znaczne powrozenie w przedsięwzięciu. C. ostano wił zająć się konfekcją damską i przystąpił do urządzania sklepu. Jednak od razu napotkał na poważne trudności. Społeczność handlowców w pasażu zbojkotowała nowego właściciela sklepu. Było to bardzo dokuczliwe. Kłopoty z dostawcami, sprawa podłączenia do wspólnej sieci wodociągowej, w ogóle odmowa jakiegokolwiek pomocy ze strony sąsiadów. Nawet wyraźne szykany. Ktoś mu zamazał szyld nad drzwiami. Wybili szybę wystawową. Obrażliwy napis na murze, sugerujący, że jako oficer milicji C. był zaprzańcem i pacholkiem Moskwy. Przez kilka tygodni znosił te dokuczliwości cierpliwie. Ale do czasu tylko. Postanowił rzecz całą rozstrzygnąć swoimi sposobami.

Spotkał się z dwoma najbardziej szanowanymi kupcami w pasażu. Były to tuzy w branży handlowej, najbardziej tutaj zasiedziali; przetrwali kilkadziesiąt lat PRL jako prywatna inicjatywa. Starszy z nich miał reputację nieprzejednanego patrioty, prawdziwego Polaka z krwi i kości. Zawsze wygarniał wprost, co myśli o komunie i dawał znaczne sumy na „Solidarność”. Teraz, w czasie renesansu kapitalizmu, jest prezesem kupców swojej gildii, wybrany do władz centralnych.

C. spotkał się z każdym osobno. Rozmowy były krótkie i rzeczowe. Znał doskonale ich teczki. Byli to informatorzy o wieloletnim stażu, mieli pseudonimy, swoich prowadzących oficerów i C. pracując w wydziale przestępczości gospodarczej komendy stołecznej, nieraz korzystał z ich cennych donosów. Prawdopodobnie jeden z nich pracował też dla pionu politycznego, czyli bezpieki.

Powiedział im o tym bez ogródek i dodał perfidnie, że choć obowiązuje go w tej materii zachowanie tajemnicy służbowej, to jednak potrafi informację o nich tak umiejętnie rozpowszechnić, że tracą swoją świetną reputację i znajdują się na samym dnie moralnego upadku. Słuchali w grobowym milczeniu. Nie odezwali się słowo.

Marek Nowakowski

wem. Starszy kupiec rozplakał się. Drugi próbował go całować po rękach.

— Dogadaliśmy się? — zapytał jednego, potem drugiego.

Pokiwali spiesznie głowami.

W jego sytuacji nastąpiła radykalna zmiana. Właściwie z dnia na dzień. Stały lody i został jednym z nich. Przyjęty z otwartymi rękami. Teraz jego współzycie ze społecznością kupców w pasażu rozwija się harmonijnie i bez zakłóceń. Odwiedzają się w domach, pamiętają o swoich urodzinach i imieninach. Były major milicji mówi o tym z pewnym wstrętem i rezygnacją.

— Gdybym nie wykonał tego ruchu, to zostałbym zrujnowany i wdeptany w ziemię jak robak.

56. GEŚIÓWKA

Władek Wampir czuł się lepiej na Geśiówce niż w domu. No, oczywiście nie bierzemy pod uwagę utraty wolności, tego skarbu najdroższego. Władek był starym wyrokowcem. W swoim przeszło pięćdziesięcioletnim życiu wnikliwie poznał więziennictwo przedwojenne, wojenne i czasu Polski powojennej. Ciało miał niby totem indiański, poznaczone mozaiką tatuaży. Jedne już wyblakłe, przypominające wczesną młodość, inne zupełnie świeże, nawet trafiały się kolorowe wykwitły tego rękodziela artystycznego, choćby efektowna „Tęsknota więźnia na plecach”. A ponieważ wyroków zaliczył kilkanaście, to jego tatuowany na przegubach dłoni kalendarz złodziejski ciasno był wypełniony datami odsiadek, a jego palce ozdabiane pierścionkami i sygnetami — kunsztownymi dziełami mistrzów dziergania trzema igłami maczanymi w tuszu sporządzonym z sadzy, kopiowego grafitu i wody.

Ksywę Wampir otrzymał z powodu groźnego wyglądu: potężny chłop o rudych, przetykanych siwizną włosach, czerwonej twarzy i podbiegłych krwią, zaciekłych oczach. Z zawodu klawisznik, czyli chodzi na włam. Niezawodny był również w pasówce, czyli posługiwaniu się wytrychami, którą opanował jak wirtuoz. W PRL zaczynały już upadać złodziejskie specjalności i Wampir siłą rzeczy miał się innych przedsięwzięć.

Mimo wieku i ciężkich odsiadek (bo izolatki w Strzelcach Opolskich, karcery Sztumu, Rawicza, Siedlec, Ławy czy kazamaty Wiśnicza nie były mu obce) trzymał się krzepko i zachował porywczy, władczy charakter. Jako rodowity warszawiak, urodzony na Dzikiej, każdą odsiadkę zaczynał od Gęsiówki i tak już weszło w zwyczaj, że ilekroć zawitał w gościnne progi tego więzienia na ulicy Anielewicza, dawniej Gęsiej, niejako z tytułu swego stażu i reputacji zostawał celowym na przejściówce. Złodziejskie gremium witało go z szacunkiem i niekłamaną sympatią. Szła za nim legenda prawdziwego urki, który znał dawnych kozaków, chadzał z nimi jako praktykant do miasta, a nade wszystko przestrzegał tradycyjnego kodeksu i honoru złodziejskiej gildii. Oczywiście był fakt, że inny kandydat na celowego nie wchodził w rachubę. Władze więzienne natomiast przedłużały jego pobyt na kwarantannie, zdając sobie doskonale sprawę, że kto jak kto, ale on, Wampir, najlepiej potrafi utrzymać porządek i wytresować do dalszego życia w rygorze odosobnienia tę kilkudziesięciosobową hałastę, która prosto z wolności waliła do pudła. Toteż Władek Wampir ledwie złożył swój depozyt w administracji i został wpisany do ewidencji, ruszając na oddział już szykował się do swojej odpowiedzialnej funkcji. Cella kwarantanny niegdyś przeznaczona dla dwudziestu najwyżej więźniów, bywała przeważnie zapchana ponad miarę przez tłumek czterdziestu do pięćdziesięciu ludzi.

Trzy poziomowe wyra ustawione pod ścianami sterczały dla ledwie połowy stanu. Resztę trzeba było ułożyć na „sianku”, to znaczy na betonie. Wieczorem rozkładano sienniki, wypchane siewką z mocno zużytej słomy, i nowicjusze plasowali się na boku, ciasno przylegając do siebie. Najgorsze miejsca znajdowały się przy kiblach. Ciągnął stamtąd przykry fetor. Należałoby ułożeniem więźniów do snu zajmował się z tytułu swej funkcji celowy. Zimą najlepsze wyrka znajdowały się przy ścianie od strony korytarza, tam bowiem umieszczone były piece. Latem natomiast największym powodzeniem cieszyły się ostatnie piętra przy okratowanych oknach, zwane Koreą od wojny koreańskiej. Stamtąd płynęło przecież świeże powietrze i rozpościerał się jako taki widok na niebo i gwiazdy. Celowy Wampir w sposób nieomylny i nie wzbudzający sprzeciwu rozdzielał najlepsze miejsca noclegowe arystokracji kryminalnej, takim osobistościom jak: Seta, Esy, Szramka, Szatan, braciom Kaszubiakom, Kataniakom. Brac złodziejska niższej kategorii również musiała spać na pryzkach, jednak mniej atrakcyjnie usytuowanych. Takie panowały żelazne prawa i obowiązywał trójpodział: najwyższa kategoria ferajny zwała się Londynem, niższa Paryżem (w odróżnieniu od świata wolnego, gdzie wśród Polaków Paryż cieszył się wtedy najwyższą estymą), a frajerstwo, chamy, słowem element przypadkowy, zwano pogardliwie gettem. Utrzymać uświęcone tradycją podziały we właściwych proporcjach i nie powodować w tym względzie konfliktów należało do podstawowych obowiązków celowego. Powinności swoje spełniał Władek Wampir znakomicie i od razu dobierał sobie sztab, złożony z doświadczonych, cieszących się szacunkiem urków. Sztab zajmował się organizacją drużyny przybocznej: młodych, krewkich kryminalistów, których zadaniem było utrzymywanie porządku w zapchanej ponad swą pojemność celi. Ta opryszczyna uzbrojona w pałki, zwane pieszczotliwie „lolami”, czuwała nad harmonijnym funkcjonowaniem całego organizmu celi: błyskawicznym zrywaniem się na poranny apel, wstawianiem z korytarza ubrań złożonych w „kostkę”, sprzątaniem celi, szybkim korzystaniem z kibla w czasie wyznaczonym do wyróżnienia itd. Niewątpli

wą atrakcją dla Wampira jako celowego był nieustający napływ ludzi z wolności.

Przybywali w cywilnych ubraniach, objuczeni wałówkami, którymi obdarzyli ich najbliżsi w tę smutną drogę. Ponieważ podstawową zasadą życia więziennego jest nierówność, przeto ludzie dostający się tutaj przypadkowo lub z artykułów Kodeksu Karnego innej niż kryminalna kwalifikacji, byli traktowani jako frajerzy (czytaj: pariasi) i zostawali pozbawieni większości praw, obarczeni za to ciężarem różnych dokuczliwych obowiązków. Rozpoznawanie frajera następowało na wycuciu lub za pomocą starego rytuału, polegającego na rzuceniu pod nogi przybysza czystego ręcznika. Jeżeli nie wytarł na nim swoich butów, zostawał zakwalifikowany jako frajer bez odwołania. We wspólnocie kryminalistów przechowały się ponadto relikty szlacheckiej Polski i wieśniak nazywany tutaj „chamem” był traktowany jak chłop pańszczyźniany w feudalizmie. Nierówność społeczna i ucisk wyrażały się nie tylko w spaniu na betonie. Wolnościowe wałowy pariasów podlegały natychmiastowej rekwizycji. Celowy Wampir i jego oprycznina otaczali przybyłego, obierając go starannie jak cebulę ze wszelkiego dobytku. Posuwano się nawet do ściągania lepszej garderoby: koszuli, swetra, butów i przydzielania w zamian znoszonych, wstrętnych łachów. Wałówki z żywnością i papierosy przejmował bezpośrednio celowy i umieszczał je w drewnianych szafkach, umocowanych na ścianie nad stołem pod pozorom najlepszego ich zabezpieczenia. Jednak frajer nie miał prawa sięgać sam do szafki, musiał każdorazowo prosić o zezwolenie i zależnie od swego kaprysu Wampir rzucał mu jakiś ochłap czy połówkę papierosa. Co bardziej przewidujący przybysze nie wszystko oddawali i przemyślnie ukrywali resztki swoich dóbr w siennikach i „samarach” (woreczkach z prześcieradeł), pilno

wanych nieustannie. Próby zachowania swej własności były kasowane przez kipisz. Pod nieobecność więźniów, udających się do łaźni lub na spacer, ludzie z chęcią przetrząsali dokładnie wszystkie schowki i na nic zdawały się najbardziej przemyślnie kryjówki. Na domiar krzywdy karcili jeszcze surowo tych nieszczęśników, którzy próbowali zachować swój stan posiadania. Do tego służyły drewniane pałki, osławione „lole” i nimi była wymierzana kara. Należy nadmienić, że załoga więzienna: klawisze, wychowawcy, inspekcyjni, nawet naczelnik i jego zastępcy cenili sobie solidne, niezawodne praktyki wychowawcze celowego Wampira i wiele jego działań odbywało się za ich milczącym przyzwoleniem. Tacy klawisze jak Pijaczek, Mordochłap, Talarko, Chiński Ptak albo Alfons często gwarzyli z nim jak równi z równym. Powiadano, że Alfons był przedwojennym złodziejem, który przeżył przełom i postanowił się zająć reedukacją kryminalistów. Został klawiszem. W każdym razie w rozmowach ze złodziejami posługiwał się kminą, narzeczem więziennie-złodziejskim i jak mało kto z zewnątrz znał obyczaje tego zamkniętego świata. Znał i respektował je. Pracowite były dni i noce celowego Wampira. Wbrew pozorom życie pod celą kipiało wielością różnorodnych interesów i namiętności. Zdarzały się sytuacje dramatyczne. Na przykład dokonywanie okrutnego samosądu nad kapusiem czy zmuszanie młodego, apetycznego cwela do usług seksualnych. Bywało też nierzadko, że połykacze łykali pałki od kubła, łyżki i widelce, a chlastacze kroili mojkami swe ciało i wypuszczali sobie bebechy, rozpoczynając w taki efektowny sposób walkę z naczalstwem. Celowy winien być obecny przy wszystkich takich wydarzeniach, czuwając iżby pewne granice nigdy nie zostały przekroczone. Ale czas wypełniały nie tylko obowiązki. Codziennosc urozmaicano rozrywkami, zabawami. Nie

raz zgoła ten czas pod całą mógł się wydawać beztrudnymi wakacjami. Wikt, opierunek darmowy, a do tego tyle jeszcze przyjemności. Nieraz celowy Wampir wyglądał jak prawdziwy elegant z wolności, przybrany w śnieżnobiały pulower norweski, popelinową koszulę w delikatne prążki, gabardinowe spodnie koloru kawowego i modne skoki na grubej słoninie. Była to garderoba rekwirowana rozmaitym złotnikom osadzonym tutaj za handel walutą i precjozami ze złota oraz przestępcom gospodarczym, dyrektorem, inżynierem, księgowym, oskarżonym o sabotaż czy malwersacje. Tak sobie spacerował przez środek celi, paląc wonnego camela, a stłoczona cizba po dwóch stronach jego promenady wodziła za nim pokornymi oczyma. Nocami zaś po zgaszeniu światła (o ile nie musiano orzekać i wymierzać kary kapusiom i krnąbrnym frajerom) rozmaite inteligenciaki za papierosa lub kielbasę opowiadali książki i filmy o miłości i przygodach, usypiając słodko celowego i jego ferajnę do snu. Niekiedy również nocą przy zachowaniu wielkiej ostrożności odbywały się transakcje handlowe. Polegały one na przerzucaniu „koniem” (rodzaj lassa) na pobliską wieżyczkę przy więziennym murze lepszych ciuchów, zdartych z grzbietów frajerom. Płatny funkcjonariusz służby więziennej, pełniący akurat dyżur, dostarczał w zamian za ubrania i buty ekstra żarcie, czekoladę, wódkę, wino, i złodzieje podpiszy sobie (alkohol szybko uderzał do głowy) śpiewali ballady o wielkich skokach, niewiernych kochankach, wiarołomnych współnikach i dużych wyrokach. Wampir głos miał niski, ochrypli i znał bogaty repertuar więziennych pieśni od carskich jeszcze poczynając. Był to osobnik twardy i zahartowany, ale i jego czasem chwylała trudna do wyrażenia nostalgia, tęsknota. Mówił wtedy przeciągle: „Ej, kurwa twoja mać...” i spoglądał w okienko poszatkowane kratami.

Lata czynią swoje i przyszedł taki dzień, kiedy Władek Wampir przybywszy kolejny raz na przejściówkę w gościnne mury Gęsiówki, dostrzegł swym bystrym wzrokiem obecność kilku znanych mu z wolności wyrokowców młodszego pokolenia, opromienionych już legendą i uznaniem dla swych wyczynów. Toteż kiedy nastąpił moment wyboru celowego i niejeden z urków starym zwyczajem spojrzął w stronę Wampira, ten odszedł skromnie na bok i oświadczył:

— Za stary już jestem, chłopaki. Niech ten czy tamten weźmie się za porządki pod całą.

Wykazał się bezbłędnym wycuciem sytuacji. Umiał się usunąć w samą porę. W świecie złodziejskim bowiem w odróżnieniu od świata polityki na przykład młodość jest siłą motoryczną fachu i szacunek dla starości nie podpartej siłą zdarza się nader rzadko.

Jeszcze później Władek Wampir już nieczęsto odwiedzał Gęsiówkę. Zwyczajem starych roztropnych urków ufundował sobie emeryturę w postaci żwawej i swarliwej baby, która miała stragan z damskimi fata-łaszkami na bazarze. Stał przy niej jako męska opoka, i gorzałkę, wikt i opierunek miał zapewniony. Starał się nadal trzymać fason kozaka miasta, ale był już mocno przygarbiony i coraz trudniej przychodziło mu odrywać stopy od ziemi.

Aż zanikł zupełnie. Nie wiadomo, czy przeniósł się do wieczności w trakcie więziennych peregrynacji, czy na wolności zakończył swój żywot szanowanego emeryta.

57. TAJEMNICA TADEUSZA PEIPERA

Zwracał na siebie uwagę urodą hiszpańskiego granda z dawnych portretów. W szarości warszawskiego tłumu jego twarz wyróżniała się nobliwą odmiennością. Pociągła blada, o regularnych rysach, lekko garbaty nos i intensywne, ciemne oczy, policzki i brodę pokrywał siwoczarny zarost. Szczupły, poruszał się lekko i sprężysto. Ubrany biednie, lecz schludnie. Nosił wytartą jesionkę, ściągniętą w pasie sznurkiem, i kapelusz, który ocieniał mu czoło i przydawał mrocznego wyrazu.

Zacząłem go spotykać w latach pięćdziesiątych i sam będąc już nałogowym wędrowcem odkryłem, że ma on podobne upodobania do moich. Chodził niestrudzenie po mieście, spotykałem go w różnych miejscach. Perypatetykiem był dziennym i znikał wraz z zapadnięciem ciemności. Nade wszystko upodobał sobie trakt Krakowskiego Przedmieścia, Nowego Świata, aż do placu Trzech Krzyży. Ale bywał też w Alejach Jerozolimskich i na Marszałkowskiej. Nieobce mu były i odleglejsze dzielnice miasta. Pojawiał się na Puławskiej, szedł przed siebie i nagle zawracał. Zaskoczył mnie raz swoją obecnością po prawej stronie Wisły na Pradze. Stał przy wejściu na bazar i patrzył. Nie wiadomo na co, ludzi bowiem wzrokiem omijał. Poruszał się między nimi jak w lesie, szczególnie odseperowany wyrazem twarzy i spojrzeniem skupionym do wewnątrz. Przystawał chętnie przed witrynami księgarń. Czasem bardzo długo wpatrywał się w okładki książek, pochylał i twarz przyciskał do szyby, pragnąc dostrzec jakiś tytuł wciśnięty w daleki kąt.

Jego blada, ascetyczna twarz okolona srebroszarym brodą i palące oczy nasuwały skojarzenie ze średnio-wiecznym mnichem wyklętym przez inkwizycję, uczonym badaczem poszukującym kamienia filozoficznego czy kapłanem tajemnego obrzędu. Bardzo to była szczególna twarz, dumna i nieprzystępna. Zarazem jednak tak napięta, jakby w wiecznym poczuciu zagrożenia. Wzrostu był niewysokiego, mimo to wyrastał ponad innych przechodniów. Od razu był widoczny. Nie wiedziałem, kim jest ten wędrowiec i snułem przeróżne domysły. Mógł być człowiekiem z umarłej epoki, czasu, który odszedł bezpowrotnie. Kiedyś zobaczyłem jego ręce. Długie, szczupłe palce delikatnie, prawie miłośniczo muskały grzbiet postrzępionej książki na ulicznym straganie. Kilka razy odprowadziłem go pod gmach biblioteki. Wystawanie przed księgarniami i bywanie w bibliotece świadczyły, że książka, drukowane słowo, interesuje go bardziej od ludzi.

Pewnego dnia znalazłem się bardzo blisko niego na krawężniku chodnika. Oczekiwaliśmy na zmianę światła, żeby przejść przez jezdnię. Zagadała doń wiejska kobiecina, omotana w chustkę, objuczona tobołami. Zagubiła się w mieście i dopytywała o drogę do dworca. Drgnął jak uderzony. Zaraz odwrócił głowę. Zrezygnował z przejścia na drugą stronę ulicy, szybko zawrócił. Byłem zdumiony jego reakcją. Co to mogło oznaczać? Zauważyłem także, że nie znosił dotyku. Potrącony przez ludzi, odsuwał się gwałtownie.

Była w nim jakaś dramatyczna tajemnica. Dopiero znacznie później dowiedziałem się, że jest to Tadeusz Peiper, głośny w międzywojennym dwudziestolecu teo

retyk literatury i poeta. Twórca awangardy, znaczącego ruchu w literaturze polskiej, który rzucił słynną formułę: „Masa, miasto, maszyna!”

Może dlatego tak uparcie trzymał się tłumu. Jego przedwojenna eseistyka działała inspirująco na wielu twórców tamtego czasu. Po wojnie, którą przeżył na syberyjskim zesłaniu, publikował jeszcze w krakowskiej Twórczości i nagle zamilknął, odsunął się zupełnie. Przestał publikować i rozmawiać z kolegami po piórze.

Adam Leszczyński, który znał Peipera jeszcze z czasu przedwojennego w Krakowie i jako jeden z nielicznych rozmawiał z nim już w okresie jego uporczywego milczenia, twierdzi, że poraził go komunizm i obrzydli koledzy po fachu, w większości opiewający nowy porządek. Rozmowa odbyła się w kawiarni „Bristolu” i była długa. Adama zadziwiła wtedy bystrość i energia intelektualna Tadeusza Peipera. Ani śladu choroby psychicznej niszczącej przecież umysł. A był opatrzony etykietą wariata, najłagodniej mówiąc, człowieka niezrównoważonego. Tadeusz Peiper bardzo rzadko się odzywał. Milczący. Szczelnie zamknięty. Zwierzęco nieufny wobec ludzi. Spacerował. Wysiadywał w czytelniach. Zachodził do stołówek literatów na obiady. Podobno pisał cały czas, ale nie pokazywał nikomu swoich rękopisów. Umarł, tak jak żył przez te powojenne lata. W zupełnej samotności. Po kilku dniach znaleziono jego zwłoki w mieszkaniu na Mokotowie.

58. POŻEGNANIE HARCOWNIKA

Kelnerzy od razu go rozpoznali. Tylko wszedł. Stał, rozejrzał się i powolnym krokiem na pałkowatych nogach kawalerzysty ruszył do najlepszego stolika na podwyższeniu, zwanego lożą. Ci starzy fachowcy popatrzyli uważnie i już wiedzieli. To był przedwojenny bywalec. I oko na takich mieli nieomyślne. Garnitur spokojny w kolorze, krawat odpowiednio stonowany, półbuty typu golfowego. Fryzura: cesał się na bok, przylepione do czaszki lśniące pasma włosów, używał pomady. Podbiegli w oczekiwaniu na dyspozycje. W trakcie zamówienia uzyskali niezachwianą pewność. Uważnie studiował kartę. Potem to pytanie do kelnera: „Co pan poleca?” Zamówił śledzika w oleju, faszzerowanego szczupaka. Wódka zimna, dobrze zmrożona, oczywiście czysta. Zaczyna typowe śniadanie, które, jak dobrze pójdzie, przeciągnie się do wieczora. Tak było. Nastąpiły dania gorące, buliony i barszcz. Nieustająca wymiana pustych kieliszków na pełne. Gość rozkwitł jak róża. Jego sposób bycia, pogwarki z towarzystwem. Kelnerzy mają uszy niezawodne. Jak gość mówi, intonacja głosu, o czym mówi, rodzaj dowcipu, powiedzenia. Byli jeszcze wtedy znawcy. Wczesne lata sześćdziesiąte. Zaczynali od pomywaczy kuchennych, pikolaków w „Adrii”, „Liju”, „Simonie”. Jeden był nawet z przedwojennego „Bristolu”. Był to ostatni czas przedwojennej

186 Marek Nowakowski

gastronomii. „Kameralna”, „Bristol”, „Paradis” funkcjonowały jeszcze dzięki dawnej chwale. Zdażył przybyć na czas ów gość znakomity. Wkrótce rozpoznał w kelnerach wymierający przedwojenny gatunek i wdał się z nimi w pogawędkę. Obsypywali się wspomnieniami upojnych nocy w „Adrii” u Moszkowicza, zabawy w „Gastronomii”, wódeczki w „Bukiecie” i kawy u „Swana”, i spacerów w pasażu Italia, Luksemburskim. Gość był we wszystkim oblatany. Mówił o tym z rzeczywistym sentymentem, prawdziwy rodak z dawnego miasta, tego Paryża Słowian. Zachował nadal tęgą głowę i dawne obyczaje. Późnym wieczorem po tym długim śniadaniu wyładował w nocnej „Kameralnej”, popłynął jeszcze do „Bristolu”. Dwie wesołe panienki dołączyły do jego orszaku. Strzelił szampan i starym obyczajem mężczyzna przyklęknął i z damskiego bucika napił się musującego trunku. Szarmancki wobec dam. Kurtyzany czy matrony, bez znaczenia: pleć piękna! Napiwki dawał przywoicie, ale nie rozrzutnie, co wskazywało na gościa doskonale obeznanego z regułami. Kelnerów traktował jak należy, zbytnio się z nimi nie fraterni- zując. Był to pierwszy jego przyjazd do Polski po 1939 roku. Mężczyzna ów pochodził z zacnej profesorskiej rodziny. Ojciec, wybitny znawca prawa handlowego, pragnął żeby syn kontynuował rodzinną tradycję. Ten rozpoczął prawnicze studia, jednak warszawską moc knajp i dancinów większym darzył zamiłowaniem. Wreszcie znudzony rygorami akademickimi, rzucił studia i zaciągnął się do wojska. Pragnął zostać ka- walerzystą. Ułani, szwoleżerowie wielką cieszyli się estymą u niewiast. Znalazł się w Centrum Wyszkolenia Kawalerii w Grudziądzu i osiągnął swoje marzenia. Został ułanem. Młody, urodziwy podporucznik przy szabli, pobrzękując ostrogami kroczył spacerowym corso w Alejach, a panienki kierowały ku niemu swe spoj-

■IHBH17

POWIDOKI 2 187

rzenia. Urlopy spędzał w Warszawie, bawiąc się huczniej z icense kawalerskim rozmachem.

W 1939 roku walczył pod generałem Abrahamem. Dalsze jego losy są dosyć typowe dla ówczesnych czasów: Rosja sowiecka i łagry; wydostał się stamtąd z Andersem i przeszedł szlak bojowy II Korpusu. Po wojnie przez jakiś czas żył beztrąsko w Paryżu, korzystając z czamorynkowych możliwości. Dorobił się nawet znacznego kapitału, ale jako zatwardziały utracjusz przehulał wszystko. Imał się różnych zawodów, od dekarza po portiera w hotelu i znużony starym kontynentem wyjechał do USA. Tam, jak wiadomo, są nieprzebrane możliwości, i jego manieri, imponująca prezencja, wiedza gastronomiczna, francuski, którym władał biegle, te z pozoru na nic nieprzydatne walory dały mu szansę. Został kierownikiem ekskluzywnego klubu dla milionerów w dostojnym Bostonie. Owo zajęcie odpowiadało mu najbardziej, przypominało bowiem beztrąskie czasy w Warszawie i wesołe życie w Paryżu, kiedy forsy miał pełne kieszenie. Powinności swoje spełniał znakomicie. Bankiety, które organizował, cieszyły się wielkim wzięciem. Amerykańscy bogacze lubili tego oryginała, który kojarzył im się z wykwinną kulturą starej Europy, arystokracją i czym tam jeszcze. Lecz stara miłość nie rdzewieje, i coraz częściej myślał o Warszawie. Postanowił odwiedzić swoje rodzinne miasto.

Dlatego siedzieliśmy doborową kompanią w „Kameralnej”, pędziliśmy kawalkadą taksówek do „Bristolu” i ranki spędzaliśmy na Zieleniaku. Trwało pasmo nostalgicznych wspomnień i stał się personą nader popularną w naszym światku. Posiedzenia z nim były częścią zabawy, lekkości i humoru. Nie znoził awantur, trywialności, słowem bydlęcej konsumpcji. Zasad tych przestrzegał surowo, nie czyniąc żadnych wyjątków. Skończyły się radosne dni i musiał wracać. Jak przysta-

ło na prawdziwego balownika, nie miał już grosza przy duszy i taksówką na lotnisko jechał za pożyczone pieniądze. Poczęstunek w bufecie na Okęciu zgotowali mu zaprzyjaźnieni kelnerzy i biesiadnicy. Srebrny ptak wzbił się w powietrze i poleciał za ocean.

Pożegnanie było ostateczne. Czy wiedział? Możliwe. Ale nie dawał po sobie nic poznać. W pół roku po wzruszającym toaście na lotnisku „Abyśmy znów jak wróble wypili po kubie!” — przyszła wiadomość o jego śmierci. Pokonał go bolesny, nieuleczalny rak. # ♦ *

Mało kto pamięta dziś o tym ostatnim męskim potomku profesora Uniwersytetu Warszawskiego i tylko pociechą jest niebywały renesans prawniczych dzieł jego ojca, znawcy prawa handlowego. Dzisiejsi biznesmeni negocjując i zawierając umowy, uczą się tej sztuki z książek przedwojennego profesora.

59. BAMBUSOWA ETAŻERKA

W tym pokoju panował zawsze półmrok i jasnożółte, bambusowe pręty etażerki były jedynymi akcentami rozjaśniającymi wnętrze. Pani gospodyni zaprosiła mnie pierwszy raz na górę w letnie, upalne popołudnie. Poprzedniego dnia zobaczyła mnie w kącie altany z książką w rękach. Czytałem opowiadania Sienkiewicza. Najbardziej poruszała mnie historia Selima, dumnego i szlachetnego Tatara.

— Sienkiewicz — powiedziała w zamyśleniu pani gospodyni. — Taki był szarmancki, dystygowany. — Bardzo dokładnie opisała jego wygląd i manieri. Potem długą chwilę stała milcząc. W swoim ciemnym pokoju usadowiła mnie na trzeszczącym krzeselku, które miało siedzenie wyplatane popękaną rafią. Sama siadła w skórzanym fotelu przy masywnym biurku. Jego blat był pokryty zielonym sukmem i stała tam marmurowa suszka z mosiężną główką. Moją uwagę zwróciły szklane kałamarze z metalowymi pokrywkami i lampa z zieloną ambrawą na nóżce z brązu, oplecionej kiściami winogron. Na ścianach wisiały owalne portrety w złożonych ramach. Spoglądali z nich brodaci mężczyźni i surowe matrony.

Bambusowa etażerka ciasno była wypełniona książkami w zielonych i brązowych oprawach. W czarnej, połyskującej politurą szafie, za szklanymi taflami, też

190 Marek Nowakowski

rzędami stały książki. Niektóre ze skórzanymi grzbiecami, a na nich tłoczone litery złotego koloru. Już nie pamiętam treści tamtej rozmowy sprzed tylu lat. Na pewno pani gospodyni wypytywała mnie o lektury. Dzięki starszej siostrze czytywałem, wykradane jej na chybił trafił, powieści, poczynając od Colette, Zarzyckiej, Jehanne-Wielopolskiej po Panią Bołary i El Haki- ma. Surowe oczy pani gospodyni złagodniały nieco i wyciągnęła z dołu bambusowej etażerki jakiś tom w twardych okładkach. Pokazała dedykację na stronie tytułowej. Równym, krągłym pismem wykalfigrafowano: „Zacnej pani Eugenii z ucałowaniem rącek”. Pod tymi słowami nieczytelny podpis. Była to dedykacja złożona przez Sienkiewicza na egzemplarzu wydania Bez dogmatu.

Pani gospodyni otworzyła zamykaną na klucz szufladkę biurka. Wyciągnęła stamtąd pluszową laleczkę, podarowaną jej przez Prusa. Następnie przeczytała list od niego, pełen staroświeckiej galanterii i żarcików, którego konkluzją była prośba o zaliczkę. Działo się to w tak zamierzonych czasach. Zaliczka, oczywiście, w rublach. Pani gospodyni piastowała wtedy odpowiedzialne stanowisko księgowej w szacownym wydawnictwie Gebethnera i Wolffa. Zaczęła tam pracować na dwa lata przed końcem XIX wieku. Jedną z nielicznych wykształconych, niezależnych kobiet. Studiowała na Wyższych Kursach Żeńskich im. Bestużewa w Petersburgu, a później w Genewie.

Tak zaczęły się moje wizyty w mrocznym pokoju, pełnym książek i wspomnień. Częstotliwość bywania w owym miejscu zależała w znacznej mierze od harców w ogrodzie. Bawiąc się z serdecznym druhem Musiem w kampanię napoleońską w Rosji i będąc przemiennie Davoutem, Neyem, Muratem, to znów księciem Bagrationem, generałem Barclay de Tilly czy admirałem Cziczagowem, gnaliśmy jak opętani po warzywnych zagonach i zdarzało się nam deptać sadzonki i łamać tyczki wspierające pomidory. Po takich wyczynach stosunki z panią gospodynią ulegały pogorszeniu i nie bywałem na górze. Z czasem napięcie mijało i znów zachodziłem tam codziennie. Rozmawialiśmy o książkach i ludziach zajmujących się ich pisaniem. Mogłem już własnoręcznie sięgać na półki i przeglądać pięknie wydane księgi. Kiedyś zaintrygowany takimi tytułami jak: Synagoga szatana, Homo Sapiens i De Profundis zagłębiłem się w twórczości Przybyszewskiego, pełnej intrygujących słów w rodzaju „chuć”, „jaźń”, Jestestwo”. Pani gospodyni o tym pisarzu wypowiadała się ze zdecydowaną niechęcią. Ordynarny, przesiąknięty odorem wódki, nienaturalnie błyszczące oczy. „Człowiek wykolejony”, powiedziała. „W kieszeni skrywał manierkę i raczył się obficie alkoholem. Przyjechał z Krakowa i złożył wizytę wydawcom. Jednak nie sprawił na nich dobrego wrażenia”. Dotąd nie może pojąć przyczyny jego powodzenia u kobiet. Te kobiety musiały być wątpliwej kondycji.

Natomiast bardzo lubiła Artura Oppmana, czyli Or-Ota, który był redaktorem Tygodnika Ilustrowanego, wydawanego przez firmę Gebethner i Wolff. Sympatyczny starszy pan i pisał piękne wiersze o Warszawie. Przy każdej charakterystyce poety, powieściopisarza czy dziennikarza sięgała do przepastnej szuflady i znajdowała tam odpowiedni list, pozdrowienia świąteczne lub imieninowe, karteczkę z zagranicznej podróży do Nizy, Meranu, często z bardzo przejrzystą aluzją o wstawiennictwo u wydawców o zaliczkę.

Ci mityczni, nieżyjący pisarze zmartwychwstali i przybliżali się na odległość ręki, nabierali kształtu zwyczajnych ludzi. Widziałem ich, słyszałem. Atmosfera pokoju sprzyjała wskrzeszaniu przeszłości. Mrok,

192 Marek Nowakowski

kurz, zapach starych książek, obrazy, bibeloty. Ścienny zegar odmierzał monotonnie czas. W miarę rosnącej zażyłości pani gospodyni pożyczala mi niektóre książki. Lubiłem dotykać grzbietów tych tomów z tłoczonymi literami tytułów i nazwisk autorów. Powoli przewracałem karty, wpatrywałem się w winiety z roślinnymi i kwiatowymi ornamentami i jeszcze przed czytaniem widziałem dostojnego barona Weysenhoffa, namiętnego myśliwego i bywalca karcianych klubów lub dobrodusznego Bolesława Prusa. Pani gospodyni opowiadała o jego skromności, życzliwości ludziom i chorobie lęku przestrzeni. Najbardziej zagustowałem w grubych, ciężkich rocznikach Wędrowca, Biesiady Literackiej i Tygodnika Ilustrowanego. W jednym z roczników Tygodnika zaczytywałem się w cotygodniowych relacjach z wojny rosyjsko-japońskiej. Ofensywa Japończyków na linii obrony rosyjskiej na rzece Jalu. Oblężenie Port Arthur. Komendant twierdzy Staessel. Generałowie: Kondratientko Miszczenko, Kuropatkin, Ojama, Nogu. Admirał Togo i Cuszima. Zaznałem po raz pierwszy smaku przeszłości i swego w niej uczestnictwa. Stan podobny do uniesienia. Tak chyba czuli się odkrywcy gór, rzek jezior, palacze opium, pogrążeni w intensywnych wizjach. Długo w noc, ukryty w łazience, wertowałem karty starych ksiąg z postrzępionymi brzegami, niektóre kruszyły się w palcach jak opłatki. Czytałem stare listy, smakowałem nie istniejącą już ortografię. Niebieskordzawy atrament i te kleksy sprzed tylu lat na papierze. A ze ścian ciemnego pokoju spoglądali brodaci panowie w mundurach, frakach, ze wstęgami orderów. Zostałem namiętym pożeraczem książek i później już wszędzie, gdzie się znalazłem, od razu rzucałem wytrawne spojrzenie myśliwego na oszklone szafy bibliotek, półki i uchylone szuflady pełne papierów. Ilekroć nadarzyła się okazja, gładziłem

m

POWIDOKI 2 193

grzbiet książki, smakując powoli przyjemność odkrywania zakłętej w druku sztuki opisywania ludzi i wydarzeń.
* * *

Niedawno przechodząc Wiejską obok redakcji Twórczości, przypomniałem sobie pewien incydent sprzed wielu lat. W jednym z moich pierwszych opowiadań próbowałem stworzyć portret pani gospodyni i pomieszałem prawdę z fikcją. Napisałem, że pożyczyłem od niej Sobola i pannę i nie oddałem książki, gdyż liczyłem na krótką pamięć gospodyni. Opowiadanie zostało wydrukowane w Twórczości i pani gospodyni przysłała list do Jarosława Iwaszkiewicza, w którym domagała się interwencji w prawie zawłaszczonej przeze mnie książki.

W owym czasie w kawiarni literatów próbowałem rozmawiać z wiekowym dramatopisarzem i eseistą. Adamem Grzymałą-Siedleckim. Posłyszawszy moje nazwisko, fuknął gniewnie i powiedział, że wie o mnie wszystko z listu od jego dobrej znajomej, pani Eugenii M. Wypomniał Sobola i pannę, i tak fikcja literacka stała się prawdą.

60. DAWNE POWĄZKI

Krzak i, krzaki, spopieliałe od kurzu, rdzawe od upału, zdziczałe jabłonki wychylają się z tej gęstwy. Nawet brzoza melancholiczka pokazała się za rozwalonym plotem. Tu mały zagonek pomidorów, tam cebula, ogórki. Dawne Powązki. Dzieciństwo i młodość Stefana. Ulica Libawska lv Dziwne numeracje. Piętnaście było domków i wszystkie Libawska 1 z dodatkowym numerem mieszkania. Jakby jeden wielki dom i piętnaście lokali. Ojciec Stefana sklecił własnoręcznie ten drewniany domek. Przed wojną mieszkali na Opalińskiej, też mały drewniak, spłonął. Przez czas okupacji do wczesnych lat sześćdziesiątych to były Powązki Stefana. Później przenieśli tutejszych mieszkańców do bloków. Ziemia komunalna i tutaj miało wyrosnąć nowe osiedle. Jeszcze nie zbudowali. Ale zmieniło się wszystko. Tam gdzie były łąki, piękne łąki z wysoką trawą, teraz wieżowiec, magazyny. Dalej też ciągnęły się łąki, którymi można było dojść na Bielany. Wyrosła nowa dzielnica mieszkaniowa. A po drugiej stronie były doły, stawy, glinianki, różnie mówiono. Głęboka woda, kąpali się, łowili karasie. Nie ma wody. Zasypana. Na jej miejscu wielka stacja samochodowa, serwis obsługi Łady. Stefan posuwa się płataniną ścieżek między działkami. Rozpoznaje swoje rodzime siedlisko. Tu stał budynek mieszkalny, tam szopka. O, drzewo zachowało się dotychczas. Doskonale pamięta. Tu był plot. Dom sąsiada. Ceglany, niziutki, z wysokim kominem. Cegła tynkowana, tynk odpada wielkimi płatami. Pusty, martwy dom zięje wybitymi szybami w oknach.

— Podobny do mojego — mówi Stefan. — Tylko mój był drewniany.

Tam stała pompa. Wszyscy chodzili po wodę. Najgorzej, jak było pranie lub podlewanie warzyw w ogródku. Trzeba było chodzić i chodzić z kębłami. Stary wymagał i nie dało rady się wymigać. Przedzieramy się dalej, łopiany oblepiają nogawki. Jak na wsi. Pustkowie. Tylko z niedalekich Nowych Alej słyhać nieustanny hałas samochodów, klaksony. A widok zamyka ściana bloków. Wysepka rachitycznej zieleni osaczona przez miasto. Stolarsnia została. Długi budynek, okryty połataną papą. Chodzili po opał na zimę.

Budy gołębników. Na tych działkach pełno gołębic bud. Wielkie, rozbudowane, z wieżyczkami, galeryjkami, schodkami. Drzwi do nich obite blachą, opatrzone kłódkami i sztabami jak do sejfów jakichś. Na daszkach pod siatkami siedzą gołębie. Mnóstwo różnorodnych odmian. Krymki, wyszwance, winery, pawie, żałobniki. Żałobnik jest cały biały, tylko na łapach ma czarne obrączki, kołnierzyk na szyi i język musi mieć czarny. Rzadki gatunek. Stefan trzymał gołębie. Pięćdziesiąt sztuk. Później wszedł do spółki z sąsiadem szewcem. Razem trzymali w jednej budzie. Ale jak to? Nie ma domów, nie ma starych Powązek, a budy z gołębiami zostały. Chodzimy, chodzimy. Wszędzie budy. Stefan przystaje, marszczy czoło, zastanawia się usilnie. Pokazał się człowiek. Chudy, obnażony do pasa mężczyzna, opalony na brąz, z sinymi plamami tatuaży na barkach i piersiach. Otwiera uzbrojone w kłódki i sztaby wrota gołębnika. Bogacz! Trzyma ze współnikiem trzysta sztuk. Gania rano i wieczorem. Ścinki robi. Przechwy

H^SnSHjjM

tuje gołębie z innych stad. Konkurencja w powietrzu. Walka dwóch posiadaczy stad. Ptaki szybują i szybują na tle błękitu i po kilkanaście sztuk odłącza się od stada, przechodzi od jednego do drugiego. Potem wykupne. Takie prawo. Właściciel może odzyskać stracone gołębie, musi jednak zapłacić. Czasem honorowo postawi flaszkę, i już. Wielka pasja te gołębie. Żadne tam zyski, profity. Same wydatki. Tylko przyjemność. Mężczyzna obnażony do pasa musi milion przeznaczyć na żarcie dla stada, tyle samo współnik.

— Pięknie ścinają powiada. — Ten z Bielan ciągle do nas przychodzi i wykupuje.

— Czyś pan z Powązek? — pyta Stefan.

Tamten kręci przecząco głową. Dojeżdża tutaj

z Młocin. Ale jego szwagier jest stąd. Wielu ludzi z dawnych Powązek ma tutaj "swoje budy. Mieszkają w blokach na Bemowie, Woli, Chomiczówce i dojeżdżają.

— Stara miłość nie rdzewieje — śmieje się oblatujący mężczyzna.

Tam na lewo buda Waldka. Stefan pokazuje kierunek. Waldek, od pokoleń rodem z Powązek, jest nie tylko hodowcą gołębi, ale również ptasznikiem. Łapie kosy, szczygły, czyżyki, zięby, makolągwy. Lubi, kocha wprost ptaki. W jego budzie kilka klatek wisi na ścianach. Mieszka na Woli, ale właściwie znów przeniósł się na stare miejsce. Śpi w tej budzie i gania swoje stado. Ziemia tu niczyja, własność miasta, mają coś budować, są jakieś plany, ale na razie nie budują. Dlatego wrócił.

Te dawne Powązki, Stefan rozmarzył się jak poeta. Może wrócić, postawić bieda-domek, obok budę dla gołębi i zacząć od nowa dawne, piękne, wolne życie.

— Stara olszyna została — mówi ptasznik. — Tam zawsze śpiewały ptaki.

I śpiewają. Stefan nie był tu przeszło dwadzieścia lat i jest tym powrotem niezwykle poruszony. Stare korzenie wcale nie zostały wyrwane. Tu mieszkał Klucha, miejscowy siłacz. Tam stary ptasznik, który o świcie chodził na piachy, gdzie teraz Wólka Węgłowa — ogromny cmentarz. A że Powązki zawsze stały na kamieniarzach, cmentarz przecież dawał ludziom chleb, to Stefan przypomniał sobie kolegów z sąsiedztwa, trzech braci Konopków. Ich ojciec był polnikiem w zakładzie przycmentarnym. Trzej synowie poszli w jego ślady. Jurek prowadzi swój własny warsztat. Utalentowany mistrz nagrobkowej roboty. Rzeźbi w kamieniu, wykuwa na płytach podobizny świętych. Nawet w katedrze św. Jana poprosili go o wyrzeźbienie brakującej ręki Małachowskiego. Żyją jeszcze stare Powązki!

Stefan jedzie do Jurka Konopki, jego warsztat znajduje się w małej, bocznej uliczce od Powązkowskiej, blisko IV bramy.

61. ZYGMUNT PORAJ SZUBIAKIEWICZ

Zamieszkał u nas po powstaniu i był charakterystyczną postacią w miasteczku. Mimo wieku chodził rozpląsanym posuwistym krokiem i kiedyś, jak powiadał, był sławnym tancerzem. Wypiwszy, stawał się tancerzem naprawdę. Potrafił raptem na przystanku kolejki wywinąć kilka płaśów i piruetów, przytupnąć i gestem scenicznym wyciągnąć w górę ręce. Też stepował, a jego buty podbite żabkami krzesaly iskry na bruku. Rozśmieszał

„Podwórkowy baletmistrz”, mówili sceptycy. Demonstrował nam partie męskie z Dziadka do orzechów, Giselle, Kopciuszka czy Taniec z szablami Chaczaturiana. Z wysiłku jego łysa głowa pokrywała się kroplami potu, twarz miał niezwykle ruchliwą, ekspresyjną i wyblakłą, zapalczywe oczy.

— Poraj Szubiakiewicz jestem — przedstawił się węglarzom z bufetu kolejowego. A zauważywszy ich kpiące, beczelne uśmiešky, dodał z groźnym naciskiem: — Ale równocześnie chłopak ze Starówki, matoly! — Nie doszło do konfliktu. Był tak śmieszny i dowcipny, że wstępnym bojem zdobył serce bywalców i pani Jadzi, królującej za szynkwasem.

Opowiadał o swoim tournee z trupą Pawłowej. Dzień był szary, jesienny i zamiast gołych, bezlistnych drzew, które kołysały się smętnie na wietrze za oknem, zobaczyliśmy sceny teatrów i oper wielkich stolic Euro-

POWIDOKI 2 199
py, wytworne hotele i galowe tłumy oklaskujące entuzjastycznie znakomitych artystów. Opowieści rozgrywały się nie tylko w Europie, płynęliśmy transatlantykami i odwiedzaliśmy egzotyczne miejsca, gdzie tęp bywały palmy, kaktusy i snuły się piękne kobiety o różnych kolorach skóry.

Naprawdę umiał opowiadać. Wódkę trąbił jak prawdziwy swojak ze Starówki i swobodnie przechodził do wspomnień o różnych kulawych, Rudych, Antkach i Czarnych Mańkach, żulikach, alfonsach i prostytutkach, zamieszkujących meliny Wąskiego Dunaju, Mostowej, Brzozowej, Bugaja i Rybaków przed wojną. Dowcip go nigdy nie opuszczał, choć powodziło mu się marnie i z rzadka tylko, objaśniając stare plakaty zdobiące ściany jego mieszkania, na których figurowało w obsadzie jego nazwisko jako tancerza baletu Opery Warszawskiej w latach dwudziestych czy jeszcze na dawniejszych programach pisanych cyrylicą, kiwał smętnie głową i sobaczył na swój los. Miał żal do znanego tancerza, Leona Wójcikowskiego, który był niegdyś jego serdecznym kolegą po fachu i zapomniał o nim zupełnie. Czy tak było naprawdę? Nie wiadomo. Za kołnierz nasz bohater nigdy nie wylewał i kiedy tylko na stole pojawiła się butelka, smętek opuszczał go natychmiast.

— No, panie profesorze, abyśmy! — Trącaliśmy się z nim szkłem. Tytuł sprawiał mu przyjemność i już na stałe Zygmunt Poraj został profesorem.

We wczesnych latach sześćdziesiątych pracował w domu kultury w Ursusie i prowadził tam dziecięcy zespół baletowy. „Nie ma talentów”, powiadał. „Sieczka, miernota. Zresztą, tacy jak Niżyński, Miasin, Kar-sawina czy nawet Leoś Wójcikowski pojawiają się raz na jakiś czas. Bardzo rzadko!” I na dowód, że sam należy do tej boskiej elity, podskoczył i wykonał jakąś

skomplikowaną figurę taneczną, następnie zastygł w głębokim pokłonie gwiazdora oczekującego na aplauz publiczności. Na pewno nie był zwykłym zjadaczem chleba i przeszłość, pełna kolorowej chwały, krasila mu nędzę terażniejszości. Bywał u nas w domu i rozśmieszał ojca, który za stosami poprawianych klasówek z matematyki chichotał cichutko.

Profesor lustrując bacznie moją sylwetkę i ruchy oświadczył, że może nauczyć mnie tańca.

— Oczywiście towarzysko. Walc, tango. To bardzo pomaga w powodzeniu u płci nadobnej. I vice versa — dodał, skłoniwszy się głęboko mojej siostrze. — Pani też by to się przydało.

Ojciec poczęstował go nalewką i miała się odbyć pierwsza lekcja. Nalewka wzięła górę i pograżyliśmy się w opowieściach z bajkowego świata tancerzy. „Pawłowa to była dama”, słyszę do dziś głos profesora. „Wielka tancerka i wielka caryca. Miała żelazną rękę jak nie-ko- bieta”.

Pamiętam zimowy, mroźny wieczór. Wracał profesor ze swoich zajęć w domu kultury. Szedł powolnie, jakby przytłoczony jakimś ciężarem. Dźwigał wypchaną tekę pod pachą i kieszenie płaszczka też miał dziwnie wypchane. Zatrzymał się i zaczęliśmy rozmawiać. Zauważyłem, że dłonie ma całe czarne, uwalane węglem, a w kieszeniach płaszczka coś mu chrzęści i grzechocze.

— Trochę opału im zwędziłem — przyznał się. — Mróz jak lichy, trudno ogrzać mieszkanie.

Żył biednie, gdyż kosztowne skłonności do kieliszka często przekraczały to, co zarabiał w domu kultury, ucząc dzieci baletu i dorosłych tańca towarzyskiego. Ale ducha nigdy nie tracił i w tę noc zimową jego oczy jak zawsze skrzyły się humorem. Zaprosiłem go do Dziadka na rozgrzewkę.

Czasem nad tancerzem brał górę zakapior i Zygmunt Poraj stawał się staromiejskim kozakiem. Wtedy popadał w kłopoty. Kiedyś zaczął łobuzów, którzy nie mieli żadnej taryfy ulgowej dla artystów i potraktowali go nader brutalnie. Przeleżał kilka tygodni w szpitalu, ale otuchy w udęce połamanych żeber i gipsowego kołnierza dodawało mu przekonanie, że w walce był górą.

Bachiczne rozrywki w miarę podeszłego wieku coraz trudniej dawały się pogodzić z obowiązkami i ostatecznie stracił posadę instruktora w Ursusie. Przebie- dowal jakoś kilka miesięcy i szczęście uśmiechnęło się do Profesora. Pewna leciwa i stateczna wdowa uległa czarom donżuana i niepoprawnego fantasty, chłopca pod siedemdziesiątkę. Pobrali się i było to bardzo udane stadło. Jego pani dbała o dom, prowadziła świetną kuchnię i Profesor nawet przytył trochę. Zdarzały mu się kilkudniowe wypadki do knajp, wcielał się w kozaka ze Starówki i tancerza z trupy Pawiowej, ale zawsze wracał jako syn marnotrawny.

Zmarł na zawał serca i jeszcze godzinę przed śmiercią, jak wspominała zapłakana wdowa, demonstrował jej przeróżne tańce ze swojej bogatej kariery tancerza. Chwała Bogu, że nie zdążył zostać pustą, wypaloną rupiecarnią, jaką przypominają ci starcy wysiadający nałogowo w poczekalniach lekarskich, zagapieni martwo przed siebie.

Należy się Profesorowi wspomnienie. W naszym małym świątku był poetą, pełnym fantazji i wyobraźni. Przydawał mu trochę skrzydeł. Dotąd Go widzę, jak tańczy na bruku przed bufetem kolejowym i słyszę, jak opowiada o wielkiej sztuce Wacława Niżyńskiego.

62. ECHO

To pytanie bez odpowiedzi. Choć minęły już od tamtych wydarzeń 54 lata, a jednak powraca jak echo. Kto go wydał? Niewiele już żyje świadków. Może trzy osoby. Wdowa jeszcze żyje. Bardzo wiekowa, 85 lat. Placzą jej się i mieszają czasy. Bratanek zamordowanego potrafi dosyć dokładnie opowiedzieć, jak to wyglądało. Atmosfera, chronologia. Nasłuchał się jako chłopiec rozmów ojca z matką.

Państwo M. byli jak na owe czasy ludźmi zamożnymi. Posiadali kamienicę w podwarszawskiej miejscowości W. Dom był trzypiętrowy, solidnie zbudowany. Mieszkania trzypokojowe, dwupokojowe, z wygodami, słoneczne, przestronne, weneckie okna, balkony. Czynnosc dosyć wysoki, więc na wynajem mogli sobie pozwolić ludzie na posadach, mający stałe źródło utrzymania. Lokatorami byli właśnie tacy; od lat mieszkali w owej kamienicy. Wśród nich nauczyciel tutejszej szkoły powszechnej, maszynista kolejowy, majster z fabryki świec, urzędnik kasy chorych z siostrą, która była modystką. Już rok przed wojną w kamienicy państwa M. zamieszkał pan Kłęcz z żoną i córką. Żona wyglądała jak dama, ubrana sztywnie, i figurę miała bardzo zgrabną. Ładniotka córeczka, stroili ją jak dorosłą. Nie wiadomo, czym się zajmował pan Kłęcz. Ciągłe w rozjazdach, może akwizytor, komiwojażer. Żyli po pańsku, nawet wstawiony zajeżdżał pod dom dorożką. Był to wysoki, postawny mężczyzna, dowcipny i towarzyski. Podobał się kobietom. Dla każdej miał w pogotowiu komplement. Nawet surowa pani M. lubiła go najwyraźniej. Natomiast właściciel kamienicy, pan M., od początku traktował pana Kłęcza niechętnie i unikał z nim spotkań. Zapewne wynikało to z różnicy w ich usposobieniu. Pan M., człowiek bardzo religijny, aktywny działacz komitetu budowy kościoła, wierny admirator Marszałka i prezes Koła Legionistów, musiał nie przepadać za takim beztroskim lekkoduchem, jakim był pan Kłęcz. Z jawną dezaprobatą spoglądał na jego wyszukane stroje, drażnił go kabotyński ceremoniał zapalania cygara i dowcipy, którymi szafował nowy lokator. Jeszcze ta zupełna obojętność dla spraw publicznych, państwowych, którą z otwartością deklarował pan Kłęcz.

„Podejrzany typ”, taką opinię o nim wyraził pan M. w gronie swoich przyjaciół, tak samo poważnych i odpowiedzialnych jak on sam. Wkrótce straciliśmy niepodległość i nastąpiła okupacja niemiecka. Ale pan Kłęcz wcale nie stracił pogody ducha i trybu zajęć nie zmienił. Nadal często wyjeżdżał i czasem nie było go tydzień, dwa. Niemcami też się nie przejmował. Mówił biegle w ich języku i przyjemność stanowiły dla niego rozmowy z oficerami Wehrmachtu, żandarmerii. Niebawem opuścił kamienicę państwa M. i przeniósł się do Warszawy. Zajął pięciopokojowe mieszkanie na Hożej. Prawie dokładnie w tym samym czasie aresztowali pana M. Gestapo wpadło nocą i zawieźli go do Warszawy na Szucha. Starania o jego uwolnienie okazały się daremne i Niemcy rozstrzelali go w pierwszej masowej egzekucji. Według powszechnego przekonania ktoś musiał złożyć na niego donos. Może któryś z osiadłych tutaj kolonistów pochodzenia niemieckiego? Kilku

z nich, dotąd Polaków, stało się gorliwymi Niemcami. Na przykład właściciel sklepu kolonialnego, Meslich, ujawnił się od razu jako przedwojenny wielbiciel Hitlera i paradował w uniformie funkcjonariusza partyjnego, a jego sklep stał się dostępny Nur für Deutsche. Pani M, zapytała go o to wprost. Przed wojną często rozmawiał z jej mężem. Krytykował Piłsudskiego i jego następców. Pan M. denerwował się podnosił głos.

Na pytanie pani M. Meslich poczerwieniał, jakby razić go miała apopleksja i przysięgał na wszystkie świętości, iż nie miał z tym nic wspólnego.

— Jakżebyś mógł! — powiedział. — Przecież tyle lat żyliśmy po sąsiedzku.

Na liście podejrzanych znalazł się również pan Kłacz. Ktoś widział go w" Warszawie. Jechał autem w towarzystwie niemieckich oficerów, byli w przyjacielskiej komitywie. Jego córka przyjaźniła się z dziewczynką z naszego miasteczka, która odwiedziła ją kiedyś w warszawskim mieszkaniu. Było ono przedtem własnością doktora, wysiedlonego do getta. Zobaczyła kilka zdjęć, na których pan Kłacz stał z esesmanami, w tle baraki, druty, jakiś obóz. Kim był pan Kłacz? Podejrzenia gęstniały. Doszły jeszcze rewelacyjne wiadomości o jego przedwojennej profesji. Otóż pan Kłacz przed wojną był złodziejem w międzynarodowych pociągach. Jego nienaganne maniery i biegła znajomość francuskiego i niemieckiego stanowiły nie lada atuty w tym fachu. W 1938 roku przez krótki czas mieszkał w Gdańsku. Czy nie mógł tam zwąchać się z hitlerowcami? Zapanowało przekonanie, że pan Kłacz był zdolny do wszystkiego. Przekonanie zmieniło się w pewność, kiedy pani M. już po wojnie zobaczyła na peronie warszawskiego dworca córkę pana Kłacza.

— Heniu! — zawołała.

Tamta obejrzała się. Popłoch odmalowany na jej twarzy. Uciekła. Bratanek pana M. do dziś zadaje sobie pytanie: Czy naprawdę był to pan Kłacz? A może ktoś zupełnie inny, jakiś denuncjator, którego w ogóle nie braliśmy pod uwagę?

63. OJCIEC I HISTORIA

Według krótkiego Kursu Historii WKP (b) wojna roku 1920 była „najazdem jaśniepanów polskich na Kraj Rad”. A szkoła nadal pozostała 7-klasową Szkołą Powszechną imienia Józefa Piłsudskiego, wodza zwycięskiego „najazdu”. Nie dość, że przez kilka miesięcy spiżowe popiersie Marszałka znów stało na postumencie w korytarzu i zawsze był przy Nim wazon ze świeżymi kwiatami, to jeszcze uczniowie, którzy kończyli 7 klasę w pierwszym roku szkolnym po wojnie, otrzymali świadectwa ze starym nadrukiem, to znaczy z Marszałkiem. Ojciec miał zapas przedwojennych formularzy i wyciągnął je do wykorzystania.

Duch Marszałka, można powiedzieć, panował w szkolnych murach i uczniowska dziatwa tak jak dawniej wiedziała o Nim to co należy. Przyszedł do nas wieczorem kulawy B., stary komunista (dwoje swoich dzieci posyłał przed wojną do szkoły ojca), i tak gadu, gadu, aż powiedział wprost, z czym przyszedł.

— Nie o mnie zresztą chodzi — oświadczył. — Szkoła to jest dla mnie szkoła. Ale w powiecie mogą z tego zrobić użytek ideologiczny. Rozumie, pan Kierownik?

Nauczyciel Starzyk, który wojnę przeżył pod Sowietami, gorąco poparł kulawego komunistę.

— Dla dobra szkoły! — użył argumentu, jaki ostatecznie przekonał ojca i Marszałek zniknął.

Za Niemców popiersie było schowane pod węglem i znów powędrowało w to samo miejsce.

Stare blankiety świadectw nadal jednak funkcjonowały. Tym razem odwiedził ojca inżynier W., porządny człowiek; zasiadał w Komitecie Rodzicielskim.

— Już donosy składają — zaszeptał i wymienił nazwiska ważnych osób, którym nie podobało się postępowanie ojca.

Ojciec, który był przeciwnikiem wszelkiego marnotrawstwa, postanowił zamazywać czarnym atramentem nadruk z Marszałkiem i z tym retuszem wykorzystywał dawne świadectwa. Zamazane nadruki powodowały pewną niezdrową ciekawość, ale ojcu wydawało się, że nastąpił już koniec kłopotów.

Jednak to był dopiero początek.

Powstał problem z krzyżami i orłem w koronie. W każdej klasie wisiał krzyż, a honorowe miejsce w szkolnej kancelarii zajmował przedwojenny orzeł.

Konieczna jest w tym miejscu dygresja. Otóż choć brzmi to wszystko humorystycznie, lecz w tym tkwił prawdziwy dramat. Ojciec z natury był legalistą i człowiekiem ustępstw. Jednak jako nauczyciel z powołania pragnął zachowania minimalnej choćby ciągłości, wierzył w trwałość kilku zasad, które, jego zdaniem, były niezbędne dla dobra szkoły i dzieci.

Zjechała komisja z kuratorium. Najmłodszy z jej członków bardzo się rozżłościł. Pozostali, ludzie starsi, milczeli, unikając patrzenia na orła i ojca.

Ojciec słuchał reprimendy, chrząkając po swojemu i po tej wizytacji nie odzywał się do nikogo w domu, pogrążony w sprawdzaniu klasówek z matematyki. Rozstrzygnięcia dokonał kompromisowego.

Marek Nowakowski

Orla z koroną usunął z kancelarii, natomiast krzyże w klasach pozostawił.

— Na razie nie ma w tej sprawie żadnej ścisłej instrukcji — wyjaśnił swoje stanowisko gronu nauczycielskiemu i jak dawniej po niedzielnej sumie zamienił kilka serdecznych słów z księdzem proboszczem.

Łączyła ich stara znajomość i ta sama pasja. Obaj byli budowniczymi. Ojciec budował szkołę, a ksiądz kościół i od początku organizowali wspólne zabawy, z których dochód dzielono sprawiedliwie na dwie budowy. Po wojnie wznowili ten proceder i odbyło się kilka zabaw, co spowodowało odwiedziny wizytatora z kuratorium w szkole i kilka nalotów rewidentów finansowych, którzy skrupulatnie przeglądali księgi rachunkowe, chyhając jak sępy na jakiegokolwiek uchybienia. Na szczęście uchybień nie było.

Kłopot władzy z ojcem polegał na tym, że ojciec był kierownikiem szkoły wybranym z konkursu i obowiązywały jeszcze dawne przepisy, na mocy których tylko w razie stwierdzenia konkretnych zarzutów decyzją komisji dyscyplinarnej mógł zostać usunięty.

Sposób się znalazł zimą, kiedy przywożono opał dla szkoły i zabrakło należnego, oddzielnego deputatu dla ojca. Było mroźno. Inspektor szkoły przeprosił ojca za zaniedbanie i zaproponował mu węgiel z dostawy szkolnej.

— Panu wnet dowieziemy i wtedy pan wyrówna — poradził życzliwie.

Tak też ojciec uczynił i w kilka dni potem zjechali rewidenty, którzy stwierdzili, że ojciec popełnił nadużycie — wziął węgiel dla celów prywatnych. To był istotny powód dyscyplinarki. W kuratorium z pewnym zaangażowaniem poradzono ojcu, żeby sam zgłosił rezygnację ze stanowiska kierownika szkoły i wtedy dyscyplinarki nie będzie.

POWIDOKI

Obudził się w nim zawzięty, chłopski upór i ojciec nie ustąpił. Posiedzenie dyscyplinarne było zwykłą farsą, a życzliwy inspektor okazał się koronnym świadkiem oskarżenia. Werdykt był sukcesem władzy. Ojciec został zwolniony ze stanowiska kierownika szkoły. Zaczął udzielać korepetycji, uczył w szkole wieczorowej i dopiero w 1956 roku, a może rok wcześniej, decyzja komisji została unieważniona i ojca oczyszczono z zarzutów. Ale do szkoły we Włochach już nie powrócił.

64. ROMANTYCZNY KSIĘGOWY

Wacek był księgowym w Centrali Ogrodniczej. Chodziło o sadzonki, nasiona, cebulki kwiatów, ziarenka. Kiedyś pokazywał taką niezwykle cenną garsteczkę brązowych drobinek. Dużo mieli nasion z importu. Ważyło się to skrupulatnie, po aptekarsku. Nad tym czuwał Wacek, doświadczony księgowy, człowiek o nieskazitelnej reputacji. Były oficer ludowego wojska, kwatermistrzostwa. Miał te nasiona w swojej ewidencji, zawiadywał cennym towarem, prowadził księgi, wypisywał kwity, faktury, sprawdzał stan w magazynie. Pochodził z kresów, przemieszczał dwa lata na zesłaniu w Kazachstanie i zabrał się z Berlingiem do Polski. Życie prowadził skromne, żona, dzieci, uregulowany, monotony tryb życia. Niedużego wzrostu, chudy, pociągła koścista twarz, szare przyłizane włosy, nosowy głos. Ubierał się w resztki oficerskich sortów mundurowych: zielone spodnie, zielona bluza, także sortowe skarpetki. No i tak się złożyło, że zaszedł z kolegami do „Polonii”. Przypadkiem. Wódka z okazji premii. Zaczęli od „Dzika” i wdepnęli do hotelowej kawiarni. „Polonia”, wiadomo, dla jednych zamtuż, dla innych raj. Potrafiła wessać człowieka. Od tamtego wieczoru księgowy Wacek zaczął się kręcić w pobliżu hotelu. Widywano go w porze przedwieczornej, z teczką w ręku, prosto z pracy. Spacerował, spacerował.

Zaglądał przez szybę

POWIDOKI 2 211

do kawiarni. Wchodził do szatni, zaraz wychodził. Ciągnęło go nieprzeparcie. Zdecydował się i zasiadł przy kawiarnianym stoliku. Siedział sztywny, patrzył w sufit, teczkę trzymał na kolanach, mocno przyciskał ją rękoma. Wyglądał na takiego, który na kogoś czeka. Ale nie czekał na nikogo.

Wyczuli go obibocy i nicponie z „Polonii”, ci cwaniacy, co tam wysiadali całymi dniami i polowali na frajera z wypchanym portfelem. Zagadywać zaczęli nowego bywalca, pozdrawiać, żeby wreszcie przysiąść się do jego stolika. Był napięty i nieśmiały. Stary chłop, a poczerwieniał jak panienka, kiedy go zapytali podstępnie: „Za czym pan kolega tak uważa?”

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Już go mieli w pod- bieraku! Znali takich prawiczków, niemało takich przewijało się przez polonijny młyn. Skrzyknęli do stolika dziewczuch akurat wolnych. Obsiadły kolorowym i wesołym stadkiem stolik księgowego. Wdzięczyły się, napierały biustami, podgarniały spódnice i pokazywały uda w czarnych pończochach aż do samego końca. Wiercił się Wacek nieborak, cmił papierosa za papierosem, oczy opuszczał, niewiniątko! Postawił jedną kolejkę likieru miętowego, drugą. Głowę podniósł, popatrzył na hurysy. Jedna pocałowała go w usta, druga zwichrzyła mu włosy, trzecia napała gorącym ciałem. Były to wytrawne zawodniczki, wiedziały, jak chłopą podhaj- cować. Księgowy Wacek odskoczył na stronę i zaczął gmerać w kieszeniach. Zauważył jego manewry bystro- oki szatniarz. Księgowy kilka banknotów z grubszej pliczki oddzielił. Pliczkę miał gumką spiętą, wepchnął do portfela, a te kilka papierków w innej kieszeni umieścił. Spryciarz, wydzielał z kupki forszę na przetracenie. W taki sposób zaczął swój termin hulaki skrom- ny, powściągliwy księgowy Wacek. Bawili się w nocnym „Dołku”. Namówiły go ślicznotki na rajd dorożkami na

Dworzec Główny. Kilka razy Wacek odbiegał na stronę i banknoty z kupki oddzielał. Zabawa skończyła się dopiero o świcie na Zieleniaku. Wacek spojrział na zegarek i zerwał się od stołu.

— Psiakrew! — krzyknął. — Muszę do roboty!

— A rachuneczek! — Przytrzymała go za rękaw najprzyciemniejsza z dziewczyn.

Zapłacił i popędził do swojej centrali nasiona odwagać.

Każdy nałóg nie wiadomo kiedy i jak człowieka chwyta. Księgowy Wacek stał się nałogowym bywalcem „Polonii”. Co najmniej dwa razy w tygodniu musiał do tego sławnego hotelu zawitać. Rytuał był niezmienny. Na początku księgowy samotnie wysiadywał przy stoliku. Dziewczyny brały go na muszkę i obsiadały samotnika. Zalotne manewry, pocałunki, inne pieszczoty. Księgowy Wacek topniał jak wosk i nadchodził moment przelomu, kiedy już wszyscy mogli pić na jego rachunek: niebieskie ptaszki, sutenerzy, szatniarze. Takiego hojnego pana „Polonia” dawno nie widziała. Należało jedynie przestrzegać warunków gry i czekać cierpliwie, aż się Wacek rozkręci. Broń Boże przyspieszać! Zrażał się wtedy i odchodził. Natomiast po większej ilości alkoholu demon zmysłów wstępował w wątłe ciało księgowego i jego oczy zaczynały pałać ogniem pożądania. Stawał się tak żarłoczny, że wszystkie dziwki chciały go mieć. Rzadko kiedy mógł się zdecydować na wybór jednej bogdanki. U tej upodobał sobie cycki, które wywalały się z rozpiętej bluzki. Dalej je miętosić! Ale zaraz przestawał, bo tamta nogi miała długie, smukłe i dłonie Wacka same do nich podążały. Za chwilę jego uwagę przykuwały purpurowe, grube usta innej dziewczyny. Dwoił się i troił nie mogąc w żaden sposób skupić się na jednym obiekcie. Udrękę niemożności wyboru topił w wódce. Pił łączywie i nieuchronnie nadchodził kres jego aktywności — księgowy Wacek opadał głową na stół i zasypiał. Przez sen jęczał i zgrzytał zębami. Może dalej dręczyła go męka niespełnienia. Dziewczyny traktowały go jak kasę samopomocy koleżeńskej, we śnie przecież nie czuł wścibskich dłoni, które rewidowały jego kieszenie i zhacznie uszczuplały grubość pliczki banknotów spiętej gumką.

Jednego tylko rygoru nigdy nie złamał otumaniony żądzą i opilstwem księgowy Wacek. Budził się zawsze w sam czas. Zrywał się, toczył przez chwilę błędnym wzrokiem i pędził do obowiązków.

Długo można snuć opowieść o jego bojach i znojach w „Polonii”. Trzy lata temu buszował i z nagłą przestał się pokazywać. Czekali na niego próżniacy. Czekwały lekkie dziewczyny. Nigdy więcej nie pojawił się w kawiarni. Zniknął po prostu!

Rozmaicie o tym mówiono. Niektórzy przyczyny upatrywali w niedoborach kasowych wykrytych w Centrali Ogrodniczej. Poszedł Wacek siedzieć. Inni mówili, że służbowo został przeniesiony na prowincję. Był taki jeden, który twierdził, że nasz księgowy zmarł nagle na atak serca na ulicy. Wacek, jeżeli żyjesz, odezwij się, proszę! Może przeczytasz o sobie i wychyniesz skądś? Pogadamy o starych czasach. Słodka mgielka nostalgii otoczy zamierzchną przeszłość i będziemy uśmiechać się I pobłaźliwie, snując opowieści z tysiąca i jednej nocy o Dołku, Zieleniaku i Dworcu.

65. POWSTAŃCY

PA Mięci HENRYKA GECOWA

Henio był niestrudzonym piechurkiem i drobnym, ale szybkim kroczkiem pokonywał w mieście imponujące odległości. Mały, schludny, aktówka pod pachą. Prowadził pracowity żywot, projektując i ilustrując katalogi, kalendarze, broszury, prospekty rozmaitych wydawnictw — od rolniczych do kolejowych. Mieszkał w Chylicach i dojeżdżał autobusem do Parku Dreszera, skąd rozpoczynał wędrówkę do firm i kas. Grafiką jako amator zajmował się już przed wojną, ucząc się w szkole administracyjno-handlowej. Jego talent odkrył nauczyciel reklamy i dzięki niemu wyjechał na Wystawę Wschodnią do Lwowa w 1938 roku. Tam zajął się dekoracją pawilonu Monopolu Tytoniowego. Jak na ucznia zarobił niebagatelną sumę i złapawszy bakcyła, sporządził plakaty i rysunki do kin. W kinie „Napoleon” narysował bardzo udaną podobiznę Jeana Gabi- na w związku z premierą filmu Spotkanie z miłością, w którym wystąpił ów znakomity aktor. Portret aktora umieszczono w witrynie przy wejściu do budynku. Wtedy zamiarem Henia stały się studia na Akademii Sztuk Pięknych. W urzędywistnieniu marzeń przeszkodziła mu wojna i okupacja. Musiał zająć się pracami zarobkowymi. Zdolności rysunkowe też były w tym przydatne, projektował opakowania reklamowe dla firm handlowych, dla kolarza Wandora, producenta

mydła Adamczewskiego. I nie rezygnując z ambicji, uczęszczał na prywatne kursy rysunku i malarstwa do Adama Strycherskiego, który miał pracownię przy ulicy Pankiewicza. Jednak kolejną rzeczą działalność konspiracyjna stała się dla niego sprawą pierwszoplanową. Został zaprzysiężony w AK, odbył przeszkolenie wojskowe w podwarszawskich lasach i w powstaniu, walcząc w batalionie Krybar, zajmował się obsługą miotacza ognia. Przeszedł piekło krwawych walk na Powiślu, a potem znalazł się w obozie jenieckim w Niemczech. Po zakończeniu wojny przebywał dłuższy czas w Paryżu. Z paryskiego epizodu życia pozostała mu pewna znajomość francuskiego i uwielbienie dla słynnego boksera, Marcela Cerdana. Sam zresztą trenował boks przed wojną i miał zadatki na niezłego koguta. Do kraju powrócił w 1946 roku; po drodze zetknął się z malarzem Adamem Styką, synem Jana, współtwórcy Panoramy Raławickiej. Adam Styka wybierał się do USA i odradzał mu powrót do Polski. Można powiedzieć, że sztuki piękne towarzyszyły Heniowi uparcie w życiu i jego zajęcie się grafiką stało się w ten sposób oczywiste. Był człowiekiem cichym, skromnym i pogodnym. W swojej nieodłącznej aktówce wśród projektów znaczków, rycin, reklam i emblematów przechowywał starą, zniszczoną fotografię z powstańczej epopei. Henio i jego koledzy w zdobycznych panterkach, hełmach, wspierając dłonie na przewieszanej przez piersi broni, stoją na tle barykady. Młodzi, uśmiechnięci chłopcy. Patrzają ufnie w przyszłość.

Zazwyczaj po pracowitym dniu Henio zachodził do wielkiej, secesyjnej kamienicy przy ulicy Brackiej. Tam w oficynie na parterze mieszkał Maciej T., jego przyjaciel z czasów okupacji i powstania. Był to wysoki, szczupły mężczyzna, ładząco podobny do Gary Coopera. Natomiast korzystając z rodzimych odniesień: wyglądał

| Marek Nowakowski

jak piękny ułan z piosenki Ułani, malowane dzieci... Maciej T. pracował jako kreślarz i w jego mieszkaniu zbierało się grono przyjaciół, połączonych węzłem powstańczej przeszłości. Był swego rodzaju prezesem tego osobliwego klubu. Czas wieczorny poświęcano wspomnieniom przy kieliszku. Opowiadali o udanych i nieudanych akcjach. O sprawach śmiesznych i strasznych.

O dalszych swoich losach po klęsce powstania. Aż kipiało wtedy od czasu przeszłego, który stawał się rajem utraconym. Wszyscy oni traktowali rzeczywistość PRL jako długi stan tymczasowy. Bywały chwile, kiedy ulegali nadziejom, to znów popadali w przygnębienie. Jednak przez kilkadziesiąt lat trzymali się konsekwentnie na uboczu i żaden z nich nie został członkiem rządzącej partii czy służebnej organizacji. Nie osiągnęli żadnych stanowisk i profitów. Pracowali ciężko i z dużym wysiłkiem utrzymywali swoje rodziny. Rytuał spotkań w przyjacielskim gronie dawał im poczucie wspólnoty

i bezpieczeństwa. Przestrzegali pewnych zasad i ich złamanie było poważną apostazją. Kiedyś jeden z nich wziął udział w manifestacji, którą organizowała władza dla potępienia robotniczych strajków. Przyczyną była obawa utraty pracy. Został osądzony bez pardonu.

— To jest zwykłe kurestwo! — powiedział Maciej T. Rzeczywiście wyglądał jak Gary Cooper z filmu W samo południe; stał na szeroko rozstawionych nogach i lżył przyjaciela.

Siłą rzeczy w tym zamkniętym kręgu zdarzały się różne rozstania i upadki. Dramatycznie przeżyli wiadomość, że jeden z bohaterskich dowódców powstania został oficjalnym kombatanem, wykorzystywanym jako propagandowa, zwodnicza ozdoba. W mieszkaniu Macieja T. odbyło się żałobne pijaństwo.

Niewątpliwą nadzieją dla nich były dzieci. Henio miał syna, który uczył się dobrze i wyrastał na solidnego młodzieńca. Inny dwie córki, z których jedna wykazywała wybitne zdolności do matematyki. Widział w jej drodze rekompensatę za swoje studia na politechnice, przerwane przez okupację i powojenne perypetie „zapłutego karła reakcji”. Wpajali swoim dzieciom zasady, które im wpojono w młodości.

Bardzo uroczyście przestrzegali rocznicy powstania i w ten dzień zbierali się na Powązkach przy kwaterze poległych żołnierzy AK. Spotykali wielu dawnych kolegów, których powojenne losy rzuciły na antypody świata. Serdecznym powitaniem nie było końca. Głęboko w noc przesiadywali w gościnnym domu Macieja T. i Henio nieraz spędzał resztę nocy w małej poczekalni dworca autobusowego, czekając na pierwszy, poranny autobus do Chylić.

Opowieść o ich życiu nie zawiera doświadczeń szczególnie drastycznych, jakie przypadły w udziale innym z tego pokolenia. Choć żyli na marginesie, to przecież nie siedzieli w piwnicach bezpieki i nie spędzili iluś tam lat w tiumnach Mokotowa, Rawicza, Wronek czy w łagrach na Syberii. Jednak było to życie złamane, co najmniej mocno zdeptane, i w miarę upływu czasu niczego lepszego już się nie spodziewali. Tamten bardzo dawny wzlot i upadek, z którego nie można się podnieść.

Z biegiem lat całą nadzieję widzieli w dzieciach i często licytowali się w przewagach swoich córek, synów. Bolesne rozczarowanie dotknęło Macieja T. Jego syn od wczesnych lat szkolnych wyróżniał się zdolnościami w pisaniu; początkowo lotność jego pióra sprawiała ojcu satysfakcję. Syn zapragnął zostać dziennikarzem i wybuchł konflikt. Maciej T. miał zdecydowanie negatywny stosunek do żurnalistów w PRL. Syn jednak postawił na swoim i rozpoczął pracę w gazecie codziennej. Był bardzo zdolnym dziennikarzem i zapewne rów-

POWIDOKI 2 2171

nie zdolnym w przyswajaniu reguł gry obowiązujących w tej profesji. Przeszedł do telewizji. Nic dziwnego więc, że kiedy przyjaciele dzielili się swoimi rodzicielskimi radościami, Maciej T. milczał posepnie. Jego syn stał się osobistością publiczną, występował bowiem jako spiker w dziennikach telewizyjnych.

Czasy ostatnich przemian podniosły ich na duchu jak wszystkich. Niewiele jednak brali w tym aktywnego udziału. Chyba aktywnej energii już zabrakło. Brzemie wieku, mają już swoje renty, satysfakcję z powstańczej młodości, odznaczenia. Dzieci dorosłe, doczekali się wnuków, wnuczek. W rozmowach ojców, którzy zostali dziadkami, Maciej T. nadal nie bierze udziału. Syn znalazł się na jego osobistym indeksie i miarę goryczy ojca przepełnił początek stanu wojennego, kiedy wybrani dziennikarze pojawili się na telewizyjnym ekranie w mundurach. Wśród nich był jego syn. Tego nie może zapomnieć. Więc została zerwana definitywnie.

Przyjaciele wiedząc o jego bólu, próbują rozproszyć chmurę na obliczu Macieja T. Nieco sztucznie powracają do okupacyjnej młodości. Wspominają jakiś epizod.

— No, jak to było, Maciek? — dopytują się.

Henio Gecow bardzo zabawnie opowiada o straceń- czo beztrioskim życiu w Paryżu po wojnie. Wypiwszy więcej, zrywa się i demonstruje styl walki Marcela Cerdana. Patrzą i śmieją się. Nawet Maciej T. rozchmurzył się wreszcie.

Tyle o ich życiu. Tak to przeleciało.

66. MOJE UNIwersYTETY. LEGITYMACJA (I) PAMIĘCI PRL

Prawo to jedna z najbardziej awangardowych nauk w państwie budowy socjalizmu i na roku akademickim 1952/53 na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego pełno było studentów już w wieku dojrzałym, oddelegowanych z różnych organów administracji państwowej na studia.

Wyróżniali się pośród nas nie tylko wiekiem, ale zachowaniem, poczuciem własnej godności wynikającej z tytułu piastowania stanowisk; mieli znaczne trudności z powrotem do ławy szkolnej, zawodziła ich umiejętność sporządzania notatek, sztuka zapisywania tego co niezbędne ze skryptów i podręczników. Także wyglądali inaczej, ubrani solidnie, pod krawatami, niektórzy zachowali fragmenty stroju mundurowego. Jeden na przykład nosił wojskowe spodnie, koszulę i bluzę z pagonami, ale bez dystynkcji. Było kilku w identycznych, brązowych garniturach. Tego koloru ubrania nosili często pracownicy urzędów bezpieczeństwa i wcale nie musiał to być przypadek. Krążyło dosyć powszechne przekonanie, że na naszym roku niemało jest ludzi z bezpieczeństwa. Kolega W., który się rozglądał podczas koleżeńskiej bibki, którą sobie urządziliśmy w krzakach na skarpie za Pałacem Kazimierzowskim, powiedział wprost, że owszem walczył z reakcją na pierwszej linii, pracował w powiatowym urzędzie w Łomży, ale już nie

220 Marek Nowakowski

pracuje. Nie byliśmy tacy naiwni, żeby mu uwierzyć. Dostał bezpłatny, a może płatny urlop na studia wyższe.

Stary, łysy milczek i jego kolega Gieniek z Kobyłki stanowili nierozłączną parę i mówili nam, że pracowali razem w ministerstwie ziem odzyskanych. Ale to musiało być inne ministerstwo. Kiedyś Gieniek został poproszony do dziekanatu; był do niego telefon. Tam akurat znalazł się Karol, starosta naszej grupy — odbierał skrypty. Posłyszał strzępy rozmowy telefonicznej. Gieniek rozmawiał z kimś, kogo tytułował towarzyszem majorem i kilka razy powtórzył zagadkowo: „Przyciśniemy go i puści laksę!” Droga dedukcji doszliśmy do wniosku, że sprawa dotyczy śledztwa, przesłuchiwany jest odporny, ale Gieniek żywi nadzieję, że tamten zmięknie.

Oddelegowani choćby nie wiem jak starali się upodobnić do nas, zwykłych studentów, byli inni, od razu się wyróżniali. Rozmawiali na uboczu z naszymi profesorami, asystentami i przedstawicielami kadry naukowej traktowali ich jako równych sobie. Nie mieli szczególnych trudności z usprawiedliwianiem swojej nieobecności, czasem bowiem nie było ich po kilka dni czy nawet dłużej na zajęciach. Andrzej Biały widział, jak po jednego z nich podjechała pociąg. Zatrzymała się przy bocznym wejściu na uniwersytet od Oboźnej i tam wsiadł do samochodu; kierowca był w wojskowym mundurze. Jednym z nich był niejaki Gwizdź. Tęgi, znacznie starszy od nas. Ale bardzo chciał być zwykłym studentem takim jak my wszyscy. Na pewno jednak należał do tamtych. Gieniek i Łysy Milczek zawsze pierwsi go pozdrawiali i uśmiechali się przymilnie. Musiał więc być wyższy rangą lub stanowiskiem. Tak uważaliśmy zgodnie, choć kolega Gwizdź mówił nam, że przed podjęciem studiów pracował w kwaterunku. Musiało być

POWIDOKI 2 221

jednak inaczej, gdyż pewien student z ekonomii, też starszy wiekiem, oddelegowany, kiedy go zobaczył, podbiegł, stuknął po wojskowemu obcasami i zaczął: „Witam towarzysza naczelnika!” Gwizdź zgromił go spojrzeniem i warknął gniewnie. Tamten stropił się wyraźnie i odszedł jak niepyszny. Co by nie powiedzieć, to kolega Gwizdź bardzo chciał być zwykłym studentem i nie trzymał się z tymi oddelegowanymi, lecz z nami. Wesoly, dowcipkował z dziewczynami i choć na wykładach pilnie wszystko notował, to jak każdy praktyk miał kłopoty z teorią. Nauka o państwie i prawie, marksizm-leninizm stawiały mu znaczny opór i na seminariach korzystał z koleżeńskiej pomocy Andrzeja Białego. Andrzej napisał mu pracę seminaryjną i dzięki niemu kolega Gwizdź zdobył zaliczenie kolokwium. Z wdzięczności zaprosił nas na wódkę. Zaczęliśmy od parteru w sklepiku u mamy Pawlikowskiej. Przenieśliśmy się do „Staropola” i poszliśmy jak burza po mieście. Zafundował nam Gwizdź hojną popijawę. Na ostatek kupiliśmy flaszkę wódki oraz flaszkę wina i wylądowaliśmy na skwerze w pobliżu Poczty Głównej. Piliśmy i przechwalaliśmy się podbojami sercowymi. Zbyszek wyliczał dziewczyny z roku, które uwiódł. Kolega Gwizdź opowiadał o kochankach z wczasowej stołówki. Miał najlepsze żarcie i gorące noce. Śmiał się rubasznie, kpiąc z wdzięków tych garkotłuków. Rozbiliśmy jedną pustą flaszkę o mur. Potem drugą.

— Dziwki mi trzeba! — wrzasnął Andrzej Biały.

Zaryczeliśmy starą pieśń kawalerzystów Hej, dziewczuchy, w górę kiecki, jedzie ułan jazłowiecki! Patrol zło-
* żony z sierżanta i dwóch szeregowych milicjantów wyłonił się nagle z ciemności. Już byli przy nas. Oślepił nas latarkami.

— Na dołek pójdziecie, chuligani! — rzekł sierżant i zaśmiał się nieprzyjemnie.

— Kurew im się zachciało, gnojom! — odezwał się jeden z szeregowych milicjantów.

— Chwileczkę, obywatelu sierżancie! — powiedział kolega Gwiżdż stanowczo. W jego głosie zabrzmiało coś twardego, władczego. Wsunął dłoń do bocznej kieszeni marynarki. Sierżant błysnął latarką i dostrzegliśmy jakąś legitymację, którą Gwiżdż pokazał dowódcy patroli.

— No tak! — już innym głosem odezwał się sierżant. — Rozumiem. No, idźcie sobie obywatele! — Za-salutował i rozległ się stukot podkutych butów.

— Życiowy chłop — stwierdził kolega Gwiżdż. — Przemówiłem mu do rozsądku. — Popatrzył na nas niepewnie.

Pokiwaliśmy głowami. Ale byliśmy przekonani, że to legitymacja tak poskutkowała. Tylko zaistniała róż-nica zdań co do jej koloru. Zbyszek twierdził, że była czerwona. Biały upierał się przy kolorze granatowym. Tego sporu nigdy nie rozstrzygnęliśmy.

67. MOJE UNIWERSYTETY. STUDIUM WOJSKOWE (II)

PAMIĘCI PRL

Zajęcia wojskowe odbywały się przez jeden dzień w tygodniu i na przemian była to teoria i praktyka. Wykłady o oddziałach i pododdziałach, związkach taktycznych i operacjach wojennych takich jak „Kocioł pod Kurskiem” czy „Wał Pomorski”, regulaminach i częściach składowych broni krótkiej i długiej, kozłach hiszpańskich i innych zasiekach odbywały się na miejscu. Zasiadaliśmy w salach wykładowych budynku geografii po lewej stronie od dziedzińca uczelni, ubrani w stare, znoszone kombinezony. Należy dodać, że kombinezony, które nosiliśmy, odpinały się tylko z tyłu i każda potrzeba fizjologiczna stawała się czynnością skomplikowaną i uciążliwą.

Zajęcia praktyczne wymagały długiej jazdy tramwajem na Wawrzyszew. Tam była strzelnica i rozległy obszar do rozwijania tyralier, pełzania i doskonalenia kroku marszowego.

Zimą nakładaliśmy na kombinezony sukienne, szorstkie szynele, ściągnięte pasami, podkute buciory, wojskowe czapki i ruszaliśmy z wewnętrznego dziedzińca instytutu geografii na krańce miasta. Wyglądaliśmy jak gromada ciurów obozowych lub maruderów i budziliśmy uśmiechy politowania prawdziwego wojska. Komendantem studium wojskowego był pułkownik Paździk, okazały mężczyzna o równie okazałym obliczu

KF

weteran prawdziwej wojny, obdarzony tubalnym głosem, którym wypowiadał złośliwe uwagi o naszym zafajdanym wyglądzie, ignorancji, braku subordynacji i inteligentnej głupocie nie pozwalającej nam stać się prawdziwym wojskiem. Natomiast dowódcą kompanii, na którą składał się pierwszy rok prawa, był porucznik Ciężka. Odbył całą kampanię bojową od Lenino do Berlina; miał mocną skłonność do napojów wysokowych, pachniał często zdrowym wiewem alkoholu, nawet zataczał się na swoich kabłąkowatych nogach kawalerzysty, choć w armii służył jako pancerniak.

Kompania dzieliła się na plutony. Dowódcą jednego z nich był nasz starszy kolega z roku, który wcześniej już odbywał służbę wojskową i miał stopień kaprała. Był co prawda kolegą, ale raz w tygodniu podczas zajęć wojskowych przeistaczał się w prawdziwego zupaka, zawziętego służbistę; swoje obowiązki traktował nader poważnie.

Był to rok akademicki 1952/53 i oprócz zajęć czysto fachowych, żeby tak rzec, militarnych, słuchaliśmy jeszcze pogadank o podżegaczach wojennych, agresji imperialistycznej, czujności wobec wroga i świętej tajemnicy wojskowej, której podlegało absolutnie wszystko od części zamka k.b.k.s do struktury organizacyjnej studium wojskowego. Wykładowcy przybywali gościnnie, byli to politrucy ze służby zawodowej; traktowali swoją misję z przejęciem i często wprawialiśmy ich w zakłopotanie pozornie naiwnymi, wrednymi pytaniami. Wtedy tracili kontenans i coś mamrotali. Tylko jeden z naszywkami majora na pagonach, zapytany raz przez etatowego żartownisia, czy nie należy po wykładzie zebrać od słuchaczy notatek ze względu na ich wagę i schować do jakiegoś sejfu, żeby wróg nie miał żadnych szans na ich zdobycie, odparł bez wahania:

— Jak się jeszcze raz powtórzy taki wyglup, kurwa, to nie będzie zaliczenia w indeksie. Gwarantuję, kurwa!

Zaległa grobowa cisza i złośliwe pytania ustały od tej pory. Podczas zajęć teoretycznych do najlepszych należały miejsca na tylnych ławach, bo tam można było się czuć swobodnie. W swoim najbliższym gronie rozmawialiśmy właśnie taką pozycję i gwarzyliśmy o tym, owym. Również na zajęciach w terenie należało umiejętnie pozorować nadgorliwość i okopawszy się w dołku strzeleckim, mieć trochę spokoju i czasu na rozmowę. W miarę zdobywanych doświadczeń udało się nam kilka razy uhonorować skacowanego dowódcę kompanii, porucznika Ciężkę, flaszką wódki i wtedy zapanowała anarchia. Snuliśmy się leniwie po piachach i zagajnikach, wybieraliśmy zaciszne miejsca i wypoczywaliśmy na łonie natury w wiosennym słońcu. Wtedy to w grupkach po trzech, czterech nawiązywały się młodzieńcze przyjaźnie na polu żołnierskiej chwały. Trzymaliśmy się we trzech. Najsilniejszą indywidualnością był niewątpliwie Zbyszek, syn przedwojennego oficera Szwoleżerów, który zaraz po wojnie poszukiwany przez bezpieczeńkę, uciekł na Zachód. Zbyszek przedwcześnie dojrzał i nade wszystko kierował się w życiu prawem mimikry, interpretując jego sens bardzo cynicznie. Należy udawać kogoś, kim się nie jest w istocie, i ta reguła stanowi wytrych do pokonywania kolejnych przeszkód. Grał swą rolę znakomicie i już był kandydatem partii. Pouczał nas jako wytrawny znawca problematyki, żeby mówić i czynić nie wierząc w to wcale, a wszystko pójdzie jak z płatka. „Mówię wam! Pięknie się ustawicie!” — powtarzał. „To wcale nie jest trudne, pod hajrem!”

Postawa taka rzeczywiście rokowała najlepsze widoki na przyszłość. Ale nie nęciła nas jakoś. Potakiwaliśmy obojętnie. Andrzej zwany Białym z powodu jasnych, lnianych włosów, gorąco wywodził o potrzebie

wierności ideałom, prawdzie. Należał do podziemnego związku młodzieży, którego celem miała być wolna Polska. Nastąpiła wsypa, aresztowania i dlatego czmychnął z wybrzeża i dostał się na studia w Warszawie. Pochodzenie miał właściwe, chłopskie, rodzice repatrianci z Wołynia, osiedlili się na Żuławach. Wierzył, że koledzy go nie wsypią.

— Sypnę, sypnę — zaprzeczał Zbyszek. Bez zaciętrzewienia toczyliśmy spory dotyczące wyboru postaw, sumienia, prawdy. Słońce grzało tak przyjemnie, rozmowa wygasła i już w milczeniu patrzyliśmy w ładne, niebieskie niebo. Podrywał nas ochrypły ryk dowódcy kompanii:

— W dwuszeregu biegiem zbiórka! Baczość! Znów pełzaliśmy tyralierą, padaliśmy, wstawaliśmy. Raziliśmy z karabinów npla upostaciowanego w tarczach strzelniczych, a o zmierzchu wlekliśmy się do pętli tramwajowej.

Ten dzień wojskowych zajęć był taki sam jak inne. Dziedziniec instytutu geografii. Dowódcy plutonów szykują swoje pododdziały do wymarszu. Nasz kapral idiota wyżywa się nad nami jak w prawdziwym wojsku. Obiecujemy rewanz w stosownej chwili. Porucznik Ciężka, najwyraźniej skacowany ponad zwykłą miarę, ryczy wściekle. Uwziął się na jednego szczególnie cywilnego żołnierza — studenta, który w zbyt długim szynelu i czapce opadającej na oczy wyglądał jak Szwejk. Stałem w drugim szeregu obok Andrzeja Białego. Z kancelarii szefa studium wybiegł jego zastępca, major. Poszeptał z porucznikiem Ciężką. Twarz porucznika zmieniła się raptownie; wyrażała bezmierne zdumienie. Po chwili swoim charakterystycznym rykiem wywołał z szeregu Andrzeja Białego. Poszedł Andrzej z majorem.

Potem wydarzenia nastąpiły bardzo szybko. Na

dziedziniec zajechała czarna cytryna. Dwaj cywile w długich płaszczach wbiegli do gmachu. Wyszli z Andrzejem Białym. Oni po bokach, on w środku. Wepchnęli go do czarnego auta. Odjechali z denerwującym wizgiem opon po bruku.

— Doigrał się — powiedział Zbyszek. Tego dnia zajęcia mieliśmy na Wawrzyszewie.

68. MOJE UNIWERSYTETY. TYCH DWOJE (III)

PAMIĘCI PRL

Ania była gruba i pogodna. Głowę miała dużą, twarz mięsistą, włosy czarne, kręcone, korpus długi, nogi krótkie. Nie była ładna, ale oczy miała piękne, wielkie i kiedy się śmiała, stawała się bardzo ładna, promieniała. A śmiała się często, wynikało to z jej usposobienia.

W rocznicę rewolucji i innych świąt, także w dni akademii, masówek i zebrań paradowała po salach wykładowych i korytarzach uczelni w stroju organizacyjnym. Czerwony krawat, zielona koszula, którą wypychały wielkie piersi.

— O, idzie Róża Luksemburg! — mówili wtedy niektórzy szeptem.

Ania ideologię traktowała bardzo poważnie, tak że ta stała się jej biblią. Ojciec Ani przed wojną był krawcem i komunistą, teraz komunistą i etatowym funkcjonariuszem partyjnym. Bolek był chłopakiem średniego wzrostu, o szarej, ziemistej twarzy, policzki wpadnięte, rysy ostre, usta wąskie, blade i włosy też koloru ziemistego, pasmami przylegające do czaszki. Z natury odznaczał się zapalczywością, zawziętością. Pochodził z robociarskiej rodziny z Grochowa. Jego ojciec przed wojną był pepeesiakiem i działaczem związkowym, w jego domu nadal mówiło się o Piłsudskim przed przewrotem majowym i po przewrocie. Starszy brat Bolka zginął w powstaniu. Siostra po chorobie Heinego

P

mm

POWIDOKI 2 229

i Medina poruszała się za pomocą kul, wlokąc bezwładne nogi. W domu panowała smutna, ciężka atmosfera i ojciec mówił bez ogródek, że jest to okupacja sowiecka. Na naszym pierwszym roku Bolek był w mniejszości, która nie należała do ZMP. Natomiast Ania, aktywistka organizacji, wybrana po pierwszym semestrze do zarządu wydziałowego z rekomendacji zarządu uczelnianego, nieraz namawiała Bolka do podjęcia właściwej decyzji. Pochodzenie odpowiednie, syn proletariusza przecież, ponadto ze względu na pewne przymioty charakteru wydawał jej się odpowiednim kandydatem na działacza.

— Nie zachowuj się jak relikwida dawnej epoki — mówiła.

Bolek odmawiał uparcie przystąpienia do organizacji i często dyskutowali nie przebiegając w słowach.

— Szafujesz słowami bez pojęcia o ich sensie — replikował. — Co to znaczy relikwida? Ja jestem świadomy faktycznego stanu rzeczy.

Dalej wypowiadał się krytycznie o władzy w Polsce i hegemonii Związku Radzieckiego.

— Hegemonia! — sztychł. — Raczej zabór. Niebawem zostaniemy którąś tam republiką. To nam zafundowali.

Piękne oczy Ani ogromniały i stawały się wzburzone jak toń jeziora w czasie burzy.

— Co ty wygadujesz! — zdołała wykrztusić w odpowiedzi.

Bolek był chłopakiem szczerym i nie krył się ze swymi poglądami. A argumentów miał w zanadru bez liku, nieraz w jego domu o tym mówiono. I taką wyliczał litanię krzywd i niegodziwości popełnionych przez władzę ludową i Rusków wobec Polski i Polaków, że kędzierzawe włosy Ani, gdyby mogły się wyprostować, stanęłyby na pewno na jej głowie. Wprost zatkał ją la-

| Marek Nowakowski

winowy monolog nieobliczalnego Bolka. Oczy dziewczyny zapłonęły świętym gniewem, ceglasty rumieniec zakwitł na jej policzkach.

— No wiesz! — Odeszła oburzona.

Ale rozmawiali ze sobą często. Ciągnęło ich do siebie nieprzepracie. Może odmiennosc miała taką moc przyciągania. Ale chyba było jeszcze coś więcej. Ania zdołała zaciągnąć Bolka na studencką wieczorynkę zorganizowaną w jej domu. Zapalono świece, pili wino i Ania deklamowała z przejęciem „Magnitogorsk, czyli rozmowę z Janem” i „Ulicę Miłą”. Wyznała Bolkowi, że przed wojną jej ojciec mieszkał na podobnej ulicy, która nazywała się Pawia i ona tam przyszła na świat. Podczas tego towarzyskiego spotkania Bolek zachowywał się powściągliwie, ale grzecznie i nie wytrzymał dopiero wtedy, kiedy kolega Niedbalek zaintonował pieśń komсомolską z czasu wojny domowej „Od tajgi po brytyjskie morze Czerwonej Armii nikt nie zmoże”. Wyszedł i zamknął za sobą drzwi z trzaskiem. Niedbalek był zaskoczony i zastanawiał się głośno:

— To był bezsprzecznie ostentacyjny gest. Co on chciał przez to wyrazić?

Kiedyś, działo się to w budynku seminaryjnym podczas przerwy w zajęciach, posłyszałem przypadkiem rozmowę Ani z Bolkim. Bolek mówił podniesionym głosem i trudno było go nie słyszeć. Ania słuchała cierpliwie, choć jej pierś falowała. Wreszcie powiedziała tak:

— Jednak wrogiem klasowym nie jesteś. Tylko poblądziłeś po manowcach.

— Po manowcach! — powtórzył Bolek i roześmiał się. — A kto napadł na nas od wschodu? A kto czekał, aż powstanie się wykrwawi do końca? Kto wywozi na białe niedźwiedzie? Kto rozwalilił...

Tego pytania nie dokończył, Ania bowiem ścisnęła go mocno za rękę. Zwróciła się do nadchodzącego kolegi i zmieniła temat:

— No i jak? Już zaliczyłeś?

— Co? — nie zrozumiał kolega Niedbalek, którego zwabił podniesiony głos Bolka, a jego czujność obudziły poszczególne, zagadkowe słowa.

—No, seminarium u tego piły, doktora Kozłowskiego!

— A, tak — rzekł kolega Niedbalek.

Był to reemigrant z Francji, tak samo jak Ania członek zarządu wydziałowego ZMP. Jego oczy zapłonęły teraz wilczym głodem łowcy wrogów klasowych. Pozostał chwilę i odszedł, jakby zawiedziony.

—Przy nim nie mów o tym... — Ania zawahała się i powtórzyła: — ... o tym, co mówisz ze mną, rozumiesz?

Widziałem jeszcze tych dwoje w kinie. Potem ich losy zanikają w mrokach czasu i nic więcej o nich powiedzieć nie mogę. Wspominam ten epizod jako klasyczny przykład konfliktu między ideologią i rodzącą się sympatią. Ideologia zanikała, a uczucie rozwijało się mimo przeciwieństw.

69. MAŁY WIELKI ŚWIAT

Przejazd przez tory był brukowany i łączył Stare Włochy z Nowymi. W starszej części miasteczka wcześniej rozpoczęła się zabudowa i stały tam kilkupiętrowe kamienice (dom Drabarka z 1912 r.), obszary za torami zaś stanowiły w dużej mierze posiadłość ziemską zamożnej rodziny Koelichenów, którzy wybudowali sobie fantazyjny, biały pałacyk w parku. Dopiero w latach dwudziestych zaczęli oni dzielić ziemię na działki budowlane i wzdłuż parku wyrósł rząd domów. Wśród nich estetyczną nowoczesnością wyróżniała się kamienica architekta Wolskiego, śniadego mężczyzny o wełnistej czuprynie, przypominającego Mulata. We Włochach życie skupiało się przy przejeździe. Najbliżej torów znajdował się drewniany, parterowy budynek poczekalni oraz kasy kolejowej, obrośnięty dzikim winem i przylegający doń bufet, do którego wchodziło się po schodach, a drugie wejście prowadziło na peron. A nieco z tyłu po starszej stronie Włoch stał także drewniany budynek stacji EKD. Naprzeciw przejazdu rozsiadło się kilka bud. W jednej bardzo już zapadłej w ziemię, z wklęsłym ze starości dachem, mieścił się kantor handlu nieruchomościami pana Sobczaka i ten duży brzuchaty mężczyzna częściej siedział na krzeselku przed budą niż w jej wnętrzu i wystawiając przed siebie sztywną nogę palił się gazetą. W drugiej budce miał swój warsztat szewc. A może była to repasacja pończoch. Może jedno i drugie. Dalej za stacją na ulicy Składowej wzdłuż torów kolejowych mieściły się składy opału i tutaj panowali hałaśliwi, umorusani jak diabli węglarze. Przez przejazd rozchodziły się drogi małego świata naszego miasteczka. Tędy po starej części Włoch prowadził szlak na cmentarz, i kondukt pogrzebowy z kościoła w Nowych Włochach musiał przechodzić przez ów przejazd. W późnych latach czterdziestych tą drogą chodziliśmy do gimnazjum przy ulicy Promienistej. Stąd nareszcie jeździliśmy EKD do miasta i wysiadaliśmy po dwudziestu minutach w sercu Warszawy niedaleko skrzyżowania Nowogrodzkiej z Marszałkowską. Natomiast kolej szerokotorowa prowadziła w dalekie strony Polski. Stąd jeździliśmy pierwszy raz na wakacje. Tędy podczas okupacji pędziły pociągi z niemieckim wojskiem na wschód, a z powrotem przejeżdżały kolejowe składy pełne obandażowanych, zarośniętych żołnierzy, którzy wymachiwali czapkami, ciesząc się, że wracają cało z rosyjskiego piekła. Kiedyś widzieliśmy taki pociąg pełen Włochów, którzy posyłali całusy dziewczynom. Później tą samą drogą pędziły transporty pełne sowieckich żołnierzy ze wschodu na zachód. A jeszcze później powoli przetaczały się długie, towarowe składy z wszelkim dobrem, wywozonym z podbitych Niemiec. Czasem kiedy pociąg stanął pod semaforem, rozpoczął się handel z Sowietami. W taki sposób na naszych oczach rozgrywała się wielka wojna. A mała wojna to były nagminne kradzieże węgla z towarowych pociągów dowożących węgiel ze Śląska do Warszawy. Czarne bryły spadały z łoskotem na kolejowy nasyp. Krzyki i strzały banszuców rozrywały ciszę wczesnych ranków i zmierzchów. Zimy w tym czasie były ostre i zdobywanie opału stanowiło nie lada problem. Kita. Tak nazy-

I wał się proceder ściągania węgla z wagonów. Z pozycji przejazdu kolejowego obserwacja dotyczyła również spraw najbliższych. Oto z bufetu wytaczają się podpici młodzieńcy, ubrani według mody tamtych powojennych lat w oficerki, bryczesy, dwurzędowe marynarki i bluzy zachodnich, alianckich wojsk. Jedni są z AK i głosują na Mikołajczyka i PSL, mogą mieć przy sobie broń krótką, ale nie afiszują się nią zbytnio. Inni mają biało- - czerwone opaski na rękawach i broń noszą jawnie. Ci na pewno służą w milicji, bezpiece, zapisali się do zwycięskiej partii. Jedni i drudzy popijają jednak często razem i wcale nie biorą się za łby. Na razie łączy ich wspólne miejsce zamieszkania, wychowali się przecież na jednej ulicy, w jednym domu, chodzili do jednej szkoły. Stąpają niepewnie po schodkach bufetu kolejowego, zastanawiają się, gdzie iść dalej. Może do „Wenecji” Dewalda czy „Pod Krzaczkami”? A może na Nowe Włochy do szynku na Sieradzkiej lub na targ w pobliżu kościoła? Tam w sodowiarniach sprzedają bimber pod kwaszone ogórki, śledzie. Zmieniają się widoki jak w kalejdoskopie. Po przejeździe toczą się z turkotem platformy, ciągnięte przez rosłe perszerony. Kierują się w stronę Woli. Furmani tutejsi są zatrudnieni przy wywoźce gruzu. Dużo mówiono w naszym miasteczku o skarbach, które odkrywa się w ruinach. Kontemplację oddalających się wozów przerywa scena rodzinna. Pędzi żona za mężem i wrzeszczy rozdzierająco. My, chłopcy, patrzyliśmy jak urzeczeni na tego wariata o wyglądzie męża stanu, który przybrany w czarny garnitur, kroczył w upalny dzień, godnie uchylał kapelusza. Na stopach błyszczały mu lakierki. Ile krążyło o nim niesamowitych opowieści! Mogliśmy też obserwować podążających ze stacji dwóch naszych rówieśników, ubranych w kraciaste pumpy, granatowe marynarki i dziwne czapki w kształcie francuskich kepi.

Wtedy Pieter goni nas i woła: — Chodźta! Posmakujta! Przerażeni uciekamy co sił w nogach. Tak można sobie wyobrazić zwykły dzień we Włochach roku 1946 czy 1947. Dla nas, chłopców, był to początek drogi w nieznanne i chłonełliśmy wszystko głodnymi oczyma. Uczęszczali jako jedyni w miasteczku do warszawskiej szkoły Górskiego i uważaliśmy ich za lalusiów. A potem naszą uwagę zajęła bez reszty owa para zakochanych; objęci szepczą sobie czule. Zawsze o tej samej popołudniowej porze śpieszyli do stacji EKD. Wybierali się do miasta na pół czarnej w cukierni. Późnym popołudniem przejechał jeszcze przez przejazd beczkowóz z karym koniem. Obok wozu człapie Pieter Złociarz, który wybiera kubelkiem na długim kijku ludzkie świństwo z szamb naszego miasteczka. Często krzyczymy za nim: — Złoto! Złociarz!